

ZŁOŻYĆ OSOBNO KARTA

2
1979

RES
PUBLICA

RES PUBLICA
numer drugi, 1979
redaguje zespół

PRAWO DO ŻYCIA

Powieść polityczna to coś z kryminału. Czyta się ją dla rozrywki. Kto zabił? Kogo zamordowano? Tyle, że powieść polityczna nie ma końca. Zakończenie jest czysto umowne. Gra przecież toczy się dalej.

Saul Bellow w "To Jerusalem and Back" wyszedł poza schemat tradycyjnej literatury politycznej. Ostatnia jego książka jest zarazem dziennikiem podróży, reportażem, esejem, pamfletem, a przede wszystkim zawiera fascynujące relacje z rozmów, spotkań z dziesiątkami ludzi. Pojawiają się politycy: Kissinger, Rabin, Meir, dziennikarze, naukowcy, Talmon, Lipset, Janowitz, żołnierze z gett, Kibucnicy. Wszyscy mówią o polityce. Polityka rodzi niepewność i lęk. "Historia nie daje spokoju. Poczucie niepewności przesłania przyszłość. Żyjesz bez perspektyw, a masz dla siebie tylko jedną chwilę. Nie możesz udąć, że cię nie ma. Nie możesz odseparować się od świata, nie czytać gazet, nie słuchać wiadomości radiowych..."

Czy powtórzy się holocaust? Dlaczego symbol Masady powraca tak często w Izraelu? Rzecz nie idzie już, jak w Anglii czy we Włoszech srodków, jakie należy podjąć, by obronić się przed terrorem politycznym. Tu idzie o rzeczy podstawowe, o możliwość przetrwania. "Wiesz, że dla Żydów, tu w Izraelu, jedna rzecz nie uległa zmianie: prawo do życia nie jest oczywiste. Inni je mają, ty nie". Na ulicach Jerozolimy coraz częściej widzi się karabiny, Co rano rodzice sprawdzają, czy w szkole w nocy nie podłożono bomby. Pokój, czyli stan wojny utajonej, trwa nie dłu-

żej niż dziesięć lat. Kolejne pokolenia mają za sobą doświadczenie wojny. Państwo, które miało być Żydom poczuć, że są takim samym narodem jak wszystkie inne, które miało przynieść własne instytucje, rząd, armię, fanny i przemysł, policję i sądy, stworzyć normalne, zróżnicowane społeczeństwo, zagrożone jest w swoim istnieniu. Zwrot części terytoriów nie ma dla Arabów znaczenia. Chcą się w ogóle pozbawić Żydów. Dla nich jest to święta wojna. Tak przed wojną Jom Kippur z 1973 r. władza egipska przygotowała dla swych żołnierzy ulotkę: "Kbijaj bez litości... Musimy zmyć hańbę klęski z 1967 r.". Obok zamieszczone były antysemickie karykatury żywcem wzięte z "Der Stürmer". "Oni nie chcą naszych propozycji pokojowych, nie chcą ustępstw, chcą nas zniszczyć - krzyczał Shahar - Nie znasz ich. Zaciód ich nie zna. Nie dadzą nam żyć. Musimy walczyć o przetrwanie. Gadanie nic nie kosztuje. Świat więc gada, gada, gada". Nie można zafasować Egipcjan. Wojna nauczyła Żydów, że nie mogą liczyć na nikogo. Nikt nie zatrzymał obywateli transportów, legalnie wybrany szef państwa izraelskiego wysłał Żydów na śmierć. Anglicy anulowali umowę do Palestyny. Nie można też zgodzić się na rolę amerykańskiego sabotażysty.

Arabowie szantażują świat nie tylko ropą naftową. Szantażują kwestią palestyńską. Żaden naród nie może żyć kosztem drugiego, na zagarniętych ziemiach - mówi. Prawo do własnego terytorium mają też Palestyńczycy. Im się należy ziemia nad Morzem Martwym, koło Arzi, Jaffy i Hebronu. Bellow nas trzęsł, jak część izraelskich polityków, że nie ma kwestii palestyńskiej. Z pewnością jest, ty-

le, że dla krajów arabskich ma charakter instrumentalny. W 1948 r. ONZ podjęła rezolucję, że mają powstać dwa państwa żydowskie i palestyńskie. Do Cisjordanii wroczyły jednak wojska arabskich państw. Arabowie odrzucili ideę niezależnego państwa palestyńskiego. Dla Syryjczyków Izrael jest tylko częścią Wielkiej Syrii. Obozy dla uchodźców w znacznej mierze finansowały kraje Zachodu. Od 1950 r. do 1975 USA przekazały na ten cel 600 mln. dol. /Izrael sześć/. ZSRR, Chiny i kraje arabskie nie dały ani centa.

Zachód przekonany jest o winie Izraela. "Ich /tj. Żydów/ grzech polega na tym, że zachowali się jak wszystkie narody. Państwa narodowe nigdy nie powstawały pokojowo i bez niesprawiedliwości. Historyczna tragedia syjonizmu polega na tym, że pojawił się na międzynarodowej scenie, gdy nie było już na mapie ziem pustych miejsc. Z czasem okrucieństwa ukształtowanych już narodów poszły w zapomnienie. Dział grzeszny wielkich i możnych rzadko się wspomina. Rosjanie prześladowali Czechenów, Kaimuków, Tatarów, Niemców nadwołżańskich. Ale o tym w ONZ się nie mówi. Im się jest słabszym, tym gwałtowniejsze spadają krytyki". Izrael nie jest bez grzechu. Lewicowi ideologowie znajdują katwy obiekt krytyki. Uważają, że na Żydów, obarczonych pamięcią o własnych cierpieniach, spada podstawowy obowiązek: podtrzymania moralnych wartości, które wszyscy już dawno odrzucili.

Pionierzy, którzy przybywali do Palestyny, chcieli stworzyć nowe życie, nowych ludzi wyzwolonych od strachu przed antysemityzmem, podejmujących te zawody i te zajęcia, od których tradycyjnie byli odsuwani. Pierwszymi osobni-

ludzi kierować mesjanistyczny uniwersalizm i pragnienie sprawiedliwości społecznej. Te idee stały za ruchem kibucowym. Najstarsze pokolenia syjonistów są dla Izraela tym, czym dla USA Ojcowie Założyciele: Washington, Jefferson, Franklin. "Życie w Izraelu - pisze Bellow - nie jest wcale łatwe, ale ludzie mają określony cel. Walczą o społeczeństwo, które stworzyli, o życie i honor", wreszcie o swobody demokratyczne, które zdołali zachować, mimo nieustannego zagrożenia militarnego. Jest w tym dla Bellowa coś godnego zazdrości: poczucie sensu i zysk wartości, których się broni. Ludność, pisze, eksperymentuje czy wręcz spekuluje wólnociami, mimowoli przygotowując się na nadejście totalitaryzmu. Zatracił^{kontakt} z ideałami, które mu przyswiecały. Przestaje zdawać sobie sprawę z zagrożeń. "Można mieć uczucie - pisze cytowany przez Bellowa Sokzeniczn - że demokracje przetrwają, ale nie jest to pewne. Demokracje są wyspami zagubionymi w niezmiernych wodach historii, a wody te ciągle przycierają".

Niepewność, jaka panuje w Izraelu, rodzi, jak zwykle w takich sytuacjach, uczucie przygnębienia i sny o potęgce. Dominuje jednak uczucie izolacji i okrażenia. Salmon mówi wprost, że kształtuje się państwo gettowe. Getta, przed którymi uciekali Żydzi, znów zaczynają obrastać murem. "Straszna ironia, czyż nie okaże się, że Żydzi zebrali się w jednym kraju, by przeżyć drugi holocaust?" Politycy i polityka stają bezsilni wobec tego pytania.

WYWIŚĆ - WIE W EUROPIE... Wydarzenia w Kambodży i Ugandzie znowu powracają świadomym i nieświadomym w sposób naturalny w ścisłej syntezie: Kambodża stała się bowiem konfrontacją ideologii, - Uganda, politycznej pragmatyki. Zadaniem komunistycznej propagandy było zatem oczyszczenie niechętnego wrażenia i rozproszenia niepożądanych skojarzeń - słowem, polegało ono na wykłamaniu, że czarna, jeżeli nie jest biała, to w każdym razie szara. I tak ideologicznie się, że Szarewni Kmerowie, którzy jeszcze do niedawna opierali się na bliskich naszym; oficjalnej; ideologii przesłania, dokonali w pewnym momencie /nieśmiało/ zmianę w politycznej poglądowej; i zaczęli na bezwzględny terrorizm; utwierdziliśmy się także w przekonaniu, że marszałek Amin był, pomimo swoich wad, godnym sprzymierzeńcem komunizmu, gdyż na terenie Afryki reprezentował poważną siłę polityczną wynikającą z powszechnego w gruncie rzeczy poparcia, jakim cieszył się afrykański lud.

A zbrodnie? A miliony zamordowanych przez postępowych Kmerów, a setki tysięcy terrorizowanych i zabitych przez ludzi "dobrodusznego" Amina? Czyżby o tym nie wiedzieli nasi oficjalni komentatorzy wyderzeń w Ugandzie i w Kambodży?

Ależ nie! Oto okazuje się, że o zbrodniach /oczywiście nie na tak masową skalę - temu bowiem żaden z nich nie dawał wiary/ wszyscy oni wiedzieli, ale nie budziły one żadnych oporów, czy wątpliwości; "byłem gotów przystać na każdą azjatycką specyfikę ze wszystkimi jej okrucieństwami, które w szczególnych wy-

radkacn mogą się okazać misją humanizmu, ponieważ chłop anijatycki nie uwierzy w żadne zmiany i żadne reformy, dopóki na własne oczy nie zobaczy odciętej głowy obszarnika lub jego skurczonych zwłok - pisze Górnicki w swojej relacji z Kambodży - Byłem tylko jednym z wielu, którzy w tantyon latach aprobowali wszystko czy prawie wszystko, cokolwiek zdawało się zapowiadać w południowej Azji nadjeście epoki człowieczeństwa." Zbrodnia bowiem jest czymś naturalnym gdzieś w dalekiej Azji, wry w środkowej Afryce. Jest to bawia i c n a y ś w i a t m o r a l n y . "Wtedy działania Amina poza Afryką oceniano zazwyczaj jako szokujące czy brutalne, podczas gdy w większości państw afrykańskich patrzone na nie o wiele "spokojniej" - stwierdza ze zrozumieniem Pasierbiński. Zbrodnia byłaby zbrodnią w Paryżu, Londynie, Wersawie czy Moskwie i to nawet wtedy, gdyby chodziło o problemy naprawy świata - w Phnom Phen, czy w Kampali zbrodnia jest czymś powszednim i zupełnie niezabędnym w dokonywaniu przeobrażeń światopoglądowych prymitywnych mieszkańców Kambodży bądź Ugandy.

Ci wszyscy apolugści koncepcji "wielu światów moralnych" idą w ślady swojego ideowego mistrza. Mistrz bowiem, etnocentryk, zawsze był zwrócony u ludzi swojej kulturowego. Ale też i w swoich koncepcjach pozostawiał ich własnemu losowi. Dzisiejsi komuniści postąpili dalej: nie mogą już zrezygnować z "ratowania" narodów Trzeciego Świata, ale okazuje się, także nie potrafią traktować ich w kategoriach cywilizowanych białych ludzi.

Marka była człowiekiem XII wieku. Trudno

Jednak pojąć, jak w wiśku XI można usprawiedliwić zbrodnię kryteriami "rasowej moralności". W takich poglądach zbyt wyraźnie czuć stęchliznę dziewiętnastowiecznych pomysłów pana Gobineau...

■

Czytamy po gazetach, oglądamy w telewizorze relacje z Kambodży. Tresowanym, a przecież rasowym reportsrom wyraźnie zalecono się wyszumieć. Na miejscu okazały się smakowite opisy egzekucji, których dopuścili się wrogowie ideowo-polityczni. A główną sprawczą przyczyną okropności jest naturalnie fakt, że stoczyli się władcy Kambodży na błędne pozycje: najpierw teoretyczne, potem w praktyce rewolucyjnej. Bo samo przez się mordowanie jakby nie jest zbrodnią, dopiero mordowanie z niesłusznych pozycji podlega potępieniu, w imię racji zarówno ideowych, jak humanitarnych. W danym przypadku powiązано zbrodnię mniej czy bardziej subtelnie z lewactwem w ogóle, maoizmem w szczególności, nawet Marcuse gdzieś się tu przyplątał.

Na reporterskim froncie w Kambodży okazała się też przydatna osobista wrażliwość. Na przykład samokrytycznie oceniając własne, niedysyjsze pochwały pod adresem Czerwonych Khmerów, ostrzej, wydatniej uwierzytelnia się bieżącą relacją. Zresztą, istotnie, było od czego doznać wstrząsu, oddychając trupim powietrzem, oglądając dzień po dniu zwłoki pomordowanych w sposób wymyślnie barbarzyński. Ów lekki obrachunek z własnym sumieniem, to delikatne bicie się w piersi stanowią zresztą wypróbowane chwytty psychologiczne. Działają świetnie, zwłaszcza wśród miedzianych czoł i powszechnej, wygodnej zresztą choroby, po-

legającej na niedostrzeganiu belki w własnym oku. I oto zawodowy żgierz, wyśluzony w kolejnych kampaniach propagandy sta nabiera autorytetu, przybiera eszaty nieskazitelnego, światłego stróża norm europejskich.

I okazuje się, że w tym przebraniu jest mu do twarzy. Tak jest i cieszymy się z tego, bo chyba, szczerze mówiąc, nie mamy wyboru. Czyżbyśmy woleli specjalnego wyskannika w jego poprzednim służbowym wcieleniu, zwolennika reedukacji mieszkańców miejskich Kambodży, drogą wysiedlania na wieś, celem skierowania do prac polowych? A poza tym jest całkiem prawdopodobne, że w takim aprobowaniu metod podobno adekwatnych do rewolucyjnej specyfiki kambodżańskiej bywali nasi korespondenci znacznie bardziej zakłamanymi niż teraz, kiedy, również na polecenie służbowe, demaskują zbrodnie, kiedy okolicznościowe interesy polityczne tak się złożyły, że wypada mówić prawdę. I cieszymy się z tego. Bo prawda, choćby niepełna, używana do przewrotnych zabiegów, przacieł prawdą pozostaje. Zauważmy, jak pięknie je od niej styl, jak doskonali się przewód myślowy, a reporterskie słowa odzyskują swoje normalne znaczenie. I okazuje się, że z całą pewnością przyjemniej jest i z zawodowego i z ludzkiego punktu widzenia mówić prawdę, niż kłamać. Obrona skrzywdzonych i poniżonych daje prawdopodobnie więcej satysfakcji dziennikarskiej niż wychwalanie zbrodniczego obłąkania. Tylko że owe szlachetne przyjemności na ogół się nie opłacają: i tu temat kambodżański jest wyjątkowy. Sumienie i kariera nie kłócą się ze sobą, więc póki rutyna i nowe zadania nie odbiorą im znów tej możliwości cieszyć się wraz z reporterami,

że - choć instrumentalnie - napisali trochę prawdy. I cieszymy się, że w podbitej czy w, zwolonej Kambodży, mniejsza w tej chwili o przmiotnik, chwilowo nie rozwala się draganami i motykami głów skazańcom po szyję zakopanym w ziemi.

JEAN MONNET

W połowie marca zmarł Jean Monnet, "pierwszy honorowy obywatel Europy" /tytuł nadany mu oficjalnie przez Radę Europejską/. Był osobliwą krzyżówką apostoła i szarej eminencji. Nie stworzył - samouk nie mający nawet matury - żadnego uczonego systemu zbawienia ludzkości. Za całą broń miał chłopski upór winiarza z Cognac i parę prostych prawd, w które święcis wierzył i którymi umiał zarażać tych, co go słuchali.

Monnet, syn racjonalistycznej Francji, uważał, że świat jest zbyt skomplikowany. Antagonizmy narodowe, granice, bariery celne były dla niego śladami dzieciństwa ludzkości, nieprzezwykłonym dziedzictwem anachronicznych zabobonów. Ogromnych zasobów Ziemi, które nauka i technika mogą jeszcze pomnożyć, wystarozy przecisnąć dla wszystkich. Narody, zamiast wydzierać je sobis, powinny je po prostu racjonalnie wykorzystać. Zanikanie wtedy potrzeba i pokusa użycia siły. "O ile w obrębis naszych granic zdołaliśmy zorganizować wolność i za wspólną zgodą utrzymaliśmy rządy prawa, które w dużej mierze eliminują ducha dominacji, to na płaszczyźnie międzynarodowej nadal utrzymujemy pokój za pomocą siły. Musimy teraz wznieść się ponad granice i stworzyć nowe formy stosunków między krajami" - mówił Monnet.

Dobra wola tu jednak nie wystarczy. Potrzebne są prawa, którym państwa podporządkują się

tak, jak obywatele podporządkowują się ustawom swego kraju i potrzebne są instytucje stojące na straży tych praw. Ludzis przychodzą i odchodzą, instytucje trwają i one to akumulują zbiorowe doświadczenie ludzkości - to też była jedna z ulubionych myśli Monneta.

Jego doświadczenia życiowe zdawały się potwierdzać to, co było podstawą jego światopoglądu. Podczas pierwszej wojny światowej, jako ożłowiek niespełna trzydziestoletni, zdołał zorganizować wspólny angielsko-francuski organ koordynujący zakupy i przewóz surowców strategicznych na potrzeby aliantów. Przy podobnej pracy zastała go, w Londynie, druga wojna. Jeszcze zdążył, wspólnie z innym, uzupełnić odmiennego pokroju wizjonersm, de Gaulle'em, przekonać Churchilla do koncepcji - bagatelna - unii francusko-brytyjskiej, ale na to było już za późno: zażalenie się Francji przekreśliło te plany, które de Gaulle traktował jako taktyczny chwyt mający podtrzymać gasnącą wolę walki francuskich kół rządzących, a Monnet - jako realny program połączenia losów dwóch wielkich narodów od wieków uwikłanych w absurdalne waśnie.

Po kapitulacji Francji Monnet od razu znalazł się w obozie antypétainowskim, po stronie demokracji. Nie przyłączył się jednak do gaullistowskiej Wolnej Francji: epopeja garstki narwańców, którzy zbuntowali się przeciw legalnemu rządowi po to, by nie zabrakło imienia Francji na liście zwycięzców po stronie Dobra, nie przemawiała mu do wyobraźni. Ramy tej imprezy były dla niego za ciasne, jej stawka - niepoważna. Dla niego empiryka do szpiku kości, liczyły się nie imponderabilia, lecz realia, czyli zwycięstwo, odniesione jak najszybciej,

jak najmniej, a kosztem. Jadzie więc-cywa-
tel francuski - jako przedstawiciel rządu
brytyjskiego do Waszyngtonu, by kupować
broń dla wojsk angielskich. Jednocześnie bie-
rze aktywny udział w pracach związanych z
programem "Victory", którego zadaniem było
przedstawienie ogromnego potencjału przemy-
słu USA na tory gospodarki wojennej. Generał
Marshall powiedział o nim później: "Pan Mon-
net skrócił wojnę o jeden rok."

Te i inne jego wielorakie doświadczenia
dowodziły, że w obliczu wspólnego, wisłkiego
niebezpieczeństwa narody i ludzie potrafią
wzniesić się ponad małosatkowe uprzedzenia, a
nieprzewidywalne, zdawałoby się, sprzecz-
ności interesów bieżących i odmienności tra-
dycji schodzą na drugi plan. Czy nie dowodzi-
ły również, w szerszej perspektywie, utajo-
nej racjonalności świata, racjonalności, któ-
rą trzeba tylko wydobyć spod chaosu przesza-
niających ją przesądów i zabobnów? Dlaczego
to, co jest możliwe w sytuacji wyjątkowej,
miałoby być niemożliwe "na codzień", wobec
zagrożenia odleglejszego, ale też realnego,
jakie stanowi rządzący stosunkami międzynaro-
dowymi "duch dominacji"?

Niech więc Europa - przynajmniej ona -
zjednoczy swe ogromne siły, niech jej narody
połączą gęsta siatka wspólnych organów, insty-
tucji, planów, przedsięwzięć, niech na straży
tej konstrukcji stanie jedna ponadnarodowa
władza, a przed kontynentem otworzą się nowe,
porywające perspektywy wolności, dobrobytu,
braterstwa. Proste.

Pracy nad tym celem poświęcił się Monnet
całkowicie. Jego światopogląd i doświadczenia
podyktowały mu metodę działania. Ten przekona-
ny demokrat nie piastował nigdy żadnego man-

datu pochodzącego z wyberu i w ogóle zdradzał wielkopańskie lekceważenie dla normalnych mechanizmów demokracji. Odstępowała go zapewne cała demagogiczna, historyjalna strona polityki: schlabianie tłumom, granie na ich instynktach, by je pozyskać dla jakiejś idei, choćby szlachetnej i godziwej. Skoro gra teczy się o zracjonalizowanie świata, niech odbywa się na terenie, gdzie liczą się argumenty racjonalne. Dlatego działalność Monneta to ciągłe kołatanie do ośrodków decyzji, to memoranda, notatki, projekty, podsuwane możliwym tego świata, to narady z premierami, ministrami, przywódcami partii i związków zawodowych, byznesmenami, technokratami. Wykazywał przy tej pracy, jak świadczą wszyscy, co się z nim stykali, rzadką cierpliwość i dar przekonywania.

Pierwszy wielki sukces Monneta, to powołana w roku 1950 Europejska Wspólnota Węgla i Stali, której projekt podsunął ówczesnemu francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych Robertowi Schumanowi. Organizm ten, dysponujący w swej wąskiej, ale doniosłej dziedzinie uprawnieniami ponadnarodowymi, miał być zarodkiem unii europejskiej. Gospedarka, dziedzina, w której wszystko da się obliczyć, miała być lokomotywą, która pociągnie wszystko inne w kierunku jedności już nie tylko ekonomicznej, ale politycznej i militarnej, wspartej na istniejącej już od dawna wspólnotcie kultury i idei. Zwińczeniem tej jedności miała być Federacja Europejska, lub wręcz Stany Zjednoczone Europy.

Co zostało się z tego wszystkiego? Dużo i mało. Dużo, bo do Europejskiej Wspólno-

ty Gospodarczej należy już teraz dziewięć państw, w tym tak nie lubiąca wiązać sobie rąk Wielka Brytania, a w kolejce stoją już dalsze. Bo dość sprawnie w końcu działają wspólne mechanizmy przemysłowe i rolnicze a od niedawna system monetarny, bo kręci się bez przerwy ogromna maczyna brukselaka.

Mało, bo nikt nie mówi już o federacji europejskiej, bo w obliczu ostrych kryzysów międzynarodowych i podstawowych problemów współczesności każdy kraj szuka zbawienia własną ręką, bo potężna gospodarczo Europa politycznie nie istnieje, a militarnie chowa się za amerykańskim parasolem.

Monnet nie docenił siły przywiązania do własnego państwa, pozucia solidarności jakie rodzi więź narodowa i pamięć o wspólnej historii. To, co daje się, lepiej czy gorzej, zracjonalizować okazało się za słabe, by sprząc kraje kontynentu w jedną całość. W technokratycznej i racjonalnej Europie żyje się lepiej, łatwiej, bezpieczniej niż gdzie indziej, ale nie przemawia ona do serc, nie porывa, nie budzi namiętności. Rozmywa się w przetargach o ceny i taryfy, o wyrównania i odszkodowania. Racjonalna organizacja nie przyniosła jej tego, czego jej brakowało i co należy do zlekceważonej przez jej twórców domeny irracjonalności: woli, wiary we własne siły, w słuszność obranej drogi. Zjednoczona, boi się świata tak, jak bały się go od końca I wojny światowej składające się na nią państwa narodowe. W sferze kultury jest w stanie przemawiać jednym głosem tylko na poziomie najprymitywniejszej produkcji masowej. W sferze idei - przeprosza, że żyje i że jest demokracją.

Płaszcz Europy jest cieplejszy, ale purpura z niego speżrza. Nie jest to już kontynent krzyżowców i budowniczych katedr, filozofów i rewolucjonistów, buntu czło-wieka przeciw samemu sobie, trudnych pytań i zuchwałych zamierzeń.

Jean Monnet nie tu oczywiście nie za-winił. Był po prostu ucieleśnieniem współ-czesnej Europy, w jej technicznej sprawność-ci i sybarytycznej umiajętności życia, ale i w jej bezradności i głęboko ludzkiej ma-łkości. Ten drobny czkoczyna o wzięciu urzęd-nika bankowego był naprawdę następcą Karola Wielkiego, takim, na jakiego stać Europę XX wieku. Jest w tym pewna melancholia...

Redaktor naczelny "Polityki", Mieczysław F. Rakowski, w jednym z marcowych numerów pis-ma postanowił wypowiedzieć się na tematy niemiecko-polsko-radzieckie. Artykuł ten wzbudził znaczne zainteresowanie, ponieważ od jesieni minionego roku problem zjednocze-nia Niemiec znowu pojawił się, może jeszcze nie w rozmowach dyplomatów, ale w gazetach, w napomknieniach, w powietrzu. Wypowiadali się na ten temat w wywiadzie dla "Sterna" radzieccy eksperci od spraw międzynaodo-wych Wadim Zagładin i Walentin Falin /prze-druk w "Forum" 1979/16/. Niedawno w "News-weeku" pisał na ten temat Theo Sommer, re-daktor naczelny ważnego zachodnio-niemiec-kiego tygodnika "Die Zeit". Między opiniami radzieckich i niemieckich publicystów i eks-pertów, a poglądem przedstawionym przez Ra-kowskiego jest pewna zasadnicza różnica.

Oni rozważają problem, wszyscy zresztą wątpiąc w możliwość zjednoczenia, natomiast Rakowski nie rozważa, tylko oświadcza, nie

*OBIETNICA

dyktowane, tylko jest pewnie swago. Nie tylko jest pewnie, ale gwarantuje społeczeństwu polskiemu, że przez najbliższe pięćdziesiąt lat do zjednoczenia Niemiec nie dojdzie. Przywykliśmy, że publicystyka polityczna w polskiej prasie służy aktualnej polityce rządu polskiego. Przywykliśmy do tych nieoczekiwanych i tarycznie tylko uzasadnionych zmian opinii na temat szacna Iranu czy władców państw amerykańskich, którzy z przyzwoić stają się ale przeciwnikami i na odwrot. Są to jednak sprawy dla społeczeństwa polskiego drugorzędne, natomiast sprawa niemiecka ma dla niego znaczenie podstawowe. Gwarantować żołnierz właśnie w tym momencie, kiedy coś się zaczyna dziać, kiedy ewentualność zjednoczenia Niemiec, jakkolwiek mało prawdopodobna, zaczęła znów, po latach przerwy, latarnicować świat, nie jest śmiałością, lecz przekroczeniem uprawnień publicysty.

Rakowski jest jednak także politykiem. Odtąd udzielanie takich gwarancji stanowi także przekroczenie uprawnień polityka. Polityk może powiedzieć: "zrobimy wszystko, zacy do zjednoczenia Niemiec nie doszko", ale obliczać, że nie dojdzie, nie może, nie jest władny.

"Polityka" jest piśmie, które często budzi sympatię. Wiadomo, że nie o wszystkim może pisać, że często prowadzi beznadziejną walkę o racjonalność polskiego życia gospodarczego i społecznego, ale że staraniami tymi kieruje zdrowy rozsądek i elementarna przyzwoitość. Jednak obietnica taka jak te formułowane przez Rakowskiego podważają zdrowy rozsądek i każą wątpić w przyzwoitość piśmi. Jeśli nie można sumiennie rozważać tak ważnej

sprawy jak zjednoczenie Niemiec, to może lepiej po prostu o tym nie pisać i nie zapewniać społeczeństwa, że nie ma o czym myśleć, właśnie wtedy, kiedy rozpoczyna się może rozgrywka dyplomatyczna, która dotyczy podstaw losu tego społeczeństwa.

"Ruchy masowe mogą istnieć bez wiary w Boga, ale nie mogą bez wiary w diabła" /Eric Hoffer/. Diabłem wszystkich krajów socjalistycznych jest syjonizm. Odradza się, przybiera coraz to nowe postaci i nie traci nic ze swej żywotności. Wciąż ujawnia swoje ukryte i nieczyste zamiary.

SZKOŁA NIEMAWIŚCI

Syjonisci, co wiemy już z "Protokółów Mędrców Syjonu", chcą zapanować nad światem. Jedną z radzieckich propagandzistów, niejaki Solar, w dziele "Dzika polana" wydany w 200 tys. egzemplarzy w 1977 roku pisze, że żydowska finansjera kontroluje nie tylko rządy, ale i środki masowego przekazu. Syjonisci zarządzają General Motors, Fordem, Electric Int. Business Machines, Mobil Oil, Chryslerem i tysiącem innych przedsiębiorstw. "Ogoniok" twierdzi, że na 168 "koncernów śmierci" 158 należy do Żydów. Pewien badacz nauczający w Instytucie Języków Obcych im. Thorena w Moskwie dowodzi, że 80% gospodarki i 95% środków masowego przekazu w krajach kapitalistycznych kontrolowane jest przez syjonistów. Do roku 2000 /zostało już niewiele lat/ chcą zapanować nad światem.

Ich ideologią jest Tora, która szerzy gangsteryzm, gloryfikuje hipokryzję, zradę, perfidię, rozpustę i okrucieństwo /Be-gun w pracy: "Wtórzenie bez bruzdy", Moskwa-Gwardia 1977/. Syjonisci uważają, że

wobec gojów można stosować przemoc, oszukiwać ich, eksploatować. Naród wybrany znajduje się ponad i poza wszelką moralnością.

Dowiadujemy się wreszcie skąd wziętą się faaszizm i hitleryzm. W dwóch listopadowych numerach "Ogonioka" z 1978 roku ujawniono, że Chaim Weizmann przyjaźnił się z Benito Mussolinim i razem współpracowali w podboju krajów Morza Śródziemnego. Z Hitlerem byli w jeszcze bliższych stosunkach. Oni finansowali jego partię przed 1933 rokiem, oni wreszcie finansowali niemieckie zbrojenia przed wojną. Są odpowiedzialni za wszelkie zbrodnie przeciw ludzkości. Sąd norymberski powinien był sądzić nie tych, którzy mordowali, ale tych, którzy zostali zamordowani. Te miliony Żydów zagazowanych w Treblince, Oświęcimiu, Bełżcu...

Nienawiść ma przeraźliwą siłę. Radio, telewizja, prasa codzienna, tygodniowa i miesięczniki zawiadaniają społeczeństwo radzieckie, że ich głównym wrogiem nie jest już stara, koścista jak na rysunkach w "Krokodylu", burżuazja. Jest nim syjonizm. To przeciw niemu, przeciw burżuazji żydowskiej walczyła przed pierwszą wojną światową rosyjska klasa robotnicza urządzając pogromy na ulicach Odessy, Kiszyniowa i Kijowa. /Begun, "Pożuczaja kontrrewolucja", Mińsk, 1974/. Żaden ruch, żaden naród nigdy nie przykuwał i nie zajmował tak radzieckiej propagandy jak Żydzi i syjonizm. Oto Związek Radziecki znalazł sobie wroga: trzy miliony Izrael i kilkanaście milionów rozproszonych po świecie /m.in. w ZSRR/ Żydów. Jak na wroga, to za mało. Na diabła - wystarczy.

OSWAJANIE KRYZYSU

Przypadkowe - jak by się wydawało - wahania tempa wzrostu polskiej gospodarki oraz doraźne i pozornie nie powiązane ze sobą decyzje i posunięcia grupy rządzącej układają się w dwa dynamiczne porządki działań o wyraźnej strukturze wewnętrznej i logice. Mam tu na myśli z jednej strony c y k l e e k o n o m i o z n o - p o l i t y c z n e, z drugiej zaś występujące równocześnie i - co ciekawsze - wychodzące z tego samego źródła /grupa rządząca/ dwa sprzeczne dążenia: t o t a l i z a c y j n e i d e t o t a l i z a c y j n e. Kolejne fazy cykli ekonomiczno-politycznych produkują się niejako nawzajem i każda z nich posiada w sobie załączki fazy następnej. W miarę rozwoju konstytutywnej dla danej fazy tendencji wzmacniają się bowiem również siły społeczne i mechanizmy, które nieuchronnie muszą doprowadzić do punktu zwrotnego cyklu /kryzysu/ i pojawienia się fazy o tendencjach przeciwnych /znowu - tak jak poprzednia - od początku noszącej w sobie zapowiedź punktu zwrotnego/. Podobny charakter ma zresztą ciąg działań totalizacyjnych i detotalizacyjnych. Te ostatnie stanowią bowiem próbę uniknięcia przez elitę rządzącą pułapek, które stworzyła sobie sama w procesie totalizacji.

Elita ta przekonała się mianowicie, że jej dążenie do kontrolowania i podporządkowania sobie wszystkich przejawów życia społecznego i wiążąca się z tym likwidacja wszelkich niezależnych od władzy mechanizmów samoregulacyjnych - doprowadziły do rezultatów dokładnie odwrotnych niż zamierzone. Proces totalizacji nie tylko nie zwiększył możliwości sterowania systemem zgodnie założonymi celami, ale wręcz przyczynił się do nasilenia zjawisk niekontrolowanych. Z drugiej strony jednak również i obecna - bardzo ograniczona - polityka detotalizacji, czyli próba samoograniczenia się władzy, rodzi napięcia i od początku nosi w sobie zapowiedź ponownej totalizacji. Jak zobaczymy bowiem w dalszej części artykułu, sposób realizowania tej polityki przez gru-

Do rządzącą zwiększa niepewność własnego statusu i frustracje społeczna wykonawczego, który powodowany tymi motywacjami sprzyja powracaniu tendencji totalitarnych.

Pamiętając o endogennym charakterze obu wspomnianych wyżej procesów nie należy równocześnie zapominać o ich wzajemnych powiązaniach. Na przykład - pulsacyjny /cykliczny/ charakter rozwoju gospodarczego jest w dużej mierze niezamierzonym efektem mechanizmów i rozwiązań instytucjonalnych stworzonych między innymi w imię totalitarnej utopii. Z drugiej strony - punkt zwrotny cyklu /kryzys ekonomiczny/ z całą ostrością uświadamia grupie rządzącej wszystkie stworzone przez nią samą pułapki totalitarności oraz wady stosowanych przez nią instrumentów kierowania. Inaczej mówiąc - kryzys może /choć - nie musi/ stać się impulsem do podjęcia działań detotalitarnych.

Celem niniejszego artykułu będzie próba opisanie obu zarysowanych wyżej procesów. Równocześnie postaram się pokazać, w jakiej fazie obu porządków dynamicznych znajduje się Polska obecnie i jakie są w tym względzie prognozy na najbliższą przyszłość.

Na wstępie pragnę zwrócić uwagę na trzy charakterystyczne momenty cykli rozwojowych w Polsce.

Po pierwsze - poszczególne cykle składają się z dwóch faz, cechujących się odmiennym kierunkiem konstytutywną dla każdej z nich tendencji /np. wysoki a potem niski udział akumulacji w podziale dochodu narodowego, lub - odpowiednio - niski a potem wyższy udział spożycia w podziale dochodu; lub - duży udział inwestycji z przewagą działu produkującego środki wytwarzania - zaś w drugiej fazie - niższy udział inwestycji w podziale dochodu, przy równoczesnym zwiększeniu rozmiaru inwestycji w przemyśle produkujących na rynek i w rolnictwie/.

Po drugie - poszczególne wymiary charakteryzujące daną fazę cyklu mają odmienne punkty zwrotne. Inaczej mówiąc - zrewidowaniu w dół udziału akumulacji i inwestycji w podziale dochodu narodowego nie towarzyszy automatycznie podniesienie udziału spożycia /np. podwyżki płac/. To pierwsze ma miejsce w momencie kryzysu ekonomicznego, to drugie - wymuszane jest dopiero przez kryzys polityczny. Ta nierównoczesność punktów zwrotnych poszcze-

gólnych wymiarów faz /to swoiste "odwleczenie" wynosi średnio ok. 2 lat/ służy - jak zobaczymy dalej - stabilizacji dotychczasowych układów władzy, ale równocześnie uniemożliwia racjonalizację systemu i sprzyja reprodukcji kosztownego społecznie, pulsacyjnego charakteru rozwoju gospodarczego. Racjonalizacja systemu wymagałaby bowiem podjęcia równocześnie całego zespołu działań /rewizje planu akumulacji w dół, zmiana struktury inwestycji na rzecz przemysłów rynkowych, uzyskanie kredytów, wzrost płac i spożycia, reforma gospodarcza i polityczna/.

Po trzecie - występujące w kolejnych cyklach kryzysy polityczne cechuje postępująca rytualizacja, przy dwóch możliwych wersjach rytuału - tzn. "październikowej" /od października 56/ i "grudniowej" /od grudnia 70/. Co więcej - każdy kolejny kryzys jest dla elity władzy okazją do wyrównania rachunków z okresu kryzysu poprzedniego - na przykład kryzys marcowy z 1968 roku, a przedtem w ograniczonym stopniu - tzw. kryzys w kulturze w 1964 roku stanowiły swoisty odwet frakcji, której w trakcie VIII Plenum w październiku 1956 roku przypadła rola "czarnych charakterów".

Jak już wspominałam wyżej - punktem zwrotnym cyklu ekonomiczno-politycznego czyli momentem przejścia do następnej fazy jest sytuacja kryzysowa.

Kryzys ekonomiczny w "planowej", socjalistycznej gospodarce oznacza, iż kontynuowanie wybranego poprzednio programu gospodarczego /poziom i struktura inwestycji, stopień udziału akumulacji w poziomie dochodu narodowego/ staje się niemożliwe, ponieważ prowadzi do gwałtownego obniżenia wszystkich wskaźników rozwoju ekonomicznego. Owo obniżenie ma miejsce mimo utrzymania na tym samym poziomie /a nawet - wzmagania/ wysiłków inwestycyjnych i wysokiej stopy wyzysku.

Innymi słowy - kryzys ekonomiczny jest momentem, gdy sama gospodarka odrzuca określony model polityki ekonomicznej. Wskaźniki owego odrzucenia są następujące:

- 1/ - gwałtowne obniżenie efektywności inwestycji;
- 2/ - gwałtowny spadek stopy wzrostu do-

chodu narodowego /mimo rosnącego poziomu akumulacji i inwestycji/. Najdrażyczej w tym względzie sytuacja, jeśli chodzi o kraje tzw. "socjalistyczne", wystąpiła w Czechosłowacji w 1963 r., gdy udział akumulacji w podziale dochodu narodowego wynosił 25%, a wskaźnik wzrostu G N P w tym samym czasie był minusowy i wynosił - 2,2%. Obecna sytuacja w Polsce/spadek dynamiki przyrostu dochodu narodowego przy bardzo wysokim procentowym udziale akumulacji w podziale dochodu, a więc przy znacznych kosztach płaconych przez społeczeństwo/ jest pod tym względem tylko niewiele mniej drażycza od czeskiej w 1963 roku;

3/ - wzrastające trudności w sferze zaopatrzenia w surowce i w kooperacji między przedsiębiorstwami. Sygnałami owych trudności są gwałtownie wzrastająca ilość sporów w komisjach arbitrażowych dotyczących niedotrzymania warunków umowy, a także wzrastające procentowe odchylenia w wykonaniu planów kwartalnych w przedsiębiorstwach /przeestoje z powodu braku surowców/. Przykładowo wskaźnik przeestoju w polskim przemyśle w okresie 1974-78 wahał się w zależności od branży od 10-30% czasu pracy;

4/ - spadek wskaźnika produktywności środków trwałych w przemyśle /relacja środków trwałych brutto w cenach bieżących do produkcji czystej w cenach stałych/;

5/ - rosnące napięcia na rynku konsumpcyjnym, związane z brakiem równowagi rynkowej i procesami inflacyjnymi.

Napięcia te łączą się nie tylko z chronionym w I fazie cyklu niedoinwestowaniem rolnictwa i przemysłów produkujących na rynek, ale również z charakterystyczną dla tej fazy tendencją do nadmiernego inwestowania przy równoczesnym niedocenianiu czasu i kosztów inwestycji /a więc także - zbyt niskiej ocenie dochodów zatrudnianych na tych inwestycjach pracowników/. Równowagę próbuje się przywrócić przez jawne i ukryte podwyżki cen detalicznych, co prowadzi w efekcie do spadku płac realnych /w 1978 roku - o około 2,8%/.

Opisane wyżej wskaźniki kryzysu ekonomicznego stanowią sygnał odrzucenia określonej polityki ekonomicznej przez samą gospo-

darką, nie zaś - przez społeczeństwo /na przykład przez ruch protestacyjny/. W czasie kryzysów ekonomicznych społeczeństwo jest bowiem sfrustrowane ale cieżące /ze względu na nasilającą się zamykają w tych okresach kontrolę policyjną/.

Odmrożenie polityki ekonomicznej przez gospodarkę polską oznaczało za każdym razem, iż tendencja do reprodukcji nierównoważonej, samodławiącej się struktury gospodarczej nie weryfikowanej przez obiektywne mechanizmy ekonomiczne /typu rynku/ silił się w procesie totalizacji, napotykała bariery nie do pokonania.

W czasie powtarzających się sytuacji kryzysowych grupa rządząca podejmowała decyzje nadzwyczajne, w b r e w właściwej dla okresów międzykryzysowych tendencji do reprodukcji samodławiącej się struktury. Owe decyzje nadzwyczajne to najczęściej rewidowanie w dół /obniżanie/ planów inwestycyjnych oraz przesuwanie środków między sektorami /a więc niejako "odkorkowywanie" na moment wąskich gardeł w systemie gospodarczym/. Ceną płaconą za takie cykliczne odkorkowania są poważne straty materialne związane z wstrzymaniem rozpoczętych już inwestycji i zamrożeniem kapitału. W czasie obecnego kryzysu /1973/ ceną jest również przekreślenie szansy na zmniejszenie technologicznej różnicy w porównaniu z krajami kapitalistycznymi. Obecne mechaniczne i administracyjne cięcia importu i inwestycji przekreślają bowiem często sens kosztownych nakładów na nowe technologie w okresie 1971-75.

Opisany wyżej pulsacyjny typ wzrostu, z punktem zwrotnym w postaci kryzysu ekonomicznego, sprawia również, że osiągnięte przyrosty dochodu narodowego są niższe od przyrostów, które - przy tych samych nakładach - byłyby możliwe, gdyby wybrano typ wzrostu bardziej zrównoważonego. Co więcej - odchylenia w dół obecnego poziomu konsumpcji i poziomu płac realnych od poziomu możliwego przy innym typie wzrostu są jeszcze większe, niż odchylenia w dół przyrostu dochodu narodowego. Wskazuje to, że obecny typ wzrostu preferuje "produkcję dla produkcji", czyli nadmierne rozwinięcie gałęzi wytwarzających środki produkcji - i następnie pochłaniających gros własnych wyrobów. Innymi słowy - jest to sytuacja pracy na jałowym biegu, gdy

gospodarka sama pożera to co wytwarza /maszyny, energia, surowca/ i mimo wzrostu jej potencjału - nie rośnie stopień zaspokojenia potrzeb społecznych.

Powyższe fakty ilustrują dobrze napięcie sprzeczności interesów między elitą, zainteresowaną w utrzymaniu obecnego trybu podejmowania ważnych decyzji, a społeczeństwem. Innymi słowy - jest to sprzeczność między upaństwowieniem a uspołecznieniem własności środków produkcji.

Przyczyny powtarzania się kryzysów ekonomicznych w socjalistycznej gospodarce są złożone i wielorakie. Są to jednak zdecydowanie przyczyny typu p o l i t y c z n e g o. Należy tu wymienić przede wszystkim sztuczność, konwencyjność całej semantyki używanej w gospodarce. Jest to efekt zlikwidowania przez grupę rządzącą wszystkich mechanizmów ekonomicznych pozwalających obiektywizować wyniki działalności produkcyjnej i inwestycyjnej. Jest to zresztą równocześnie pułapka dla samej elity władzy. Nie może ona bowiem obcnie weryfikować w sposób inny niż intuicyjny zasadności żądań inwestycyjnych branż i przedsiębiorstw.

Nie można bowiem oceniać faktycznej ekonomicznej efektywności ponoszonych nakładów w sytuacji, gdy wszystkie podstawowe kategorie semantyki gospodarczej - ceny produktów, pracy, kapitału i środków trwałych - ustalone są w trybie administracyjnym a nie ekonomicznym i same są przede wszystkim wyrazem mocy przetargowej poszczególnych branż, sektorów przemysłowych i przedsiębiorstw.

Jak dotąd większą moc przetargową posiadają zresztą przedsiębiorstwa i branże produkujące środki wytwarzania a nie środki konsumpcji. Jest to spuścizna tzw. "obiektywnego" prawa socjalizmu /z którego wycofano się w Polsce dopiero po 1956 roku/, mówiącego o konieczności przyspieszonego wzrostu tego właśnie sektora. Sektor ten /jako szczególnie kapitałochłonny/ wywalczył sobie między innymi już pod koniec lat 40-tych, zniesienie oprocentowania środków trwałych - co uniemożliwia obcnie kontrolę efektywności poniesionych w przeszłości nakładów inwestycyjnych i sprzyja wzrostowi niezrównoważonej struktury, wzrostowi, który nie napotyka żadnych barier. Grupie rządzącej nie udało się wprowadzić z powrotem owego oprocentowania /i bankowej kontroli inwestycji/ w czasie kolejnych prób reform gospodarczych. Pod koniec lat 60-tych obli-

czano, że wprowadzenie takiego oprocentowania zwolniłoby ekspansję sektora produkującego środki produkcji o około jedną trzecią. Obecnie jednak wciąż dynamika wzrostu tego sektora jest wyższa niż dynamika sektora produkującego środki konsumpcji i sektor ów wciąż otrzymuje dodatkowe środki, ze względu na swoją większą moc przetargową.

Sztuczność o całej semantyki ekonomicznej w polskiej gospodarce jest przede wszystkim rezultatem braku rynku, gdzie ceny czynników produkcji obiektywizowałyby się i kształtowały zgodnie z prawem wartości. Likwidacja rynku i swoiste ubezwłasnowolnienie przedsiębiorstw są skutkami wysiłków władzy totalnej pragnącej zminimalizować sfery przez nią nie kontrolowane. Owa likwidacja rynku już w pierwszych latach istnienia gospodarki socjalistycznej stanowiła również etap w toku realizacji totalitarnej utopii, związanej z przekształceniami struktury społecznej i kierowanym przez państwo przyspieszonym uprzemysłowieniem.

Podstawą realizacji owej utopii miała być pełna mobilizacja wszystkich zasobów /wewnętrzna kolonizacja/ i kierowanie nimi z jednego centrum. Wszystkie niezależne formy wyrażania preferencji społecznych, a więc zarówno pluralizm polityczny jak i rynek, były traktowane jako czynniki utrudniające ową mobilizację, a także sprzyjające, zdaniem grupy rządzącej, powielaniu starych struktur produkcyjnych i zróżnicowań społecznych.

Tak więc obecne reprodukowanie się nieefektywnej i samodziałającej się struktury gospodarki odbywa się wprawdzie wbrew woli grupy rządzącej, ale jest rezultatem stworzonych przez tę grupę mechanizmów. Zlikwidowaniu samoregulatorów ekonomicznych /rynek - kontrola bankowa/ towarzyszyła postępująca centralizacja i koncentracja wszystkich prawie ważnych decyzji w rękach wąskiej grupy kierującej. Paradoksalnie, głównym efektem owego głędu władzy stała się utrata efektywnej kontroli nad gospodarką. Jak już wspomniałam - nie można obecnie obiektywizować efektywności funkcjonowania przedsiębiorstw i ekonomicznego sensu ponoszonych nakładów. Socjalistyczni managero-

wie ze swej strony nie tylko zorientowali się szybko, że grupa rządząca nie posiada argumentów żeby powiedzieć "nie" na ich żądania inwestycyjne, ale doszli do perfekcji w wykorzystywaniu we własnym interesie symboli z fasadowego języka polityków. Tak więc już pod koniec lat 40-tych dla zastopowania krępującej kontroli bankowej posłużono się mitem, iż zarówno przemysł, jak i banki "należą do społeczeństwa", a więc kłóźnia interesów między nimi jest niemożliwa. Gdy zaś ekipa Gomułki starała się pod koniec lat 60-tych wprowadzić mechanizm selektywnego rozwoju, który zakładał likwidację szeregu nieefektywnych przedsiębiorstw, odpowiedzią administracji gospodarczej /i terenowych władz partyjnych/ było zasugerowanie, iż koncepcja Gomułki przypomina im... tezy rewizjonizmu rynkowego /"urynkowienie"/, przeciwko którym sam Gomułka ostro deklarował się w czasie kryzysu politycznego 1968 roku.

Następująca w sytuacji kryzysowej przerwa w funkcjonowaniu opisanego wyżej mechanizmu reprodukcji się samodławiającej struktury gospodarczej jest jednak tylko przerwą chwilową. Po kryzysie i obniżeniu napięć w systemie instytucji gospodarczych w wyniku decyzji nadzwyczajnych, cały mechanizm zaczyna pracować od nowa, tylko intensywność napięć jest przez pewien czas mniejsza. Jak widzimy więc, "uczenie się" systemu w sytuacji kryzysowej oznacza tylko zatrzymanie na moment jego samoniszącej logiki, bez żadnych zmian w owej logice. Kryzys - obniżając napięcia - pomaga wręcz w powtórzeniu się całego mechanizmu pulsacyjnego rozwoju.

W Polsce mieliśmy pięć takich kryzysów ekonomicznych: /1953/54, 1962/63, 1968, 1974/75 i obecny - 1978 rok/. Wszystkie te kryzysy były momentami swoistej regulacji nadzwyczajnej, gdy wprowadzono odgórnie decyzje o rewizji w ów planu produkcyjnego i inwestycyjnego. Owym rewizjom towarzyszyły zmiany i przesunięcia kadrowe w administracji gospodarczej.

Kryzysy te stanowiły przy tym punkty zwrotne cyklu ekonomicznych, a więc momenty przejścia od fazy I cyklu /przyspieszony program akumulacji i inwestycji/ do fazy II /zmniejszenie udziału akumulacji i inwestycji w podziale dochodów/. Jednakże w momentach zwrotnym cyklu /przejście od fazy przyspieszonego do zwol-

nionego wzrostu/ decyduje o rewizji w 1981 planów akumulacji i inwestycji oraz decyzje o podniesieniu spozycia /np. płac/ czy podjęciu prób reformy gospodarczej nie są podejmowane równocześnie. Ta pierwsze grupa rządząca podejmuje w momencie kryzysu ekonomicznego. Decyzje podwyżki płac /i reformy/ podejmowana są po swoistym "odroczeniu" /wynoszącym zazwyczaj około 1-2 lat/ i dopiero pod naciskiem społecznym, ujawnionym w czasie kryzysu politycznego. Owa rozdzielność kryzysów /i wkraczanie sfrustrowanych sił społecznych/ jest - jak już wspomniałam - warunkiem stabilizacji stosunków władzy. Rozdzielność ta uniemożliwia bowiem zaangażowanie się /i współpracę/ wszystkich sfrustrowanych grup społecznych i w rezultacie - stanowi jeden z czynników uniemożliwiających ustabilizowanie stosunków społecznych w ich obecnym kształcie.

Metody absorpcji protestu i gesty symboliczne stosowane obecnie przez elitę rządzącą w czasie kryzysów politycznych posiadają bowiem jasną niepełność wianego statusu na szczeblach administracji gospodarczej i politycznej. Z kolei stosowane przez władzę w czasie kryzysów ekonomicznych sposoby redukcji napięć na szczeblach wykonawczych /przeważenie środków, pażająca inflacja/ odbywają się kosztem społeczeństwa.

Rozdzielność kryzysów ekonomicznych i politycznych prowadzi do rozłożenia w czasie decyzji, które - aby można było rzeczywiście zracjonalizować gospodarkę - winny wystąpić równocześnie. W momencie bowiem, gdy podejmuje się, pod naciskiem politycznym, podwyżki płac - zazwyczaj brakuje już na nie środków /ta z obniżki udziału akumulacji i inwestycji w dochodzie narodowym już się "rozszarpany"/. Odroczenie jest przy tym tak duże, iż społeczeństwo postrzega podwyżki jako zwykłą /i niedostateczną/ kompensację przegranych wyrzeczeń. Co więcej - podejmowanie dopiero po kryzysie politycznym prób reform zarządzania /wymagających innej logiki rozdziału środków finansowych, niż ta, która odbywa się pod politycznym, rewindykacyjnym naciskiem społeczeństwa/ z góry skazuje te reformy na niepowodzenie.

Tak więc w 1956 roku decentralizacja i sanonrad robotniczy stały się głównie instrumentem presji płacowych. W latach 1971/72 ~~znowu~~ zaś wystąpiła podwójna logika rozdziału środków. Z jednej

strony - grupa rządząca ulegała naciskom płacowym ludności i inwestycyjnym przemysłu - co było zrozumiałe po długiej stagnacji. Z drugiej podjęła próbę racjonalizacji gospodarki, opartą na zasadzie: "podwyżki tylko wtedy, gdy przedsiębiorstwo wypracuje produkcję dodaną". Owa dwoistość uniemożliwiła konsekwentną reformę gospodarczą. Co więcej - Gierak /pamiętając błąd taktyczny Gomułki z okresu selektywnego rozwoju/ obawiał się narazić potężnym resortom i nie wystąpił przeciwko siłom instytucjonalnym prowadzącym do re-produkowania się niezrównoważonej struktury gospodarczej.

Należy podkreślić, iż w ponad 30-letnim okresie istnienia Polski Ludowej poważne podwyżki płac wprowadzano tylko w sytuacjach kryzysów politycznych /1956/57 - o 20%, w 1971/72 - o 22%. W tym ostatnim okresie wysoka stopa inflacji - około 8% rocznie - poważnie zresztą zredukowała efekt owych podwyżek/. W innych okresach plany zakładające podniesienie płac nie były realizowane, gdy w tym samym czasie plany rozwoju sektora środków produkcji były systematycznie przekraczane. Jest to ilustracja niedoreprezentowania, w trakcie decydowania o podziale środków, interesów społeczeństwa i nadreprezentowania interesów instytucji.

Warto zastanowić się, czego nauczyła się grupa rządząca, czego zaś społeczeństwo polskie w toku powtarzających się sytuacji kryzysowych? Jednym z istotniejszych efektów pulsacyjnego charakteru rozwoju i cyklicznego powtarzania się sytuacji kryzysowych jest moim zdaniem wykształcenie się w ostatnich latach wśród kadry kierowniczej polskiej gospodarki i państwa charakterystycznej filozofii kierowania zorientowanej na kryzysy. Filozofia ta opiera się na przekonaniu, iż cykliczne powracanie kryzysów ekonomicznych /czyli momentów samodławienia się gospodarki/ jest nieuniknione, i - co więcej - może być wykorzystane dla swoistej regulacji systemu. Podobnie "regulacyjny" charakter /obniżenie napięć, zmiany kadrowe/ mają również kryzysy polityczne.

Ów charakterystyczny splot przekonania o niemożności uniknięcia kryzysów z umiejętnością wykorzystywania sytuacji kryzysowych jako momentów regulacji, sprzyja /obserwowanej zresztą aktualnie w Polsce/ tendencji do postępującej r y t u a l i z a c j i s y t u a c j i k r y z y s o w y c h. Dotyczy to szczególnie kryzysów politycznych. Rytualizacja taka ma na celu odno-

wienie znaczeń i zmianę porządku symboli oraz antycypowanie i wypracowanie nowych ról społecznych dla jednostek i grup. Rytualizacja kryzysu służy również ujawnieniu ambiwalentnych uczuć i stanowisk, i wreszcie - odbudowaniu vitalności grupy. Rytuał ów spełnia więc zarówno funkcję oczyszczającą, jak i ekspresyjną i twórczą. Tak rozumiany rytuał staje się częścią praktyki społecznej na zasadzie prób i błędów, polegających na wypracowywaniu form zachowań i ekspresji coraz lepiej odpowiadających wyobraźni symbolicznej grupy, a więc pozwalających na coraz lepsze wypełnienie założonych funkcji. Postępującej rytualizacji towarzyszy również stopniowe zastępowanie działań rzeczywistych gestami symbolicznymi. I tutaj jednak granice możliwej substytucji sąsiadki określane są na zasadzie prób i błędów, sprawdzających niejako wrażliwość zbiorowości na konkretne gesty oraz emocjonalną nośność poszczególnych symboli. Społecznemu "uczeniu się" rytuału towarzyszy również wypracowanie reguł gry i oczekiwań związanych z rolami poszczególnych aktorów, a także utrwalanie się konwencji semantycznej, pozwalającej na zasygnalizowanie momentów rozpoczęcia i zakończenia rytuału oraz wskazanie zwrotnych punktów - czyli momentów przejścia do nowej konfiguracji symboli i ról.

Za ilustrację takiego ciągu prób i błędów w trakcie uczenia się rytuału zmiany przez kryzys może posłużyć trzykrotne "przymierzanie się" grupy rządzącej w Polsce do manewru destalinizacji /lata 1953-1956/.

Pierwszą próbą było IX Plenum KC PZPR /20-30.X.1953 roku/. Grupa rządząca /z Bolesławem Bierutem na czele/ podjęła wtedy próbę przeorientowania własnej polityki gospodarczej i odejścia od zasad gospodarowania lansowanych w latach 1949-53. Chodziło w szczególności o zlikwidowanie charakterystycznej dla stalinizmu w gospodarce - jak to określano na Plenum ogólnie - "nierównomierności rozwoju działów gospodarki", a także o "szybsze podniesienie stopy życiowej" i przewyciężenie "opóźnień w rolnictwie". Według cytowanych na tym Plenum liczb, produkcja przemysłowa wzrosła w latach 1950-53 o 115%, zaś produkcja rolna wzrosła w tym samym czasie tylko o 9%. Specyfiką powyższego manewru była próba przeprowadzenia zmian przy

z zachowaniu pozorów kontynuacji i bez krytykowania polityki gospodarczej prowadzonej w przeszłości. Tak więc mówiono o "trudnościach strukturalnych wynikających z warunków okresu przejściowego", ale równocześnie w całej rozciągłości podtrzymywano mity, którymi uzasadniono poprzednią politykę. Twierdzono więc, iż w omawianym okresie wzrost płac realnych wyniósł 27% /wycofano się z tego, dopiero w 1956 roku, mówiąc o "pomyłce" Głównego Urzędu Statystycznego/ i sugerowano, że poziom produkcji na 1 mieszkańca wyniósł 92% analogicznego wskaźnika we Francji.

Próbą kontynuacji polityki tego plenum bardziej jednak jeszcze - po doświadczeniach Malenkowa w ZSRR - ostrzeżoną, /a więc bez nazywania przez grupę rządzącą własnej, bardziej pragmatycznej polityki/ było II Planum KC PZPR w 1954 roku. Na cym Plenum całość zmian sprowadzono do niewinnego hasła "likwidowania odłogów i lepszego wykorzystywania łąk...", mimo, iż w rzeczywistości robiono dużo więcej. Przecież w tym okresie wstrzymano praktycznie zakładanie nowych spółdzielni produkcyjnych w rolnictwie, ograniczono wydatki na zbierania, rozpoczęto import towarów z Zachodu.

Owa pierwsza "przymiarka" do manewru destalinizacji pozwoliła grupie rządzącej wyczuć rozmiar oporów na wyższych szczeblach samej partii i oporów grup interesu w podstawie i gospodarce, a także zorientować się, jak daleko można posunąć się w procesie wprowadzania zmian bez wywołania niepokoju ZSRR.

Było to również pierwsze stawienie czoła dylematowi, który wracał później we wszystkich kolejnych próbach reform. Chodziło o to, iż grupa rządząca nie mogła /w jej przekonaniu/ nazwać publicznie niektórych swoich własnych posunięć, czy to ze względu na uwikłania w użyte poprzednio sformułki i racjonalizację, czy też w obawie, iż nazwanie samc w sobie staniem się autonomicznym faktem społecznym, który może doprowadzić do interwencji z zewnątrz. Z drugiej strony, zdawano sobie sprawę, że bez takiego nazwania nowa linia polityczna nie zostanie zarejestrowana w świadomości społecznej i nie spełni roli mobilizacji i obniżenia napięć. Co więcej - owa "nieoficjalność" wprowadzania nowej polityki wewnętrznej znakomicie ułatwiała sytuację grupom

zainteresowanym w blokowaniu tej polityki. Nie można było bowiem zaatakować tych grup otwarcie i zaapelować do społeczeństwa o poparcie prób racjonalizacji gospodarki i destalinizacji państwa.

Kolejną próbą destalinizacji, wciąż podejmowaną z zażęciem niezmienną składu personalnego grupy rządzącej, było VII Plenum z lipca 1956 roku. Stanowiło ono /ze względu na podjęcie próby oceny poprzedniego okresu oraz samokrytyki złożone przez niektórych członków Biura Politycznego/ pierwszą weryję werbalizacji rytuału zmiany /w odróżnieniu od Plenum z 1954 roku, które było próbą wprowadzenia zmian bez werbalizacji/. Od Plenum z 1954 roku dzieliły je dwa istotne wydarzenia. Pierwsze z nich to przemówienie Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR, ujawniające niektóre zbrodnie okresu stalinizmu. Jak twierdzą niektórzy, stanowiło ono próbę osłabienia niechętniej Chruszczowowi grupy Mikołowa, a także wyrażało chęć członków elity władzy, aby zabezpieczyć się na przyszłość przed czystkami. Miało temu służyć jednoznaczne przypisanie owej metody "okresowi kultu jednostki", i ujawnienie /a więc - niejako odczarowanie/ technik stosowanych w czasie czystek.

Drugim wydarzeniem były tzw. wypadki poznańskie w czerwcu 1956 roku. Wydarzenia poznańskie nie tylko zmusiły grupę rządzącą do publicznego ustosunkowania się do ich przyczyn, lecz także spowodowały przeprowadzenie oceny sytuacji w kraju. Ocena ta różniła się zasadniczo w formie od optymistycznych stwierdzeń, które padały na Plenum w 1954 roku. Tak więc Edward Ochab, który po śmierci Bolesława Bieruta objął stanowisko I Sekretarza KC PZPR, mówił o "opóźnieniach w likwidowaniu wypaczeń i błędów w systemie zarządzania gospodarką narodową" i "biurokratycznych wypaczeniach w administracji". Podkreślił również fakt "niezadowalającego poziomu życia klasy robotniczej", co było, jego zdaniem, rezultatem nie tylko "konieczności szybkiej industrializacji", ale także "niekonsekwentnego wysiłku władz". Przy okazji dokonano rewizji wcześniejszej entuzjastycznej oceny wykonania Planu 6-letniego i skrytygowano podawany wcześniej przez GUS wskaźnik wzrostu

plac /27%/, przyznając, że w rzeczywistości wyniósł on tylko 13% /na przestrzeni 6 lat/. Co więcej stwierdzono, że wzrost plac był nierównomiernie rozłożony w strukturze społecznej i że niektóre grupy społeczne nie odczuły żadnej poprawy. Stwierdzono też, że w latach 1951-53 nastąpiła faktycznie cieżka plac realnych.

Wśród błędów polityki gospodarczej okresu stalinowskiego Ochab wymienił "przyjęcie arbitralnych założeń wzrostu produkcji rolnej", błędy polityki wobec chłopstwa z "elementami szanturnictwa w stosunku do kuzaka", brak analizy efektywności podejmowanych inwestycji, nadmierną centralizację planowania. Warto zauważyć, że większość wymienionych wyżej "błędów" występuje w polskiej gospodarce do dnia dzisiejszego. Równocześnie Ochab zakreślił w swoim przemówieniu granice zmian uznanych przez grupę rządzącą za dopuszczalne. Tak więc stwierdził, że "kurs na demokrację nie może być przeprowadzany w sposób beztroski", i że "swoboda krytyki nie oznacza swobody wszelkiej krytyki...". Jako jedną z przyczyn tragedii poznańskiej wymienił - obok "opieszkości władz w naprawianiu krzywd" - także "brak umiaru prasy i niezrozumienie przez nią obiektywnych przyczyn trudności...". Ochab wręcz obciążał prasę zarzutem "rozbudzenia nieufności społeczeństwa wobec partii" i doprowadzenia do "wewnętrznej demobilizacji tej ostatniej".

Uchwała podsumowująca VII Plenum zawierała dwa elementy, na które warto zwrócić uwagę - bo stanowią one, moim zdaniem, wyraz kontynuacji filozofii kierownictwa z okresu stalinowskiego. Po pierwsze więc - mimo wystąpienia w dyskusji wyraźnych różnic i pożązków grupowych - uchwała starała się za wszelką cenę utrzymać nit jedności ekipy kierującej.

Po drugie - bardzo ciekawie sformułowane zakaz odwoływania się do bezpartyjnych w trakcie spórów toczących się w łonie partii. Chciano utrzymać - tak charakterystyczną dla okresu stalinizmu - sytuację rozdzielności kryzysów wewnątrz partii i w relacji partia - społeczeństwo. Umocniło to względną stabilizację systemu mimo cyklicznie powracających napięć.

VII Plenum KC PZPR w lipcu 1956 stanowiło pierwszą wersję rytuału zmiany - wciąż później udoskonalanego. Dopiero bowiem naz-

wanie przez elitę władzy własnych posunięć pozwoliło na podjęcie próby zmiany porządku symboli i stworzenia nowych konfiguracji ról społecznych, a także umożliwiło przeprowadzenie zabiegu katharsis. Elementy te nie mogły /z braku werbalizacji/ wystąpić na Plenach z lat 1953-1954, mimo, iż - co należy z całą mocą podkreślić - na tamtych właśnie Plenach dokonano faktycznych zmian /rewizje planów inwestycyjnych, zmiany polityki zagranicznej, zmiany polityki wobec wsi, ukrócenie samowli bezpieczeństwa/.

Na VII Plenum przeważał /choć też bardzo ograniczony/ moment katharsis; nie powołano tam żadnych nowych instytucji - trudno więc mówić o zmianie konfiguracji ról. Nastąpiła ona dopiero na VIII Plenum, /październik 1956/ stanowiącym drugą wersję powtórnego niejako rytuału zmiany. W pierwszej wersji nie spełnił on bowiem oczekiwanych funkcji. VIII Plenum z października 1956 roku stanowiło zdecydowanie krok naprzód w procesie wypracowywania przez grupę rządzącą rytuału zmiany. Plenum to przede wszystkim lepiej niż poprzednie trafiło w symboliczną wyobraźnię społeczeństwa i do dziś funkcjonuje w potocznej świadomości jako punkt zwrotny, od którego owe zmiany się rozpoczęły, mimo że raczej stanowił one ich punkt końcowy.

VIII Plenum - w odróżnieniu od poprzedniego - stało się już w pełni kompletnym dramatem rytualnym. Dokonano bowiem uprzednio rozdania /a w niektórych wypadkach narzucenia/ ról, przegrupowano symbole i stworzono /wprawdzie w niewielkim tylko zakresie/ nowe konfiguracje pozycji społecznych i instytucji. Warto bliżej przyjrzeć się temu procesowi. Nie tylko bowiem ilustruje on dobrze interesujące nas zjawisko postępującej rytualizacji kryzysów, ale pozwala także dostrzec charakterystyczne cechy funkcjonowania w społeczeństwie post-totalitarnym tzw. liberalnej opinii, czyli "publiczności" - przywołanej niekiedy do odegrania roli katalizatora w rytuale zmiany. Wydaje się, że rytuał ten został wyreżyserowany przez tę część ekipy rządzącej, która pragnęła pozostać przy władzy, a równocześnie zdawała sobie sprawę z konieczności zmian, chociażby dla rozładowania frustracji społeczeństwa, nasilających się, gdy - po śmierci Stalina - zaświtała nadzieja liberalizacji.

Punktem wyjścia dla tej grupy stało się wspomniane wyżej VII /ozerwocwe/ Plenum KC PZPR. Nie zdało ono wprawdzie egzaminu jako rytuał zmiany, gdyż proponowane przez grupę rządzącą posunięcia okazały się bądź nie dość radykalne, bądź za mało "widoczne" /z punktu widzenia wymiarów symbolicznej wyobraźni społeczeństwa/, aby obniżyć poziom napięć i emocji. Stało się jednak wygodną płaszczyzną do przygotowania dramatu rytualnego na kolejne, VIII Plenum. Mimo bowiem, iż uchwała podjęta przez członków KC na VII Plenum oświadczyła i podkreślała jedność poglądów na wszystkie omawiane kwestie, dokonano równocześnie - przy użyciu mechanizmu plotek i insynuacji, rozchodzących się między innymi dzięki ożywionej od 1955 roku "publiczności" - manewru spolaryzowania w świadomości społecznej mapy stanowisk zajętych na tym Plenum przez uczestników dyskusji. Manewr ten został ułatwiony przez niejawność obrad VII Plenum oraz fakt nieopublikowania pełnych materiałów z dyskusji a jedynie pełnego aluzji i niedomówień "listu KC do organizacji partyjnych". Warto podkreślić, że ta polaryzacja dokonała się nie wokół kwestii zasadniczych dla przyszłości kraju, czy też w związku z odmiennymi zachowaniami i postawami w przeszłości. Odwrotnie, przez przypisanie niektórym członkom grupy rządzącej etykietek "antyinteligentów", "ciemniaków", "antysemitów" i "przeciwników demokracji" - stworzono nowe podziały /często według nieistniejących w rzeczywistości osi/ - odwracając równocześnie uwagę społeczeństwa od kwestii zasadniczych.

Etykietyki powyższe ukuto na podstawie podawanych z ust do ust wersji wystąpień na VII Plenum - niezgodnych często, co należy podkreślić, z rzeczywistym sensem tych wypowiedzi. Owa sztuczna polaryzacja /podział na "good and bad guys"/ była niezbędna dla przeprowadzenia dramatu rytualnego przez reżyserującą wydarzenia część grupy rządzącej. Zabieg ten neutralizował niejako wysuwane przez cwoych "ciemniaków" /piastujących w okresie stalinizmu mniej ekspozowane stanowiska w elicie władzy/ żądania bardziej skrupulatnego rozliczania z osobistej odpowiedzialności za funkcjonowanie systemu w okresie kultu jednostki. Żądania te interpretowano /po uprzednim określeniu ich autorów mianem "antyinteligentów"/ jako przejaw "dzierzymordyzmu" i "powrotu /sic/ do

metod etalincowskich".

Dramaty rytualne mają tendencję do powtarzania się, a wraz z nimi powtarzają się również ciepłe wyżej techniki przywyknięcia i wykorzystywania "publiczności" oraz sztucznego polaryzowania stanowisk. Opisując metodę, przy pomocy której reżyserzy spektaklu VIII Plenum w 1956 roku sztucznie skonstruowali aktorów /cc ciciągnęło uwagę publiczności od problemów zasadniczych i ukatwiło wybielenie części ekipy kierującej z okresu stalinowskiego/, można wyjaśnić przebieg rytuału zmiany i genezę jego zmitologizowanej percepcji społecznej. Sposób przeprowadzenia tego manewru, mimo, iż odbywał się pod szyldem demokracji, zawierał kilka - niesłychanie typowe dla władzy totalnej - momenty. Mianem na myśli, po pierwsze - pełne pogardy, instrumentalne traktowanie nie tylko społeczeństwa ale i wczorajszych sojuszników. Po drugie zaś - fakt zastępowania przez władzę nie dającą szansy obrony mechanizmu etykietek. Opisany manewr wydaje się być możliwy dzięki pokrętności formowania się i funkcjonowania publicznej opinii w państwie totalnym. Dlatego też demistyfikowanie roli pełnionej przez publiczność - jakkolwiek byłoby bolesne - wydaje mi się niezbędne, aby móc w przyszłości rytuał zmiany zastąpić zmianą rzeczywistą.

Jedyna powołana na VIII Plenum nowa instytucja - samorząd robotniczy - została zcentralizowana przez partię i administrację już w 1958 roku. Nie przeprowadzono również żadnych trwałych zmian w trybie funkcjonowania gospodarki i metodologii planowania, które mogłyby na przyszłość zapobiec koestwemu "pulsacyjnemu" modelowi wzrostu gospodarczego.

Wydaje się, że jedynym naprawdę trwałym efektem "polskiego października" jest - z jednej strony - swoisty mit funkcjonujący w świadomości społecznej /mit nie uwzględniający zresztą barzo specyficznej roli, jaką odegrała "publiczność" i prasa w czasie VIII Plenum/; z drugiej zaś - parcie manewru, który nazywam rytuałem zmiany, pokutująca w kręgach władzy. Wydaje się nawet, że jednym z wariantów rozważanych całkiem poważnie w tych kręgach w czasie obecnego /zima 1978/79/ przedłużającego się kryzysu autorytetu i peżającego kryzysu ekonomicznego, był wariant rytuału październikowego. Chodziłoby w nim o swoiste

zrekonstruowanie publiczności /czyli grupy widzów, dla których odegrać by dramat rytualny - i którzy poinformowaliby później społeczeństwo, że manewr zmiany się odbył i którzy - co więcej - ~~nie~~ stanowiliby grupę, z którą zmieniona nieco ekipa mogłaby zawrzeć kompromis - coś w rodzaju nowego kontraktu społecznego/. Mieli w nim zresztą /po stronie publiczności/ uczestniczyć niektórzy weterani z października 1956. Ów dramat rytualny był w pomysłach rzeczywiście zredukowany do - używając języka krytyki teatralnej - bardzo skrótcwej, oszczędnej, symbolicznej, "nowoczesnej" - jak by powiedział teoretyk teatru - inscenizacji.

Grupa rządząca, w trakcie kolejnych kryzysów, na pewno nauczyła się rytualnego rozgrywania dramatu zmiany. Kolejne sytuacje kryzysowe stały się również okazją do świadomienia sobie przez grupę rządzącą praktycznych konsekwencji dwójakiego statusu zjawisk społecznych. Coraz bardziej powszechna jest bowiem wśród elity świadomość, iż sam fakt publicznego nazwania określonego zdarzenia /czy obdarzenia etykietką osób/ nie tylko zmienia ich sposób funkcjonowania w społeczeństwie, ale determinuje też w dużym stopniu wewnętrzną dynamikę zjawiska czy postawy. Ta - zdobyta w toku kryzysów - wiedza, stała się źródłem bardziej ostrożnego operowania językiem /w obawie uwikłań/, a czasem zaś - podświadomą, różnorodnych technik manipulacyjnych. Z całą pewnością można powiedzieć też, że grupa rządząca nauczyła się technik wyzyskujących wzniecalność kryzysów, a więc stabilizację, albo napęd i układowanie konfliktów. Tu chciałabym tylko podkreślić, iż do stosowanych w tym względzie technik należy przede wszystkim depolityzacja partii oraz konsekwentne egzekwowanie zasady, iż członkom partii nie wolno odwoływać się do opinii bezpartyjnych. Podobnemu celowi służy również wygrywanie animozji i agresji społecznych /np. "stara" i "nowa" inteligencja/ oraz kanalizowanie powstających na tym tle emocji przy użyciu spolaryzowanego układu dostępnych kierunków identyfikacji i działań. Do metod zapewniających rozdzielność kryzysów /ekonomicznych - gdy sfrustrowana jest administracja gospodarcza, i politycznych - gdy dochodzą do głosu szersze siły społeczne/ należy również utrzymywanie populistycznego modelu protestu robotniczego. Przy takim modelu

protestu obniżenia poziomu napięć społecznych w trakcie kryzysu politycznego ciągną się bowiem kosztami prestiżu i strachu średnicarstwa zarządzania.

Procedura to wyprawienie ludzi zajmujących owe szczyble, ale równocześnie obniża ich autorytet społeczny w sposób niejakie w objęcia grupy rządzącej. Staje się ona bowiem w tej sytuacji jedynym gwarantem pozycji szczybla wykonawczego.

Do pełnego obrazu wiedzy zdobytej przez grupę rządzącą w trakcie kolejnych kryzysów należy dodać jeszcze umiejętność utrzymywania konfliktów na poziomie tlenia się. Sprzyja temu stosowanie pacyfikacyjnych technik równoczesnego zastraszania i obciążania, różnych form dezintegracji struktur społecznych i grup pracowniczych /selektywne sankcje, gwintki, rytualne rozrany "manifestacje" i wypracowanie przez kierownictwo, którzy muszą odegrać rolę nieustającej reprezentacji "racji oficjalnej", a niekiedy wręcz sami muszą wypracować argumentację dla tej "racji". Ważnym elementem władzy zdobytej przez grupę rządzącą w trakcie kolejnych kryzysów jest wreszcie poznanie mechanizmów kierujących powstawaniem i funkcjonowaniem opinii publicznej. Znajomość słów "kluczy" do potocznej diagnozy sytuacji i ocena nośności poszczególnych symboli jest konieczna nie tylko dla "przywołania" publiczności w odpowiednim momencie rytuału zmiany, ale pozwala też dzielić i dezintegrować tę publiczność.

Spółeczeństwu trudno zresztą się bronić - ze względu na brak informacji, głębokie frustracje oraz panujący w nim swoisty klimat gry z systemem, w którym identyfikacja przeciwnika jest niesłychanie utrudniona, zaś psychologiczna potrzeba takiej identyfikacji - znaczna. W tych warunkach nawet udział w rytuale zmiany rodzi iluzje uczestnictwa i elektryzuje na moment społeczeństwo, cierpiące - jak mi się zdaje - na chroniczny deficyt energii motywacyjnej /gdzie struktury się petryfikują, możliwości awansu są coraz mniejsze, zaś motywacje przedsiębiorcy - nie występują/.

Warto teraz zastanowić się, czego grupa rządząca najpewno nie nauczyła się w toku kolejnych kryzysów. A więc - najpewno nie nauczyła się unikania kosztownej społecznie i ekonomicz-

niecykliczności rozwoju gospodarczego, mimo iż minusy takiej "pulsacji" dynamiki gospodarczej były wielokrotnie podnoszone przez teoretyków i znalazły wyraz w kumulacji w pewnych okresach napięć społecznych.

Jak się zresztą wydaje, jedną z głównych przyczyn braku zmian są paradoksalnie niesłychanie duże zdolności adaptacyjne uczestników systemu, i to na wszystkich szczeblach. Owe zdolności adaptacyjne powodują, że funkcjonowanie systemu jest mało efektywne i kosztowne społecznie - ale możliwe. Sprzyja temu fakt, iż główne koszty niskiej efektywności płacą ci, którym, oprócz sprządczych aktów rozpaczy, trudno się bronić i którzy są w pełni zależni od państwa - monopolisty i jedynego pracodawcy. Owe mechanizmy adaptacyjne to na przykład różne półformalne układy zastępujące powiązania pechowite w systemie społeczno-gospodarczym. Pełnią one rolę lokalnych amortyzatorów. Taki typ radzenia sobie systemowi ze stale produkowaną przez siebie niepewnością powoduje zresztą, że funkcjonalnie staje się to, co jest równocześnie demoralizujące i kosztowne społecznie. Tak więc np. zasada nomenklatury/gdy do piastowania nawet dość podrzędnych stanowisk kierowniczych trzeba być członkiem partii - i rzeczywiście około 80% kierowników w Polsce jest/ umożliwia wykorzystanie komitetów partyjnych do pełnienia roli lokalnych integratorów. Aż 62% dyrektorów to równocześnie - członkowie instancji partyjnych. Ta, i setki innych rozwiązań, umożliwiających funkcjonowanie systemu, a także opisywana wyżej umiejętność wykorzystywania kryzysu jako momentu regulacji, powodują niesłychaną trwałość obecnych rozwiązań systemowych.

Drugą - obok opisanej wyżej cykliczności rozwoju - właściwością dynamiki systemu jest charakterystyczny spłot wychodzących z jednego źródła działań totalizacyjnych i detotalizacyjnych.

Wcześniej zwracałam uwagę na pułapki, jakie elita rządząca stworzyła samej sobie w procesie totalizacji. Przypominam - owe pułapki to nie tylko trudności weryfikacji żądań o dodatkowe nakłady - gdy samemu zlikwidowało się - wraz z rynkiem - możliwości obiektywizacji efektów. To również charakterystyczna dogmatyzująca moc władzy - która sama wikła się we własne wcześniejsze zaklęcia i racjonalizacje, i bywa szantażowana przez "pryncypialne"

szczególne wykonawcze. To wreszcie kryzys autorytetu i krytykowanie systemu, wrastanie dezinformowanej elity w świat fikcji i powstanie możliwości regulacji dopiero wtedy, gdy sama gospodarka cędrzuca - jak przeszczep - nietrafną politykę.

Próbą odpowiedzi grupy rządzącej na tę sytuację są obserwowane obecnie selektywne, centralnie kierowane, niesformalizowane i prowadzone bez zmiany retoryki ideologicznej /a tylko - przy jej postępującej rytualizacji/ p r ó b y d e t o t a l i z a c j i. Owe próby przyjmują bardzo różną postać. Tak więc np. nieracjonalność procesów decyzyjnych /związana - jak pamiętamy - z nadmierną centralizacją oraz ze sztucznąnością wszystkich kategorii semantyki ekonomicznej/ - próbuje się zmniejszyć przez coraz dalej postępujące rozazkonkowanie i specjalizację w systemie instytucji. Owa u l o m n a p l u r a l i z a c j a ma w zamierzeniu grupy rządzącej o d t w o r z y ć różne punkty widzenia niezbędne do racjonalnego decydowania, ale równocześnie nie powinna osłabić mobilizacyjnej roli państwa, a więc - n i e m a s z u ż y ć d e t r a n s m i s j i i n t e r e s ó w o d d o l n y c h. Chodzi bowiem - należy to podkreślić z całą mocą - o o d t w o r z e n i e punktów widzenia a nie ich r e p r e z e n t o w a n i e. Pozycja instytucji /komisji, komitetów itp./ składających się na powyższy system ukonnego pluralizmu to - w zamierzeniu grupy rządzącej - odbłask jej własnej władzy /powiązania osobiste czy ogórne delegacje uprawnień/ a nie - autorytetu i poparcia społeczeństwa. Instytucje te nie są przy tym przez społeczeństwo kontrolowane i nie odpowiadają przed nim.

Celem owych instytucji ukonnego pluralizmu jest reprezentowanie logiki poszczególnych funkcji /np. równowaga finansowa czy równowaga rynkowa/ bez reprezentowania społeczeństwa. Tak więc stworzony ostatnio Komitet ds. Spraw Rynku nie jest organizacją powołaną przez konsumentów a raczej wyrazem woli grupy rządzącej, aby stworzyć punkt widzenia, którego inne możliwości i mechanizmy przejawiania się sama zlikwidowała.

Zakorzenieniu się w społeczeństwie instytucji, składają-

cych się na opisany wyżej system ułomnego pluralizmu, ma zapobiegać stosowana ogólnie technika "karuzeli stanowisk", czyli częste przesunięcia kadrowe. Powyższa dwójstwo intencji /otwierzać różnice zdań, ale nie transmitować interesów/ stojących za stosowaną przez grupę rządzącą strategią ułomnego pluralizmu jako próbą detotalizacji powoduje, iż nie tylko nie zwiększa ona racjonalności procesów decyzyjnych, ale sprzyja dalszej dezintegracji instrumentów kierowania /płace, ceny, kredyty, apele polityczne/.

Innym przejawem wysiłków detotalizacyjnych jest próba rozmycia odpowiedzialności za niesprawność /gdy - na poziomie przedsiębiorstwa - sekretarz partii z urzędu staje na czele samorządu robotniczego, aby walczyć z administracją, realizującą - niepopularne społecznie polecenia Biura Politycznego i Rządu/.

Inną wreszcie formą detotalizacji są próby pożyczania niejako legitymacji do działania od kościoła katolickiego; nieformalnie i na różnych szczeblach - od centralnego do lokalnego - prosi się kler o poparcie niepopularnej polityki państwa.

Do repertuaru działań detotalizacyjnych należy również świadome rozluźnianie epójności systemu działań państwa, gdy w stosunku do różnych sfer /gospodarka, polityka wewnętrzna, polityka zagraniczna, polityka wobec kościoła/ stosują się odmienne reguły gry.

Skądś rządkorielowanie zasad działania można obserwować w przekroju pionowym, gdy inne nieco zasady stosuje się na scenie stołecznej /gdzie kształtuje się obraz na użytek zewnętrzny/, a inna - w małych miasteczkach, daleko od stolicy.

Zasygnalizowana wyżej próba detotalizacji podejmowana przez grupę rządzącą wywołuje szereg oporów, szczególnie ze strony szczebla wykonawczego. Polityka ta stawia bowiem ów szczebel w bardzo niewygodnej /z punktu widzenia mentalności urzędnika/ sytuacji. Brak jasnych poleceń, konieczność orientowania się w znakach sygnalizujących aktualną orientację /bo polityka detotalizacji oficjalnie nie została nigdzie sformułowana/, wreszcie - większe ryzyko błędów - to tylko niektóre z dostrzeganych przez szczebel wykonawczy niedogodności polityki detotalizacyjnej prowadzonej w sposób niejawny. W tej sytuacji szczebel ten zainteresowany jest w powrocie do bardziej jednoznacznego modelu - choćby był to model tota-

litarny. W podobnym kierunku-zmierzają zresztą naciski różnego autoramentu utopistów totalitarnych, wierzących w wizję rewolucyjnej kultury, egalitaryzmu, mobilizacji i otwartości struktur lat 50-tych. Mimo, iż wiara ta nawiązuje do mitu a nie do rzeczywistości, mit ten wydaje się chwytliwy w obecnej sytuacji stagnacji gospodarczej, apatii, braku perspektyw /gdy wracające cyklicznie kryzysy wydają się nieuchronne/, petryfikacji struktur, postępującej centralizacji i rytualizacji życia społecznego. Anarchizacja życia gospodarczego /dezorganizowanego systematycznie przez tzw. "planowanie" stanowiące system pionowego przetargu/ eprzysja głosem nawołującym do "porządku i dyscypliny". Rosnące napięcia między partią i gospodarką /w związku z autonomizacją tej ostatniej na skutek wpanięcia przez grupę rządzącą w stworzone przez nią samą pułapki/ tworzy w aparacie partyjnym podatny grunt pod hasła "repolityzacji gospodarki".

Splot powyższych okoliczności może doprowadzić do powrotu do klimatu z okresu stalinizmu. Jest to wizja niepokojąca ale realna, tym bardziej, że formułowane są wprost recepty "dyktatury proletariatu" i "nowej polityzacji partii" jako drogi wyjścia z obecnego kryzysu. Wizje te - może atrakcyjne z perspektywy utopistów totalitarnych, są wysoce niebezpieczne dla potencjalnych ofiar. A przecież podział na "my" i "oni" to podstawowy czynnik animujący ten typ utopii. Wydaje mi się, że przeciwnym optymizmem byłoby wskazywanie na rosnącą podmiotowość społeczeństwa jako antidotum na totalitarny zakus państwa. Po pierwsze prawie każdy z nas jest w jakiś sposób częścią państwa. Co trzeci mężczyzna w Polsce w wieku 30-39 lat piastuje - jak wynika z badań - jakieś kierownicze stanowisko, a więc ma interes w stabilizacji i ekspansji państwa i jego sztucznej rzeczywistości /choćby myślał, że chodzi mu tylko o jego mikroświat/. System składa się właśnie z takich mikroświatów i sieci powiązanych ze sobą interesów i przywilejów. Myślę również, że społeczeństwo nie zdobędzie podmiotowości, dopóki nie nauczy się odróżniać sztucznych zabiegów i rytuału zmiany z jego gestami symbolicznymi - od rzeczywistych przemian społecznych. I dopóki nie będzie mogło włączyć się do tych przemian nie tylko w charakterze przywołwanego aktora czy siły blokującej.

ZASTYGLY OBRAZ PRZESZŁOŚCI

Władze komunistyczne, które objęły w 1945 roku rządy nad Polską były - o czym dzisiaj często się zapomina - władzami rewolucyjnymi. Wprawdzie nie rewolucja lecz Armia Czerwona umożliwiła ich panowanie, lecz ideologia komunistyczna zachowała wówczas jeszcze wiele elementów ideologii rewolucyjnej. Jednym z nich był stosunek do czasu historycznego, owa wszechobecna w ideologiach rewolucyjnych intencja "zaczynania od nowa". Przeszłość stanowiła jedynie obciążenie, zbędny balast, którego należało się możliwie szybko pozbyć. W latach 1945-1948 takie poglądy głosili oficjalni ideolodzy marksizmu, lecz władze poszukujące jakiegoś modus vivendi ze społeczeństwem zwlekały z rozpoczęciem ofensywy przeciwko przeszłości, przeciwko pamięci historycznej i tradycji. Od roku 1949, z początkiem ery stalinizmu, władze komunistyczne, już pewne siebie i sprawujące rządy wyłącznie, mogły podjąć totalną rozprawę z przeszłością. W zakresie nauk historycznych rozprawa ta została najpełniej przeprowadzona na otwartym zjeździe historyków w 1951 roku, kiedy to odsądzeni od czci zostali nawet historycy związani blisko z tradycjami polskiego socjalizmu, ale nie reprezentujący dogmatycznie marksistowskiej postawy metodologicznej.

Marksizm-stalinizm wpływał zarówno na kształt naukowych i popularno-naukowych opracowań historycznych, jak i na metody i treści propagandy zmierzającej do kształtowania świadomości historycznej "nowego typu". Wpływał za pośrednictwem ideologicznie motywowanych reinterpretacji przeszłości oraz poprzez dobór tego, o czym w ogóle była mowa. Ogromne obszary przeszłości zostały skazane na nieistnienie, pominięcie lub zapomnienie. Po 1956 roku sytuacja ta uległa istotnym zmianom, ale były to i są po dziś dzień jedynie zmiany stopnia przeinaczeń i pominięć, albowiem - chociaż jej atrakcyjność i dynamika uległy znacznemu osłabieniu - ideologia marksistowska ze wszystkimi jej ele-

mentami /przeciwstawienie tendencji "postępowych" i "wstecznych", teoria walki klas, materialistyczne pojmowanie dziejów, kierownicza rola partii i centralizm demokratyczny rozszerzony w stosunkach międzypartyjnych aż po akceptację rosyjskiej i sowieckiej racji stanu/ w dalszym ciągu określa stosunek władzy, a zatem systemu propagandowego i oświatowego, do przeszłości.

Postalinowskie przemiany miały jednak bardzo poważne praktyczne znaczenie. Historycy mogą pisać prace monograficzne całkowicie uczciwe, jeżeli temat nie wiąże się w istotny sposób ze stosunkami polsko-rosyjskimi, ani nie dotyczy dziejów polityki dwudziestowiecznej, wreszcie jeżeli nie pragną odbierać postaci lub zdarzeń uznanych przez komunistów za symbole /Jarosław Dąbrowskiego, Ludwika Waryńskiego czy powstania 1846 roku/. Niemożliwe jednak, jak się okazuje, jest napisanie syntezy dziejów Polaki, czy choćby syntezy jakiegoś dłuższego okresu, jeśli historyk nie będzie gotów nie tylko na kompromisy w sprawach szczegółowych, lecz także na napisanie swojej książki w takim duchu, który pomniejsza rolę katolicyzmu, zaś powiększa znaczenie tendencji "postępowych" i zwraca się bardziej ku przemianom gospodarczym niż ku dziedzinie kultury.

W takiej sytuacji trudno o jednoznaczną ocenę prac, które wprawdzie podają wiele materiału źródłowego, ale płacą za to koncesjami interpretacyjnymi. I w takiej sytuacji szczególnie doniosła jest rola tych wszystkich wydawnictw i czasopism, w których czytelnik może liczyć na to, że, chociaż nie przeczyta całej prawdy, przeczyta tylko prawdę. Myślę tu o czasopismach katolickich /"Znak", "Więź", "Tygodnik Powszechny"/, a także o wydawnictwach "Znaku" i wydawnictwach PAX-owskich oraz o niektórych periodykach naukowych, seriach wydawniczych czy książkach, które ukazały się w państwowych wydawnictwach, a których autorzy bądź redaktorzy zadbali o to, by kosztem nawet zawężenia tematu uniknąć fałszerstw.

Dzięki istnieniu pewnego marginesu swobody mogły ukazać się w ostatnim dziesięcioleciu również takie już publicystyczne książki jak "Listopadowy wieczór" Andrzeja Kijowskiego, "Rodowody niepokornych" Bohdana Cywińskiego, czy ostatnio "Bić się czy nie bić?" Tomasza Łubieńskiego. A także liczne prace Pawła Jasienicy i Maria-

na Brandysa. Wszystkie te książki były pisane z myślą o współczesnym czytelniku żyjącym w atmosferze kształtowanej przez oficjalną propagandę historii, i ich zalety, wady oraz ich odbiór wynikały, między innymi, z uwikłania autorów czy w innych przypadkach - krytyków, recenzentów, czytelników w tę sytuację, uwikłania identycznego zresztą do tego, w jakim znajduje się całe społeczeństwo. W ostatnich latach sytuacja uległa kolejnym istotnym zmianom: pojawiły się prasa i publikacje niezależne od cenzury, a równocześnie władze znalazły nowy odcień dla swojej propagandy i nowy styl manipulowania przeszłością, ale ta zasadnicza sytuacja uwikłania pozostała identyczna. Jej więc się najpierw przyjrzymy, by potem dopiero rozważyć najnowsze przemiany stosunku do historii, przemiany w pojmowaniu tradycji i w świadomości historycznej.

x x x

Autor pracy z zakresu esesistyki historycznej startuje w identycznej sytuacji duchowej jak jego czytelnik. Obaj mają jakieś ideowo motywowane poglądy na przeszłość, a przynajmniej jakieś upodobania i jakieś niechęci. Obaj jednak odczuwają także potrzebę ciągłości, potrzebę wypełnienia rowów sztucznie wykopanych przez oficjalną propagandę i edukację historyczną, więc obaj skłonni są uważać, że całość polskiej przeszłości jest dzisiaj wartością. Potrzeba wyboru wchodzi w sprzeczność z potrzebą całościowej afirmacji, wynikającej z reakcji na oficjalną propagandę. Świadczy to o określeniu przez tę propagandę, określeniu, które ma czysto negatywny charakter.

Wszyscy wspomniani powyżej autorzy, a także wielu im podobnych, rozważają przeszłość ze względu na teraźniejszość i czynią to świadomie. Pragną poddać krytycznemu oglądowi jakiś fragment teraźniejszości i w przeszłości poszukują argumentów, analogii, przykładów. Im bardziej jednak szczególny jest ich punkt widzenia, im wyraźniej wyodrębnione stanowisko, im silniejsza skłonność do ironii, sceptycyzmu czy analizowania ludzkich postaw w całej ich złożoności, tym bardziej narażają się na zarzut bezczeszczenia przeszłości narodowej, sprzeniewierzenia się obowiązkom pisarza - piewcy narodowych cierpień. Zjawisko to szczególnie dobrze ukazały dyskusje wokół wspomnianej książki Żubieńskie-go, która w normalnych warunkach, w zwyczajnym kraju byłaby uzna-

na za ciekawy i sporny esej o postawach insurekcyjnych, u nas zaś natychmiast wysunięto zupełnie niedopasowane do intencji autora i charakteru książki argumenty najcięższego kalibru, a to o niedopuszczalnej rzekomo obojętności na wkład cierpienia i patriotyzmu, a to na temat bezpośrednio politycznych implikacji książki, a mianowicie, że przeciwstawia się ona programowi niepodległościowemu. Można ubolewać nad tym, że książki tego rodzaju nie są rozpatrywane poza całym negatywnie przez komunistyczną propagandę określonym kontekstem stosunku do przeszłości, ale trzeba również zdawać sobie sprawę z tego, że ci, którzy twierdzą, iż obecnie ważniejsze jest przekazywanie wiedzy o przeszłości oraz powielanie mitów narodowych, głoszą pogląd co najmniej równoprawny.

Negatywne to określenie pobudziło swoisty tradycjonalizm, a więc przekonanie, że fakt, iż coś pochodzi z przeszłości /najczęściej z wyłączeniem oficjalnej historii PRL/ świadczy automatycznie o wartości tej postawy, idei, wzoru osobowego. Jest to stanowisko, wedle którego całość dziedzictwa uważana jest za wartość, i wedle którego dopiero ten, kto jasno to przyzna, jest w prawie dokonywać wyborów /chciał najczęściej stanowisko takie w ogóle możliwości wyboru nie dopuszcza/, przedkładać jedne elementy tradycji nad inne. Tradycjonalizm ten jest - powtórzmy - zrozumiały i usprawiedliwiony, warto jednak przypatrzeć się jego niebezpiecznym konsekwencjom.

Przed wszystkim więc rodzaj dobroduszości powodującej paraliż umysłu, czy też jego krytycznych zdolności. Skorec uważa się, że całość przeszłości narodowej zagrożona jest zafałszowaniem, ^{lub zaniżeniem} to sama ta całość staje się równie godna afirmacji, co jest z kolei - patrząc trzeźwo - po prostu niemożliwe. Owszem - wydają się mówić zwolennicy tego stanowiska - w innych, lepszych czasach będzie miejsce na postawy krytyczne, teraz jednak ratujemy siebie i swoją pamięć historyczną, a spory odłożymy na potem.

I stąd bierze się problem następnny: każdy, kto mimo wszystko decyduje się dokonywać jakichkolwiek wyraźnych wyborów /które przecież mogą być motywowane zwyczajnymi upodobaniami, takimi, jakie powodują, że wolę architekturę gotycką od renesansowej czy

na odwrot/, poddawany jest rozliczaniu z ideowo-politycznego punktu widzenia. Upodobania więc, zainteresowania, pokrewieństwa temperamentu czy wypowiedzi wynikające z przewrotności umysłu są podnoszone do rangi opcji ideowo-politycznych, które często były w intencjach autorów nieobecne. Co ważniejsze jednak, to że język, którym w cenzurowanym życiu intelektualnym można się posługiwać, jest językiem wyjątkowo nieprecyzyjnym a posługiwanie się analogiami historycznymi wyjątkowo zwodnicze. Pojawiają się więc w świadomości publicznej reprezentanci jakichś tendencji politycznych, którzy ani sami siebie za takich nie mają, ani swoich ewentualnych poglądów w tej materii nie mieli okazji porządnie wyłożyć. Toczą się zatem domniemane polityczne dyskusje, lecz racje oponentów ledwie są zaznaczone i nie sposób ich przełożyć na racjonalny język polityki.

Dobrym przykładem takiego skrzywienia sporów politycznych przez historyczny kostium i zarazem podnoszenia osobistych upodobań czy z temperamentu wynikłych sympatii do rangi opcji politycznych jest spór o "realizm" i "idealizm". Spór w najnowszej historiografii dobrze sformułowany przez Adama Bromke, lecz rozpoczęty w powojennej historii przez Ksawerego Pruszyńskiego /"Margrabia Wielopolski"/, a potem kontynuowany przez wielu autorów. Był to przede wszystkim spór o Wielopolskiego i warto dodać, że głosy w tej dyskusji z reguły były albo konfiskowane przez cenzurę, albo ledwie przepuszczane, mimo ich enigmatyczności i niejednoznaczności - widać cenzura podziela skłonność całego społeczeństwa do domyślania się postaw politycznych i ideologicznych poza co ostrzej sformułowanymi wypowiedziami.

Wielopolski, w analizach Pruszyńskiego, Bromkego, a także Stanisława Stompy, został potraktowany jako symbol racjonalnej ugody Rosją. A ponieważ taka racjonalna ugoda jest niewątpliwie wciąż poważnym problemem politycznym, więc casus Wielopolski był dogodny - zdawało się - dla formułowania własnych stanowisk. Wszelako wszyscy, którzy posługiwali się tą analogią, pomijali dwa fakty, a pominięcie to czyniło wszelkie zestawienia co najmniej wątpliwymi, jeśli nie zwodnymi całkowicie.

Po pierwsze, nie wspomniano, że Wielopolski przegrał. Po drugie, nie pisano o tym, że Wielopolski uprawiał grę polityczną,

w której po jednej stronie znajdowała się podbita Polska, a po drugiej carska Rosja, co obecnie odpowiadać ma "grze" między poddaną komunistycznej władzy Polską i komunistycznym Związkiem Radzieckim. Ta jedna różnica uniważnia wszelkie analogie, a w każdym razie, bez jej szczegółowego rozważenia i opisanie, posługiwanie się w tym przypadku historyczną analogią prowadzić może tylko do pomyłek. Tak oto posługiwanie się historycznym kostiumem, który w sytuacji naszego uwikłania jest dodatkowo wieloznaczny, utrudnia, a często uniemożliwia, racjonalne rozważenie obecnej sytuacji.

Na poziomie świadomości potocznej zjawisko to zdaje się przybierać formy bardzo podobne. Sądzi się zatem, że byliśmy wielkim narodem, z czego ma wynikać, że we wszystkich upowszechnianych przez propagandę atakach na polską ciemnotę, zacofanie gospodarze czy feudalne stosunki na wsi jest niewiele racji lub nie ma jej wcale. Stąd tyle dziecinnych niemal odkryć, czynionych zresztą często przez poważnych historyków, którzy są dumni, że udało im się takie prawdy przemyścić przez cenzurę. A więc, że jednak w okresie międzywojennym mimo rozmaitych błędów i niedostatków demokracji w polityce państwowej istniało elementarne porozumienie społeczeństwa dotyczące ^{tych} wartości jak niepodległość, suwerenność i wolność nie tylko narodowa, ale i wolność jednostki, że jednak Piłsudski poważnie przyczynił się do odzyskania niepodległości, a w myśli Dmowskiego były jakieś interesujące fragmenty, że wreszcie niemal wszystkie ugrupowania polityczne istniejące na przełomie XIX i XX wieku miały swój wkład w odzyskanie niepodległości.

Mimo cała naiwność, odkrywanie tych prawd elementarnych, formułowanie zrównoważonych ocen przeszłości, świadczy o tym, że podejmowane są próby wydobycia się z tej sytuacji negatywnego określenia, określenia przez komunistyczną wykładnię stosunku do przeszłości. Wszelako odległy wciąż wydaje się moment, w którym to negatywne określenie zostanie całkowicie przewyżczone. Tymczasem ożywienie polityczne sprawia, że wciąż zainteresowanie przeszłością, że spory o tradycję stają się coraz ważniejsze. Zobaczmy teraz, jak wobec tego uwikłania znalazły się władze komunistyczne w ostatnim okresie i jak na nie reaguje myśl "opozycji" czy też niezależnych ugrupowań społeczno-politycznych.

Przejęcie władzy przez nową ekipę w końcu 1970 roku spowodowało istotną zmianę stylu propagandy. Podkreślmy: stylu propagandy a nie ideologicznych treści nauczania. Ten zmieniony styl polega przede wszystkim na odwołaniu się do "jedności moralno-politycznej" społeczeństwa lub narodu /słowo to bywa chętnie używane/. Dawne, marksistowsko-stalinowskie kategorie wcale więc nie zostały unieważnione, a tylko ponad ową klasowo-dogmatyczną wizją świata rozciągnięto solidarystyczną przeszłość. Najlepiej zabieg ten jest widoczny w oficjalnie kształtowanym stosunku do przeszłości. Nowy ów styl można tak oto przedstawić:

Wprawdzie w naszej przeszłości były rzeczy dobre i złe, ale wszyscy wybitni Polacy, wszystkie ważne zdarzenia godne są upamiętnienia, nie trzeba tylko nadmiernie wnikać w ich sens. Najlepiej posługiwać się takimi sformułowaniami, jak "naród, który tyle wycierpiał", "naród o bogatej przeszłości", "jesteśmy spadkobiercami tych wszystkich, którzy tworzyli kulturę narodową", czy "niepodległość była wartością, o którą walczyli najlepsi synowie naszej ojczyzny". Jest to wizja szlachetnych dzieł społeczństwa, któremu często nienajlepsi zdarzali się przywódcy, które - w domniemaniu - dopiero teraz ma przywódców właściwych. Jest to wizja społeczeństwa, w którym wszyscy: wierzący i niewierzący, lewica i prawica, chcieli dobrze. Dopiero po takich pokrępiających obserwacjach następują ewentualne bardziej szczegółowe analizy, zresztą pieczołowicie spreparowane, tak, aby mówiąc o konkretnych zdarzeniach i postaciach, nie mówić o nich zbyt wiele. Najlepsze są oczywiście rocznice, bo jak świetnie pisał Vaclav Havel, reprezentują nieciągłą wizję historii, świadomość czasu taką, w której poszczególne zdarzenia /święta/ mają charakter mityczny a rozwój nie istnieje. Przełom roku 1945 sprawił, że wszystko co było przedtem, stało się równorzędne i równoczesne. Jest to taka baśń o dumnej i szlachetnej przeszłości narodu, w której wspólnie z bronią w rękę walcząc o wolność występowali i Kościuszko i Piłsudski, i Sikorski i Poniatowski, a jakiegokolwiek różnice poglądów, spory i dyskusje stały się nieważne z momentem pojawienia się nowego porządku, który zawiera w sobie i na wyższy moralno-polityczny poziom wynosi całość naszej, społecznej czy narodowej tradycji.

Ten nowy styl w kształtowaniu społecznej świadomości historycznej stanowi dobry przykład żywienia się przez system jego własnymi ułomnymi twórcami. Bo przecież taka wizja przeszłości, taki stosunek do tradycji narodowej jest w gruncie rzeczy identyczny ze stosunkiem do tej tradycji ukształtowanym przez negatywne określenie na najniższym poziomie świadomości. To, co dzisiaj głoszą propagatorzy "jedności moralno-politycznej" w odniesieniu do wizji przeszłości, jest zgodne z elementarnymi oczekiwaniami społecznymi wytworzonymi przez lata wyrazistego naruszenia poczucia ciągłości historycznej, fałszowania historii. Właśnie ów kaleki solidaryzm, to zapotrzebowanie na historię narodową w choćby najbardziej ułankowych dawkach, poszukiwanie zdarzeń w przeszłości, z których można być dumnym, a nie tylko takich, które potwierdzają materialistyczną teorię dziejów - wszystko to doprowadziło polskie społeczeństwo do wytworzenia oczekiwań wobec przeszłości, które mają bardzo mało wspólnego z traktowaniem dziejów jako źródła merytorycznej wiedzy o zdarzeniach, postawach, ideach. I takim oczekiwaniom najprzeciw wychodzi obecnie oficjalna propaganda. Dawniej więc wytworzyła ona ową kaleką świadomość historyczną, by obecnie podnieść ją do rangi oficjalnej. Nie dostrzegam w tym zabiegu świadomego działania, jakiejś szczególnej przewrotności. Myślę, iż uznano, że zantagonizowanemu, ubogiemu społeczeństwu trzeba było coś dać, znaleźć jakiejś formy porozumienia między nim a władzą, zaś tego rodzaju koncesje w zakresie tradycji, pod warunkiem zachowania ideologicznego dogmatyzmu w edukacji narodowej i w humanistyce, kosztowały bardzo niewiele. Warto przy okazji zauważyć, że w propagandzie oficjalnej przeważa swoisty determinizm radem z materializmu historycznego. A mianowicie logika dziejów prowadziła nieuchronnie do powstania PRL i wszelkie inne rozwiązania losu Polski były nie tyle gorsze, co po prostu niemożliwe.

Należy odróżnić zabieg wykonany w latach siedemdziesiątych od kilkakrotnie podejmowanych przez ideologię komunistyczną w Polsce prób rozszerzenia własnych horyzontów, własnej wizji przeszłości narodowej. Tę próbę /okres frontu ludowego w latach międzywojennych czy czasy "Kuźnicy" i pierwsze lata po powstaniu PRL/ miały choćby częściowo merytoryczny charakter. Usiłowano rozszerzyć za-

kres tego co "lewicowe", co "postępowe", tak by zmieścił się Żeromski czy Maria Dąbrowska, czerwoni z powstania styczniowego i Lelewel. Ale równocześnie nie zrezygnowano z podstawowych dogmatów. Teraz dogmaty jakby przestały obowiązywać /jest to tylko pczór, jak wspominaliśmy/ i w pczytywnym kontekście wymieniane są postacie tak - wydawałoby się - nieprzyswajalne przez ideologię komunistyczną, jak Beck czy Piłsudski. Bo też faktycznie nie są one przyswajalne, a władza wykorzystuje je tylko i wyłącznie we wspomnianych celach usługowych. Czy to aby na pewno źle?

Obchody 60-lecia odzyskania niepodległości spowodowały prawdziwą inwazję historii. Nigdy przedtem w dziejach PRL nie mówiono na tak masową skalę i tyle o przeszłości II Rzeczypospolitej. Dzięki tej okazji wielu autorów opublikowało teksty, które zapewne w innym momencie nie przeszłyby przez cenzurę. W telewizji i w kinach pokazano zarówno liczne filmy dokumentalne z tamtych lat, jak i inscenizowane wydarzenia polityczne. Wydaje się więc - dobrze. Lecz nieco tylko bliższe przypatrzenie się tej propagandowej inwazji przeszłości pozwala dostrzec, że jest z nią tak, jak z inwazją przedmiotów i wzorów stylu życia pochodzących z Zachodu.

Nie dochodzi zatem do wytworzenia rzeczywistego związku z przeszłością czy - odpowiednio - z kulturą europejską, lecz do ukształtowania na potrzeby masowej wyobraźni zupełnie fikcyjnego obrazu, który ma zaspokajać potrzeby nie dostarczając żadnej wiedzy konkretnej, żadnego powodu poruszenia umysłu, zakłócenia letargicznego snu ducha. I oczekiwania społeczne zostają w znacznej części zaspokojone, bowiem polskie społeczeństwo, jak każde inne zresztą, samo nie szuka problemów trudnych i poważnych i chętnie da się usatysfakcjonować jakimś portretem Piłsudskiego na okładce książki wydanej w masowym nakładzie, filmem, w którym jest nieco więcej prawdy niż nieprawdy o czasach międzywojennych, ogólnym stonowaniem walki z narodowymi tradycjami.

Sama jednak, choćby tak powierzchowna, polityka upowszechniania nieco prawdziwszej wizji przeszłości nie jest złem. Złem jest natomiast wytworzenie przez nią sytuacji podwójnego już uwikłania, podwójnie negatywnego określenia. Na nieco wyższym poziomie świadomości społecznej negatywnej postawie wobec ide-

logicznych destrukcji przeszłości towarzyszyć teraz zaczyna negatywna postawa wobec tworzenia pozorów zgody narodowej za pośrednictwem takiego obrazu przeszłości, jaki jest obecnie oficjalnie kształtowany. Wyzwalcenie się z tego podwójnego negatywnego określenia jest odpowiednio trudniejsze. Dawniej wystarczyło chętnie komunizyczne przeznaczenia i pominięcia. Dziś ten, kto chce powiedzieć o przeszłości coś sensownego, musi także wznieść się ponad ów poziom ułomnej acz nie jednoczynnie negatywnej wizji oficjalnej. Przypatrzmy się teraz, jak z tymi problemami radzi sobie publicystyka prasy niezależnej.

x x x

Prasa niezależna pojawiła się przed dwoma zaledwie laty i wiele wątpliwości, o których będzie mowa, wynika z tego, że są to dopiero początki i pierwsze próby. Nie zamierzam jednak rozważać przyczyn istniejącego stanu rzeczy, a jedynie pragnę go opisać. Lektura takich pism jak "Zapis", "Głos", "Opinia", "Biuletyn Informacyjny", "Bratniak", "Krytyka" czy "Droga" prowadzi do zaskakującego doświadczenia wniosku. W rozmaitych dołączonych do tych pismach widoczny jest tradycjonalizm, o którym była już mowa, więc przekonanie, że cała tradycja /dziedzictwo/ jest z dzisiejszego punktu widzenia wartościową.

Tradycjonalizm ten ujawnia się po pierwsze w sformułowaniach typu: "dla nas cała przeszłość jest skarbem, który należy szanować" /"Opinia"/, "dla patrioty ważna jest cała tradycja" /"Bratniak"/ lub mówiących ogólnikowo o "podtrzymywaniu tradycji narodowych" /świadczanie KSS-KOR z okazji 60-lecia/. Kwalifikacje "cała", "wszystkie" mają odróżniać te wypowiedzi od wizji oficjalnej.

Po drugie w sformułowaniach negatywnych, w których mówi się, że wszelkie naruszenie gmachu tradycji może grozić zawaleniem całości, w których jakakolwiek wyrażenie krytyki przeszłości jest automatycznie uznawane za wystąpienie przeciwko tożsamości narodowej. I wreszcie, po trzecie, w polemikach dotyczących rodów poszczególnych grup, kiedy to dawność rodowodu narodowego bywa przeciwstawiana "nowości" rodowodu socjalistyczno-rewolucyjno-lewicowego. Chociaż tradycja jest tu pojmowana jako całość dziedzictwa, całości dziedzictwa po prostu przyzwyczaić nie można,

a także nikt z dokonujących takich zabiegów w istocie rzeczy całości nie chce przywoływać. Jedni nie chcieliby klerykalnej filozofii XIX wieku, drudzy zaś SDKPiL i KPP. A i z powstań narodowych nie wszystkie fragmenty są równie godne przywołania.

Ten swoisty tradycjonalizm można uznać za próbę propagowania myśli oczywistej i bezdyskusyjnej, a mianowicie za próbę perswadowania, że całość historii Polski winna być nauczana bez żadnych ideologicznie motywowanych wyjątków, że społeczeństwo powinno dysponować możliwie szerokim materiałem dla rozwijania własnej świadomości historycznej.

Uznaję, dość na to deklaracji wprost i dowodów pośrednich, że publicystyka prasy niezależnej poświęcona jest raczej rozwijaniu myśli politycznej niż systematycznemu nauczaniu historii. I przyglądając się z tego punktu widzenia roli tradycji w myśleniu politycznym, w formowaniu zaczątków tego myślenia dostrzegłem następujące najczęściej się powtarzające wątki:

- Wspomniany wątek tradycjonalistyczny. Do rozmaitych ogólnych przywołań "całości" tradycji należy dodać enuncjacje wydawane przez takie organizmy jak KSS-KOR, ROPCiO czy PPN na przykład z okazji 60-lecia odzyskania niepodległości. Oczywiście można dostrzec odmienne rozmieszczenie akcentów w deklaracjach odmiennych stowarzyszeń, lecz generalnie ton jest podobny. Zrównoważone przypomnienie okoliczności z roku 1918, ocena II Rzeczypospolitej, w której-przeciwnie niż w deklaracjach oficjalnych - dostrzega się więcej zasług niż błędów. Składanie takich deklaracji ma niewątpliwie sens polityczny, bc wykracza na przykład poza społecznikowskie cele KSS-KOR.
- Jednoczesne przywoływanie kilku, nawet kilkunastu zdarzeń, idei, postaci z przeszłości, do których, jak się sądzi, albo nawiązujemy obecnie, albo nawiązywać powinniśmy. Tu charakterystyczny będzie zarówno publikowany w "Opinii" "Kalendarz Polaka", w którym towarzyszą sobie najdziwniej zestawione zdarzenia, jak i taka oto wypowiedź z "Głosu", polemizująca z wizją października 1956 jako "małej rewolucji" dokonanej przez samych komunistów: "Dla większości jednak społeczeństwa październik jest polskim miesiącem w takim samym sensie, jak polski jest sierpień z rocz-

nicą Powstania Warszawskiego, styczeń i listopad, a ostatnio marzec i czerwiec. Osobiście sędzę, że to drugie znaczenie polskiego Października stanowi c jego wadze w narodowej historii". Jak wreszcie nieustannie powracające, hurtowe wymienianie cjców naszej myśli politycznej, jej twórców, wybitnych działaczy. Najwyraźniejsze jest to w przypadku Piłsudskiego i Dmowskiego, których wymienianie jednym tohem stało się niemal obowiązkowe. Występują oni jako postacie mityczno-antyczne, jako wzory postaw, a nie w roli przywódców określonych stronnictw politycznych. Nie rozważa się merytorycznych konsekwencji ich postaw, działań, myśli. Są, jak przez przywódców Rewolucji Francuskiej byli Brutus i Katon, Perykles i Demostenes, łącznie wymieniani nie dlatego, by mieli rzeczywiście ccs wspólne, ale jako zmitologizowani, może magiczni, odarci z osobowości nauczyciele postaw moralnych. Celem jest tu zapewne przywołanie ogólnej, czytywnej tradycji aktywistycznej, stąd też pojawiają się takie posupżane analogie jak między KOR-em a wczesną endecją. A w konsekwencji stąd biorą się spory c ideologię narodową wyolbrzymicne ponad wszelką rzeczywistą ważność i aktualność tej problematyki.

- Wątek sporów c tradycję narodową /endeccką/. Więc między tymi, którzy przywołują umiarkowaną wersję tradycji endeckich, czy raczej tradycję Polaka-katolika, a atakującymi ich, którzy obawiają się z góry najcgrszych konsekwencji późniejszej endecji. Z jednej strony więc olbrzymia przesada publicysty piszącego, że "za głównego przeciwnika ideowego opozycji demokratycznej uważam totalitaryzm narodowców", jak wypowiedzi z "Bratniaka", w których tak łatwo przypisuje się komus oddalenie od tradycji czy myśli narodowej. W innej wersji bywa to powoływanie się na domniemaną historię społeczeństwa czy narodu przeciwstawionego obcym mu władcom komunistycznym i ich nielicznym zwolennikom. Mówi się więc, że to "społeczeństwo ma swcją podmiotową historię" jakoś przeciwstawną historii władzy i historii zafascynowanych komunizmem intelektualistów. Jest to oczywisty przypadek zagarnięcia domniemanych tradycji jakiejs domniemanej grupy i uznania się za jej prawdziwego przedstawiciela. Romantycy mówili tu o "ludzie", marksści o "klasie", lecz za każdym razem niema więk-

szłość występowała przeciw głośnej mniejszości, którą uznawano za wykrzescioną i wyobcowaną w imieniu owej jakoby homogenicznej i prawdziwie patriotycznej większości. /Czym dzisiaj, w Polsce kilku milionów partyjnych, kilku milionów oportunistycznych czy uczciwie związanych z reżimem miałyby być taka większość - trudno powiedzieć/.

- Negatywno-pozytywna tradycja Polski powojennej. Najczęstsza postawa to odrzucenie tradycji komunistycznej, rewizjonistycznej, marksistowskiej en bloc. Dobrze to widać w dyskusji wokół marca /"Krytyka"/: niemal wszyscy mówią z tej okazji o punkcie zerowym. Oiekawy jest pogląd na temat genezy dzisiejszej opozycji sformułowany przez krajowego autora w "Aneksie": "Jej punktem zerowym był marzec. Jednak nie jako punkt wyjścia, tradycja ideowa, program czy wypracowany zbiór form, narzędzi działania, lecz jako moment rozpadu wszelkich dotychczasowych nurtów politycznych. Rozpadu, po którym dziedzictwem jest kac, nie zaś porozumienie niepokornych świadomych wspólnego celu. Jeśli dzisiaj porozumienie wśród opozycji jest łatwiejsze niż kiedykolwiek dotąd, to nie przez przewyższenie różnic, lecz bankructwo myśli tworzącej te różnice. Choć więc po raz pierwszy nie zniszczono ciągłości między pokoleniami, choć dzisiaj niepokorni mogą się oprzeć na radach swych starszych kolegów, ci ostatni nie mają do przekazania żadnej myśli politycznej."

Postawa zaczynania od początku, od zera jest jednak bardziej powszechna i paradoksalnie, dostrzec ją można i u tych, którzy według autora powyższego cytatu, nie mają nic do powiedzenia, a mianowicie w notach biograficznych umieszczonych w "Zapisie", gdzie żaden z pisarzy czynnych, nie zawsze według dzisiejszej oceny dobrze czynnych w latach stalinowskich, nie posiada biografii literackiej przed 1956 rokiem. Urodzili się oni dla pisania w okolicy października. W zbiorze wypowiedzi o marcu w ankiecie "Krytyki" przeważa podobny ton. Marzec to był koniec, kres, rozpad czegoś starego i zaczął, źródło, początek czegoś nowego. Tylko wyjątkowo i przez nielicznych publicystów prasy niezależnej tradycja powojenna jest traktowana w sposób zróżnicowany i bez hipotez oraz absolutyzacji.

Oprócz tradycjonalizmu wyraźną cechą publicystyki niezależnej /zwłaszcza w jej stosunku do przeszłości/ jest solidaryzm, ujawniający się w rozmaitych formach, ale we wszystkich pismach niezależnie od ich ideowego zabarwienia. Solidaryzm ten jest oczywiście w treści odmienny od solidaryzmu "jedności moralno-politycznej", jest solidaryzmem walczących, zbuntowanych, ale jego wpływ na wizję przeszłości, na sposób odczuwania czasu historycznego bywa podobny.

Przejawy tego solidaryzmu epizodyczne dostrzeżliśmy w owej całościowej wizji tradycji, w posługiwaniu się zbitkami wydarzeń, postaci, idei niezależnie od ich istotnej nawet odrębności, w chętnym posługiwaniu się takimi wszechobejmującymi pojęciami jak "naród" czy "społeczeństwo", wreszcie w totalnym negowaniu wszelkiej tradycji powojennej, jeśli tylko miała jakikolwiek związek z działaniami lub ideologią władzy. Wszystkie te wątki przywoływania tradycji mają charakter ogólny i nie służą celom intelektualnym, lekcji argumentów, racji politycznych, analizie sytuacji wyboru, lecz jedynie wyrażeniu pośredniej, a czasem bezpośrednio aprobaty dla postaw aktywistycznych, patriotycznych, narodowych. Już całkiem jawnie i otwarcie solidaryzm taki widoczny bywa w licznych uwagach w rodzaju: spory o przeszłość są ważne, lecz celem ostatecznym jest "zrobienie ze społeczeństwa wspólnoty" /"Głos"/ bądź, że typ aktualnych sporów w opozycji jest wynikiem "chorobliwej sytuacji", a ideałem powinna być integracja całego społeczeństwa /"Spółkonia"/. Bywają to poglądy lepiej lub gorzej filozoficznie uzasadnione, lecz ważna jest nie tylko ich treść filozoficzna, a także ogólna tendencja ku wspólnotności, integracji, solidarności.

Przy takiej przewadze tradycjonalizmu i solidaryzmu zrozumiałą staje się nieobecność w prasie niezależnej licznych zagadnień, wątków czy postaci z przeszłości. Nie ma więc sporów o sprawy geopolityczne, o ugodę, o stosunek do Rosji i Niemiec, nie ma problematyki państwowej i ustrojowej, niewiele mówi się o problemach taktyki niepodległościowej, jeszcze mniej o roli kultury narodowej i o jej związku z kulturą europejską. A przecież - jak się wydaje - dla rozważenia tych wszystkich spraw analiza przeszłości narodowej byłaby niezbędna. I wreszcie: w odróżnieniu od działaczy po-

litycznych niemal nie wspomina się politycznych myślicieli, nie znalazłem więc nazwisk Mochnackiego, Brzozowskiego, Szujskiego, Kamińskiego, Studnickiego czy Zdziałchowskiego.

Tradycja w myśli politycznej - w znacznym uproszczeniu - może pełnić dwie funkcje: odróżnienia, pomocy w wykształceniu własnego języka i kategorii politycznych, pomocy w formułowaniu problemów oraz legitymizacji, wykazania społecznej prawomocności danego kierunku działania, ruchu politycznego, grupy ideowej. Funkcja odróżniania i formułowanie kategorii politycznych jest - w moim przekonaniu - twórcza, pozytywna; druga - legitymizacji, jest bierna, odtwórcza.

W myśli politycznej, w publicystyce prasy niezależnej tradycja pełni przede wszystkim funkcję legitymizacji. Służy wykazaniu, że ugrupowania niezależne mają poprzedników, że stoi za nimi szereg szlachetnych postaci, że wypowiadając się za całość społeczeństwa nie popełniają nadużyć, bowiem, jak pokazuje tradycja, społeczeństwo polskie zawsze zmierzało do celów, jakie dzisiaj stawiają sobie ugrupowania niezależne. Taka legitymizacja ma istotne znaczenie moralno-psychologiczne w sytuacji, w której swobodny wybór reprezentantów społeczeństwa jest niemożliwy. Jednak ograniczenie użytków tradycji do tej legitymizacyjnej tylko funkcji sprawia, że z przywykływania tradycji czerpane są minimalne ce najwyżej zyski merytoryczne. W analizie powyższej nie brałem pod uwagę nielicznych tekstów, w których tradycja pełni właśnie funkcję odróżnienia, funkcję poznawczą, są to jednak wyjątki.

x x x

Tradycjonalizm i solidaryzm prasy niezależnej można uznać za trzeci poziom uwikłania społecznych wizji przeszłości. Mimo, że przyczyny na wszystkich trzech poziomach uwikłania działają odrębne, rezultaty są w istotnym stopniu podobne. Więc wizja przeszłości negatywnie określona przez marksistowsko-stalinowskie wypaczenia i przemilezenia, więc solidaryzm "jedności moralno-politycznej" wykorzystujący jakby pozytywnie kaleki stan świadomości uwarunkowany tamtymi wypaczeniami i wreszcie solidaryzm publicystyki niezależnej odcinający się od solidaryzmu władzy, aco odwołujący się do równie statystycznego, zastygłego obrazu prze-

szłości. Warto także wspomnieć, że solidarystyczne i tradycjonalistyczne tendencje w widzeniu przeszłości można odnaleźć w niektórych wypowiedziach Kościłka, a również w sposobie traktowania historii przez, na przykład, polską rozgłośnię radia "Wolna Europa".

Solidaryzm połączony z tradycjonalizmem przekreśla ciągłość historyczną. Nie idzie tu o poczucie ciągłości, jest to bowiem stan subiektywny i jeśli ktoś uważa się za bezpośredniego kontynuatora myśli i działalności Piłsudskiego czy Dmowskiego, to jest to jego dobre prawo, lecz o ciągłość faktyczną, ciągłość jakaś zawsze bowiem istnieje i bez jej zrozumienia nie można pojąć czasów obecnych. Do dziejów najnowszych polskiego społeczeństwa należą, prócz odzyskania niepodległości, okresu II Rzeczypospolitej i okresu wojennego, także lata życia pod władzą komunistyczną. Z dziejów społeczeństwa nie da się dowolnym zabiegiem wyeliminować tych trzydziestu kilku lat. Przecież życie w takim właśnie - jakkolwiek byśmy go oceniali - świecie i pod tą władzą określiło edukację i świadomość znacznej większości dorosłych dziś Polaków. I mimo interwencje obcej czy rodzimej przemocy ciągłość istniała, więc zrozumienie teraźniejszości, bez zdania sobie sprawy jak lata powojenne bezpośrednio lub pośrednio kształtowały rzeczywistość, ludzkie poglądy i postawy, jest niemożliwe.

Natomiast kombinacja solidaryzmu z tradycjonalizmem skłania wyobraźnię społeczną do tworzenia nieruchomego, zmitologizowanego obrazu przeszłości. I z punktu widzenia tych rozważań jest obojętne czy obraz ten przedstawia bohaterów niepodległościowego aktywizmu zastygłych we wspaniałym geście, czy herosów lewicy z dłońią wyciągniętą ku ubogim i poniżonym tego świata, czy jest takim nowoczesnym montażem, na którym najdziwniej skojarzone postacie spoglądają na siebie z wyrazem "jedności moralno-politycznej" w oczach. Ani też ważne nie jest, kiedy wedle różnych opinii, obraz ten znówu się ożywia: w 1956, w 1968 czy w 1976.

Takie usuwanie całych połaci dziejów najnowszych z pamięci historycznej bywa zabiegiem dokonywanym przez tych, którzy albo pragną za wszelką cenę zapomniać, albo chcą przede wszystkim

rozliczać ludzi i idee winne zła. Jeśli natomiast pragnie się raczej zrozumieć swą sytuację teraźniejszą, sytuację całego społeczeństwa oraz sformułować kategorie politycznego myślenia, niedostrzeżenie faktycznej ciągłości może okazać się przeszkodą, niebezpieczeństwem. Niebezpieczeństwo to zaś może przyjmować dwie formy: albo lekceważenia przeszłości wyrażającego się w jej unieruchomieniu, a powielaniu postaw, wzorów estetycznych i idei bez uwzględniania nie tylko sytuacji dzisiejszej, ale i wpływu jaki na te postawy, wzory, idee musiały wywrzeć dzieje ostatnich lat czterdziestu - i to jest dzisiaj tendencja prze-ważająca, albo odrzucenia przeszłości zarówno tej powojennej jak i tej przedwojennej, aby tylko wyrwać się z owego potrój- nego uwikłania. Obie zaś te formy prowadzą do identycznego sto- sunku do przeszłości, kiedy to pomijając ciągłość faktyczną, re- zygnuje się z użycia tradycji dla celów merytorycznych, jako pła doświadczalnego oraz jako źródła wiedzy o teraźniejszości.

MK

DLACZEGO ENDECJA?

Moda na endecję. Niemal każde pismo niezależne przyzywa Dmowskiego i sięga po narodowo-demokratyczne wskazania. Raz, by odnowić pamięć polityki czynnej, innym razem, by skrzepić narodową jedność, kiedy indziej - by sławić zalety realizmu. A bywa, że i po to, by uczynić ogół podstaw geopolityki. Można też obserwować zjawisko odrębne: żywienie endeckich wzorców kultury politycznej oraz żywienie endecji jako stronnictwa /dotyczy to endecji starej, emigracyjnej/. Ale także i krajowej. Nieliczni tylko odnawiają narodowo-demokratyczny program polityczny, większość zadawała się kultywowaniem samej narodowo-demokratycznej mentalności kulturalnej. Inni znowu cawrotnie: podają się za zwolenników kierunku narodowego, lecz gniewa ich endecją mentalność. Jest to specjalność młodej generacji w kraju.

A kto wznawia dziś hasła polityki czynnej, postulat politycznej jedności sił narodowych? Czy endecy? Skąd znowu! Więc dlaczego powrót do endecji? Przecież to pewne, że ktokolwiek spoza obrotu endeckiego^x i środowisk zafascynowanych narodowo-demokratyczną mentalnością sięga obecnie po te dalekie analogie, mógłby się równie dobrze bez nich obejść. Zważywszy, że podobieństwa są pozorne, różnice zaś ogromne. A jednak istnieją powody, dla których współczesna myśl polityczna zwraca się ku tym antemcedencjom.

Pierwsza rzecz, która się musi rzucić w oczy obserwatorowi naszej polityki niezależnej, to przemożna pokusa zakorzenienia jej w tradycji polskich ruchów niepodległościowych, a także antykomunistycznych i najchętniej niezbyt lewicowych. Jest to reakcja zrozumiała, zważywszy moralną i polityczną kompromitację władzy komunistycznej. Kiedy bowiem PRL mierzi i oburza, to wraz z nim odtrąca się również jego prehistorię. Bo jakże nie podważać ideowej sukcesji, która wszak obrodziła tragizmem, potwor-

^x /czyli niezwiązany z londyńskim Stronnictwem Narodowym, bo jest to jedyna oficjalna organizacja endecka/

kwatym tworem: Peerelem? Taka jest więc potoczna reakcja i trudno się dziwić. Sięga się zatem po tradycje wyraźnie odrębne, a działają przy tym dwie prawidłowości. Pierwsza, która powoduje, że to polska tradycja właśnie, a nie ma przykład zachodnia myśl polityczna, dostarczy zbawczych inspiracji politycznych. I druga, która sprawia, że nie sięga się po tradycje lewicowe.

Szuka się więc korzeni myśli niezależnej w tradycji polskiej, jakby w przekonaniu, że nadzieja na poszerzenie horyzontów refleksji politycznej o propozycje opracowane gdzieś na świecie, zwłaszcza świecie zachodnim, jest w sytuacji polskiej zasadniczo nieroztropna i płonna. Dzieje się tak z wielu powodów. Dlatego więc, między innymi, że ruchy niezależne są w ich obecnej postaci raczej społecznikowskie, więc z natury swej bardziej aintelektualne niżli elitarne. Że są tedy bardziej skore do odruchów interwencyjnych i protestacyjnych, aniżeli do kształcenia myśli reformatorskiej czy po prostu państwowej. Są bowiem - i ze względu na mentalność uczestników, i ze względu na usytuowanie ruchu na pobrzeżach systemu, z którym w żadnej mierze nie mogą współistnieć w symbiozie - w dosłownym sensie a-etatystyczne. Nio im więc z pomysłowości i doświadczeń ugrupowań pragnących oddziaływać na politykę państwową.

Dzieje się tak również dlatego, że nikt jeszcze nie przeformułował udatnie kategorii i problematyki zachodniej myśli politycznej na kategorie, cele i możliwości polityki polskiej. Nie ma wyraźnego i unotim pomiędzy sferą zainteresowań politycznej myśli Zachodu a sytuacją Polski /choćby miało to dotyczyć tylko polityki międzynarodowej/. W odniesieniu właśnie do polityki międzynarodowej i unotim takie, dziś, moim zdaniem, nie istnieje.

W odniesieniu do polityki wewnętrznej, choć doniosłość roli międzynarodowej kampanii na rzecz praw człowieka i obywatela jest oczywista, nie ma i nie będzie o czym mówić, póki nie zaistnieje zasadnicza odpowiedniość /którą wszak niewiele zapowiada/ pomiędzy sytuacją społeczeństw sateliokich a zespołem pytań opracowanych przez myśl zachodnią. I choć problematyka liberalizmu i demokracji państwowej mogłaby w znacznym stopniu czywić naszą myśl polityczną, to próżno wołać o jej praktyczne podejmowanie, skoro prawdą podstawową pozostaje, że kraje takie jak PRL muszą

przede wszystkim rozpatrywać swoje możliwości na tle doktryny Breżniewa. A że ani państwa zachodnie, ani tamtejsze partie i ugrupowania polityczne nie zdefiniowały jeszcze swoich interesów, uwzględniając w takiej definicji sytuację społeczeństw wschodnich, nadzieję polityczną wciąż trzeba umieszczać w rejonach podatnych na aktywność polityczną i obywatelską własnych społeczeństw. Pogłębia to jednak skłonność do izolacji intelektualnej i coraz mocniejszego zasklepiania się w sferze własnych kłopotów.

Odwroćcie się od zachodniej myśli politycznej, choć wysoce naganne, jest więc zrozumiałe. Toteż jasne się staje, dlaczego związek z polityką międzynarodową i zachodnią tradycją musi się wydawać - z natury, ale także i w konkretnej sytuacji polskich ruchów niezależnych - zainteresowaniem akademickim, dlatego zatem mistrzów myśli politycznej i lekcji takiej myśli szuka się przede wszystkim w przeszłości własnego narodu. Tendencja ta dzięki tym przemożniej i tym jest silniejsza, że w Polsce dzisiejszej pojawiła się koniunktura na swojskość, tradycjonalizm, społeczny solidaryzm, narodową jedność.

Koniunktura ta, to coś więcej aniżeli prosty skutek ideowej porażki władzy. Oto - odwrotnie niż w pierwszych latach powojennych, kiedy to więź z przeszłością została brutalnie zerwana przez doświadczenia wojny, okupację i nieznaną mechanizm sowietywizacji, zgola nie mieszczące się w ówczesnej wyobraźni politycznej, kiedy działało także znużenie wojną i entuzjazm odbudowy kraju - przysnął raptem czar lewicowości, społecznego radykalizmu i politycznego eksperymentarstwa, a nastroje i sentymenty polityczne skierowały się w przeciwną stronę i nagle powstał popyt na tradycję, różnorodność, umiar, solidarność, na swoistą prawicowość.

Próżno oczekiwać dwuzdaniowej diagnozy. Faktem pozostaje, że takie zaskakujące nastawienie umysłowe tworzy dziś aurę życia publicznego i to zarówno państwowego jak środowisk niezależnych. Kiedy bowiem ktoś włącza się w kraju do polityki niezależnej, od razu znajduje się pod pręgierzem społecznej nieufności. I jeśli nie ma odpowiednio ostro zarysowanej sylwetki antyreżimowej - a kto w Polsce, w kraju o nadmiernie skumulowanych doświadczeniach

politycznych i historycznych, doświadczeniach wciąż niepodsumowanych, historii wciąż nieprzemyślanej, w kraju zatem, który ze zrozumiałych /choć niekoniecznie wolnych od urazów i maołodusznej, nadmiernej podejrzliwości/ względów domaga się ekspiacji, porachunków, kto tedy w tym kraju nadmiernie doświadczonym, tak przeto zlaknionym wymierzenia sprawiedliwości, o tak ewangelicznie pryncypialnej opinii publicznej, może być w ogóle bez kwestii uznany za wolnego od podejrzeń - ten musi więc natychmiast odczuć przemożną presję owych oczekiwań i sięga szybko po legitymacje tradycji, przeszłości, zakorzenienia, święte imiona dawnych mężów stanu.

To powszechne wołanie o Piłsudskiego-Dmowskiego brzmi jak zapowiedź przyjscia nowego Mesjasza narodowej sprawy i w tej aurze nawet najzimniejszy racjonalista, najbieglejszy pragmatyk nieozuży na pokusy ideologii i uroki przeszłości, sięgać musi po cytaty z księgi ozasów minionych, musi - bowiem inaczej nie będzie wysłuchany.

Jeśli zatem słabną dziś inspiracje lewicowe, to dlatego, że sprzyja temu owa koniunktura ideologiczna. Są jednak i przyczyny mniej złożone, bardziej tedy zrozumiałe: proste fiasko reżimu, kompromitacja lewicowej tradycji obarczonej winą za powołanie do życia i umacnianie systemu komunistycznego, uprzedzenie do wszystkiego co spod tego znaku. A zatem do radykalizmu, ducha apriorycznej reformy, doktryn, ideologizmu. Uprzedzenia niekiedy przesadne. Jak na przykład wtedy, gdy wywołują jakby objętność na ideowe imponderabilia, a więc swoisty polityczny i społeczny indyferentyzm pozostawiający miejsce tylko na odruchy moralne, nienawiść, oburzenie, wzgardę.

Do takiej aury również najlepiej pasują owe wielkie imiona, dobywane teraz ze skarbnicy narodowej pamięci, nie tyle ze względu na kierunki polityczne, którym patronowały, ile dlatego, że przemieniły się w symbol patriotycznej determinacji i wytrwałej woli, wierności narodowej sprawie.

Tak oto wszystkie te względy - zakorzenienie w tradycji, którego drugą stroną jest utrata związków z zachodnią myślą polityczną; swoista koniunktura na kierunki antylewicowe; idiosynkrazja na reżim i jego ideowe parantele - kierują błądzącą dziś

jakby po omacku myśl polityczną ku tym rejonom naszej historii, w których - jak się wydaje - odnaleźć można zasadniczo podobną problematykę. Gdyż ta dziwna fascynacja endecją ma również pewien racjonalny charakter. W bardziej pogłębionej refleksji dzisiejszych odkrywców myśli narodowo-demokratycznej można dostrzec przyczyny tego zainteresowania.

To przecież wczesna endecja pierwsza przeformułowała obowiązującą naówczas polską strategię niepodległościową. To ona zerwała z tradycją insurrekcji zbrojnej, taktyką spektakularnych a tragicznych w skutkach zrywów patriotycznych, rzucając zarazem wyzwanie obozowi ugody. To ona, dostrzegłszy zaniedbanie polityczne polskiego społeczeństwa, a także niemożność przerwania zaklętego kręgu zewnętrznych determinacji, opasującego naród kajdanem niewoli, sprecyzowała program polityki czynnej. A więc: potęgowanie presji wewnętrznej mającej na celu z jednej strony obywatelkie podniesienie kraju, z drugiej zaś - stopniowe wywalczenie ocrasz szerszego marginesu swobód. Był to plan dalekosiężnej akcji, która w sprzyjających warunkach przynieść miała państwu suwerenność bez uszczerbku wszelako dla niezawisłości narodowej i zdolności społeczeństwa do politycznego stanowienia o swoich losach.

Każdy, kto ima się dziś podobnej strategii i zakłada analogiczne cele - a przecież jest to kierunek dążeń polskich ruchów niezależnych - natrafić musi na zbiór pytań, które wyrosły przed narodowymi demokratami, kiedy tylko sprecyzowali swój program i przystąpili do jego realizacji. Są to bowiem wciąż te same pytania. Więc najpierw pytanie o kierunek działania i jego cele, następnie pytanie o metody, wreszcie kwestia praktycznego budzenia świadomości politycznej społeczeństwa, sposób jej ukierunkowania, modelowania narodowych emocji. Analogiczność tych problemów a także pokusa skorzystania z receptur endecji - oto przyczyna pierwsza fascynacji myślą narodowo-demokratyczną.

Kolejny powód, dla którego rozum poddaje się czarom endeckiej myśli, to niemal powszechnie podzielana diagnoza, iż moce pozwalające społeczeństwu skutecznie opierać się mechanizmom sowietyzacji, są analogiczne do tych, które niegdyś umożliwiły przetrwanie narodu pod jarzmem niewoli. Świadomość narodowa - oto imię tych mocy. Jak ją uchronić i jak przekształcić w ożywcze źródło polityki polskiej?

Kto pragnie samoobronne tradycje narodu uczynić podstawą politycznych starań, szybko natknąć się musi na tropy endeckie. Endeoja pierwsza wysnuła program z tych złoży wartości, które przez lata były ostoją oporu: religijność i tradycjonalizm, katolicyzm ludowy, wierność Kościołowi, pamięć Niepodległej, kulturowanie więzi narodowej na poziomie elementarnym. Pokusa zakorzenienia myśli politycznej w tych pokładach uczuć jest dzisiaj przemożniejsza, że uczucia te były od lat zaniedbywane przez krytyków reżimu.

Podszepty geopolitycznego rozumu i niewiara w zmianę to przyczyna następna, ściślej niż poprzednie związana z narodowo-demokratyczną szkołą polityczną. Bywa bowiem, że ten, kto skłonny jest przedstawiać prorosyjską ugodę w kategoriach polskiej racji stanu i geopolitycznej, wyższej konieczności, "unarodawia" na modłę endecką doktrynę Breżniewa, a argumenty swe czerpie bezpośrednio z geopolitycznej schedy narodowych demokratów.

Tak więc w różnych sferach polskiej opinii pojawia się - dla jakże odmiennych, niewspółmiernych przyczyn - zaciekawienie endeckimi rozstrzygnięciami. Zaciekawienie to jest tym silniejsze i tym łatwiej traci racjonalny charakter, że łatwo o pobudliwość uczuć i emocji, gdy raz po raz wpada się w koleiny myśli wyżłobione przez woiaż potężną w kraju mentalność endecką. Sama żywotność tej mentalności to zatem kolejna przyczyna dzisiejszych fascynacji endeckim myśleniem.

Są również inne poszlaki kierujące rozum ideologiczny na ślad narodowo-demokratycznej tradycji. Choćby zupełnie realny użytek, jaki można zrobić z hasła solidarności. Wiadomo: sprzymierzenie obywateli zgodnie współdziałających w walce z władzą o swe słuszne prawa - o to pierwaze przesłanie ruchów niezależnych. Kiedy imperatyw współdziałania jednoczyć ma społeczeństwo ze względu na wynaturzenia najszersze - a więc władzę, ustrój, przemoc, zarządzanie - kiedy więc w małym stopniu dotyczy spraw partykularnych /choćby/ ^{podobny} się one do trwałych, niejako naturalnych interesów poszczególnej grupy czy sił społecznych/, łatwo stać się może, że ten niekonsekwentnie ujawniany ślad szeregów żądań zatrze się zupełnie. A wówczas hasło solidarności społeczeństwa, niekonfrontowane już z partykularnymi interesami socjalnymi, nie odbijające konkret-

nych oczekiwań i postaw, jakże łatwo przekształcić w pierwsze zawołanie ideologicznego solidaryzmu. Przecież jest to wersja najbardziej ponętna, gdy chce się obojętnej władzy i skorumpowanym elitom przeciwstawić prawe, jednomyślne - choć enigmatyczne - rzesze społeczeństwa. Możliwość taka jest wszak dobrze znana z historii narodowo-demokratycznej myśli politycznej. Nic zatem dziwnego, że rozważanie tych dylematów powoduje przywoływanie endeckich rozstrzygnięć.

Jeszcze lepszy grunt dla pokusy endeckiej stanowi ogólna sytuacja polskiej opozycji, sytuacja nieuchronnie dwoista. Ruchy niezależne z jednej strony bowiem torują ścieżki dla strategii "nowego ewolucjonizmu"; z drugiej zaś ciążą na nich oczekiwania, by przechowywały najradykałniejsze, maksymalistyczne programy narodowe. I choć nikt dziś nie prowadzi bezpośredniej akcji niepodległościowej i używane są inne metody, to z opozycyjnością kojarzy się skrajność: opozycja ma mówić wprost o tym, o czym władza milczy. Tak powstaje pole dla częstej retoryki, pustej demagogii byle najdalej idącej w patriotycznych deklaracjach. Tak rodzą się nastroje pozbawione pokrycia w rzeczywistych działaniach. Lecz z podobnej konfuzji zrodziła się przecież ideologia endecji. Więc jeśli chce ktoś dzisiaj schlebić niecierpliwości narodowych pragnień i pozostać w zgodzie z programem długofalowych działań, sięga - to oczywiście - po technikę propagandy stworzoną przez endecję.

Są również inne powody, które przemawiają za dalszym wzrostem zainteresowań dorobkiem narodowej demokracji. Przecież przez długie lata tradycja ta leżała odłogiem, liczne są więc jej jeszcze niewyeksplloatowane zasoby. Dziś, gdy opozycja szuka dopiero języka dla określenia swego stanowiska, tradycja endecka może się okazać istnym dla niej skarbem. Gdyż znaleźć tu można cały repertuar pojęć, zaklęć, znaków, kategorii, a wszystkie one, chwytliwe, mamiące, świetnie się stosują, kiedy chce się ukazywać to, co łączy, spaja, jednoczy, wywyższa. A także i wówczas, gdy zachodzi potrzeba ostrych przeciwstawień. Język endecji może więc zrobić prawdziwą furorę wtedy, gdy wybije godzina propagandy obliczonej na masy, wygrywającej emocjami, a intelektualnej. I również wtedy, gdy w łonie opozycji dojdzie do krystalizacji i znajdą

się zwolennicy tego co rodzime, polskie, nieskażone. A także i wtedy, gdy zjawia się tacy, którym się zamarzy szkoła realizmu, gładkiej polityki, pragmatycznej myśli - i oni przecież będą szukali lekcji w endeckiej tradycji.

Wiele jest więc powodów mody na endecję. Chociaż powyższa próba ich zbadania ma charakter cząstkowy, mocno powierzchowny, to sama rzecz to nie jest pozór, wymysł. Wystarczy spojrzeć na publicystykę polityczną ostatniego czasu.

Zatem: świetna książka Wasiutyńskiego /"Źródła niepodległości", Londyn 1977/ inteligentnie odświeża tradycyjny program polityczny narodowych demokratów, uwyppuklając głęboki związek tego stanowiska z mentalnością narodo-demokratyczną. O polityczną rehabilitację Dmowskiego zatroszczyli się również miłośnicy sztuki politycznej. Tak więc z ostatnich analiz - by wspomnieć artykuł Bromkego "Roman Dmowski" /"Związkowiec", grudzień 1978/ i 23 tekst Polskiego Porozumienia Niepodległościowego "Dwa oblicza Romana Dmowskiego" - wyłania się portret doskonałego geopolityka i dalekowzrocznego, porywającego realizmem, elastycznością i poczuciem racji stanu przywódcy narodu, którego umysłu nie zdołały jakoby zaćmieć narodo-demokratyczne fobie i uprzedzenia. Obsesje te zresztą traktowane są przez najbardziej bezstronnych, lecz niewątpliwie zafascynowanych endecką polityką biografów jako prawda, że wstydlive a nawet haniebne, ale jakoś przecież dla polityki Dmowskiego - choć nie za wszystko chwalonej - zgęźla drugorzędne.

Myśl taka nie jest obca młodej generacji w kraju. Tak oto publicyści "Bratniaka", bardziej jednak w tym wypadku urzeczeni ideologią niż sztuką polityki, wkrzeszają z zacięciem endeckie wskazania w nadziei, że uda im się wyczyścić je z narodo-demokratycznej mentalności.

Również inne środowiska opozycyjne nie stronią od endeckich wzorów i, jakby niepomne ich dwuznaczności, sięgają po tradycję polityki czynnej.

Kusi zatem, by w tym niepomiernym materii pomieszeniu, kiedy to każdy z innych względów skłania się ku endecji i inne rzeczy z niej czerpie, postawić horoskop: w czasie niezadługim, a świadczą o tym znaki na niebie i ziemi, zrodzi się w kręgach niezależ-

nej polityki wielka koniunktura na prądy endeckie. Horoskop taki wydaje się ponętny, lecz woale nie jest w pełni przekonujący. A oto dlaczego:

Pewność tej przepowiedni podważa przede wszystkim fakt, że wszystkie przyczyny koniunktury endeckiej wynikają jedynie z nawyków umysłu i anachroniczności polskiej myśli politycznej, z ciężenia tradycji, zawężonych perspektyw. W żadnej więc mierze nie wynikają one ze sfery praktycznych kłopotów polskiej polityki, więc z dziedziny społecznych, ekonomicznych, państwowych czy też oywatizacyjnych realiów. Ponadto dzisiejsza praktyka ruchów niezależnych niewiele ma wspólnego z tradycją endecką i z zaklętym kręgiem tradycyjných sporów. I choć dalszy rozwój tej praktyki jest na razie nie do przewidzenia to, jeśli wnosić po obecnych próbach, ruchy niezależne żywią się stłumionymi siłami inicjatyw społecznych, oywatelskiej zaradności. Kierunek tych działań, umieszczony w horyzoncie państwowej reformy i demokratyzujących starań, a także towarzysząca im aura duchowa, są rozbieżne z postulatami wypływającymi z endeckiego ideału integralizmu narodowego. Tak więc, choć retrospektywny charakter polskiej myśli politycznej i siła resentymentów wyposażają endecję w nielada atuty, to nie ta tradycja dyktuje realnie dziś podejmowane zadania.

Jest też inna racja, która każe wątpić w sukces endeckiej myśli politycznej. Otóż renesans zainteresowań endecją woale nie oznacza, że zostanie wkrzeszony cały, integralny korpus tej tradycji. Wprost przeciwnie. Kultura polityczna narodowej demokracji, dziś wkrzeszona, nosiłaby prawdopodobnie znamiona głębokiej dekompozycji.

Niekiedy wręcz zaskakującej. Wystarczy wspomnieć, iż ci, którzy w kraju nawiązują do myśli endeckiej muszą się powstrzymywać z prorosyjskim gestem. Zaś co przenikliwi endocy ortodoksyjni, nawet starzy, emigracyjni, pojawszy, w którą stronę wieje wiatr historii, dostrzegając zażamanie ideałów integralnego nacjonalizmu a przede wszystkim politycznego darwinizmu i egoizmu narodowego, zaczynają mówić o prawach człowieka, swobodach jednostki, demokratycznych pryncypiach wolności. Podobnie młodzi krajowi zwolennicy dawnych wskazań Dmowskiego, pomni widać, że znaleźli

się w nielada kłopotcie, zaczynają pisać człowiek z majuskuły. A słychać, że się odcinają od swojego mistrza, podobno począwszy od okresu "Podstaw polityki polskiej" /więc od okresu konsekwentnego, antyliberalnego nacjonalizmu/. Fakty te przemawiają za tym, że tradycyjna myśl endecka znalazła się w odwrocie i że sami endecy dostrzegają nie tylko jej niewystarczalność, ale wręcz rozminięcie się z podstawowymi dziś potrzebami duchowymi.

Jest też inny ważny powód, dla którego zawieść może gwiazda narcdowej demokracji. Bowiem proendeckie nastroje, choć nieuniknione, nie świadczą bynajmniej o renesansie narodowo-demokratycznej myśli politycznej. Wątpliwe, by myśla mogła odżyć, zwłaszcza w wersji opozycyjnej. Zasadnicze wkazania praktyczne tej myśli spożytkował już przecież z powodzeniem reżim. Więc: Polska piastowska, orientacja rosyjska, kultura narodowa silnie ujednoliczona. Dalej: ograniczenie swobód demokratycznych, model kontrolowanej, sparaliżowanej demokracji parlamentarnej. Wreszcie Polska ludowa, wręcz populistyczna. Również ideał Polski etnocentrycznej: silnie antysemickiej, antyniemieckiej, antyczeskiej. Zrealizowano również tęsknotę za solidarystyczną wersją kultury politycznej, a jednostkę strącono w odmęty najszerszych zbiorowości - narodu, państwa, powszechnej organizacji politycznej. Wprowadzono także w życie postulat porządku, dyscypliny, światopoglądowej jedności i prymat racji stanu. Zlikwidowano pośrednie, autonomiczne ciała społeczne. Wreszcie, pozbawiono ogół możliwości swobodnego życia duchowego, mając go zarazem urokami tradycyjnych wartości. Sami endecy, choćby Wasiutyński, przyznają, że reżim udatnie wprowadził w życie tę część postulatów narodowo-demokratycznych, przyznają to nawet najwierniejsi z wiernych, nieskorzy do kolaboracji. Lecz próżno szukać w endeckich wskazaniach innych propozycji politycznych, w których by podjęta choćby została - jako żywa i otwarte zagadnienie - współczesna polska problematyka polityczna. Tak więc dzisiejsze opozycyjne nurty ozerpiące z endeologii, nie mają myśli państwowej, ani też społecznej. W dodatku nie wykorzystały one szansy na stworzenie konkretnej, realistycznej strategii niepodległościowej, chociaż tak lubią to słowo. Nazbyt są bowiem

sterroryzowane przez antykomunistyczne nastroje uniemożliwiają-
ce kontynuację tradycyjnej orientacji endeckiej. Natomiast resz-
tę dawnych postulatów endeckich już przechwyciły władze. Cóż
więc pozostaje dzisiejszej endecji poza eskalowaniem emocji na-
rodowych?

Myśl polityczna narodowej demokracji po prostu nie wytrzymuje
konfrontacji z dzisiejszością - oto jest przyczyna, która każe
zaniechać wszelkich horoskopów i uznać, że mimo wszelkie znaki,
wzmoczenie proendeckich nastrojów czy też fascynacji, bynajmniej
nie wróży temu kierunkowi trwałego sukcesu. Rzecz więc skończy
się prawdopodobnie wykładaniem nagromadzonych tęsknot i resen-
tymentów. I choć wskutek tego polska kultura polityczna zostanie
niewątpliwie silniej jeszcze ujęta w klaszcze prowincjonalnych,
anachronicznych dylematów, choć straci na tym myśl perspektywicz-
na i raz jeszcze ucierpi ideał europejskiej demokracji i libera-
lizmu, to przecież rzecz potoczy się dalej, drogą nie do przewi-
dzenia. Gdyż nie stać dziś myśli proendeckiej na określenie kie-
runku polskiej polityki.

Wątpić więc należy w przyszłość z endeckiej tradycji wywodzo-
nej m y ś l i p o l i t y c z n e j, wątpić zaś nie można w re-
nesans proendeckich z a i n t e r e s o w a ń i n a s t r o-
j ó w. Pojawianie się takich sentymentów, zwrot ku tradycji myś-
li politycznej żywej przed osiemdziesięcioma laty, potem coraz
barziej zamkniętej i niebezpiecznej, podejmowanie tych wątków
w żaden sposób - jak była mowa - nie związanych z praktycznymi
problemami współczesnej opozycji, ta archaizacja myślenia o po-
lityce stanowi szczególnie, i szczególnie w przypadku nastrojów
i wspomnień endeckich groźny, fragment tendencji ogólniejszej. Po-
szukiwanie źródeł myśli politycznej wyłącznie w przeszłości, for-
sowne jej archaizowanie, chociaż w sytuacji dzisiejszej zrozumia-
łe, wydaje się bowiem tendencją nie tylko jednostronną, ale i ja-
kową - co więcej żłudną, bo kierującą uwagę ludzi pragnących myś-
leć o polityce ku problemom, spcom, często słowem nie mającym
nic wspólnego z konkretną, polską sytuacją polityczną.

CIEŃ PIŁSUDSKIEGO

Po latach w świadomości społecznej zjawiska związane z osobą Józefa Piłsudskiego jawią się w kolejności odwrotnej niż się rozdziły: najpierw jest legenda, przybierająca częściej kształt fascynacji, rzadziej nienawiści, jest dziwnie przenikliwe spojrzenie, które zawisło nad narodem jak los; później jest spletany układ politycznych wydarzeń, społecznych uwarunkowań, jest cała mgławica elementów, które po odpowiednim ustawieniu mogą służyć każdej tezie, każdej opinii; a wreszcie jest to, co stanowi źródło, początek legendy - indywidualna osobowość, która wyraża się w działalności i pisaniu, a skupia w sobie nawralgiczną problematykę polityczną wczesniejszych pokoleń, rzuca światło na sylwetki swych poprzedników i antagonistów.

Interesować mnie tu będą nie działania polityczne Piłsudskiego, ich przecież nie można zamknąć w jednym szkicu, są wypadkową historii Polski, historii Europy, lecz owa smuga światła, jaką ta postać rzuca na dzieje polskiej myśli politycznej XIX wieku, na sposób ujmowania zagadnień społecznych, na rozumienie tradycji. Kiedy bowiem interesujemy się sylwetkami politycznymi ubiegłego stulecia, kiedy spoglądamy na galerię ówczesnych działaczy, często tak zwaśnionych, tak zaślepionych pasjami, to z całej różnorodności charakterów, temperamentów, losów egocentrycznych wynurza się zaledwie kilka wątków powracających problemów, kilka pytań, na które ci ludzie starali się dać najlepszą odpowiedź. Ta jednostronność zainteresowań jest znamienna i zrozumiała: utrata niepodległości była problemem, do którego wszyscy musieli się ustosunkować. Tymczasem zmieniał się układ Europy /choć dla Polaków; modlących się o powszechną wojnę ludów, działo się to zbyt wolno/, przemianom ulegały stosunki społeczne w państwach zachodnich, ich wzajemna równowaga oraz traktowanie przez nich sprawy polskiej, a wreszcie ewoluowała struktura społeczna kraju.

Na widowni pojawiały się coraz to nowe układy sił, z którymi trzeba się było liczyć.

Na każdą nadzieję zmiany rzucano się jako na szansę rozwiązania naczelnego problemu. I zawsze istnieli "romantycy", którzy wołali o pełną realizację podstawowego celu, o odzyskanie niepodległości, nawet jeżeli w danym momencie także i w ich opinii było to nieosiągalne, a równocześnie istnieli "realiści", którzy za cenę ugody, rezygnacji z pewnych wartości /w duchu często myślano - chwilowej, politycznej/, chcieli uratować inne wartości, osiągnąć realne polepszenie sytuacji. "Romantycy" także chodzili o realne zmiany, tyle że inne drogi działania uważali za najlepsze. Istniały w Polsce te dwie nieformalne partie, dwie postawy wobec politycznej problematyki, które często znajdowały wyraz wewnątrz jednej ideologii, wykorzystywały na swój rachunek te same hasła, oznaczające wówczas oczywiście odmiennie treści. Tu chyba tkwi źródło nienawiści działających ludzi tak silnie, że animozje trwały dłużej niż prawdziwe różnice.

Myśl, która rozwija się w niewoli, jest w zrozumiały sposób uświadomiona na stosunek do niepodległości, wyraża się to jednak bardzo często w negowaniu zwolennikom innych haseł, członkom innego stronnictwa prawa do rozwiązywania politycznych dylematów. Tylko jedna droga wyjścia z niewoli uważana jest za dopuszczalną, wszelka inna ogłaszana za odstępstwo. W takiej sytuacji walka z poglądami odmiennymi, które traktuje się jako konkurencyjne, nieraz pochłaniała całą energię, na pozytywne działania brakło już animuszu. Stworzenie takich mechanizmów życia społecznego, które by potrafiły uzgodnić i wykrzysnąć działania różnych stronnictw, różnych odłamów opinii publicznej, wymaga długiego czasu i dużej kultury. Zrozumienie tych kwestii, realizacja płynących stąd wniosków jest szczególnie trudna dla narodu w niewoli.

Dlatego taką wagę mają ci myśliciele i działacze, którzy wychodzili ponad doktrynerskie podziały, aby szukać dróg, na których odnajdzie się najlepsze ramy dla niepodległego państwa. Ponad podziałami na czoły, także ponad podziałem na "romantyków" i "realistów", istniał podział na tych, którzy zamykali się w niewoli haseł oraz na tych, którzy uciłowiali budować myśl czwartą, niepodległą, związaną ze społecznym konkretem, z losem narodu

i z ogólnoludzkimi wartościami. I znów trzeba powiedzieć, że myśl zamknięta, dogmatyczna mogła się pojawiać w różnych obyczajach, przybierać kostium różnych ideologii. W każdym wypadku prowadziła swych zwolenników na niebezpieczne i często niedostrzegane przez nich manowce: odrzucali postulat niepodległości ojczyzny, choć z różnych czynili to pobudek.

Na każdym zakręcie historii, podczas każdego politycznego przesilenia, gdy pojawiały się nowe hasła i nowe programy, pojawiało się też nowe wcielenie myśli zamkniętej, zniewolonej, która mogła przejść hasła lewicy czy prawicy, posługiwać się frazeologią "romantyczną" czy "realistyczną", głosić skrajny bunt czy skrajną pokorę. Ten dogmatyczny radykalizm myśli był na polskim gruncie szczególnie niebezpieczny. W innych krajach istniały społeczne mechanizmy, które łagodziły nihilistyczne konsekwencje takich programów - ich indywidualni wyznawcy stanowili nieszkodliwą mniejszość. W Polsce tych mechanizmów zabrakło, aberracje myśli godziły w duchową suwerenność narodu, podważały jedyne źródło oporu.

Dlatego interesują nas ludzie, którzy się na te manowce zbłąkali, dają bowiem mimowolną ilustrację konsekwencji pewnych ideologicznych wyborów, pokazują, przeciw czemu brnili się inni. Dlatego tak ważni są ci myśliciele, którzy - jak Mochnacki, jak Limanowski - przeciw tym niebezpieczeństwom walczyli. Dlatego należy uważnie pochylić się nad miejscem, jakie w tej problematyce zajmuje sylwetka Józefa Piłsudskiego, który rzuca na odcisk zagadnienia tym ciekawsze światło, że był przede wszystkim nie teoretykiem lecz praktykiem, nie ujmował swych poglądów w zwarty system lecz posługiwał się intuicją, poetyckim skrótem; jednym obrazem, jednym porównaniem określał swój stosunek do najważniejszych problemów, jakimi się zajmowała polska myśl polityczna.

A był to stosunek wyznaczony przez miejsce i czas, na jakie przypadła jego młodość. Powstanie styczniowe stanowi wyraźną cenzurę w dziejach polskiej myśli politycznej, ale na Litwie i Rusi rok 1863 był większym przełomem niż w reszcie kraju, bo cień murawiewowskich szubienic zawisł nad tamtymi ziemiami. Piłsudski nieraz podkreślał, że gorycz opowiadać o powstańczej

klęska była jedynym zgrzytem Jego dzieciństwa, a pragnienie wyrwania z tego marazmu siebie i innych kierowało całą jego późniejszą działalnością. "W takich warunkach nienawiść moja do carskich urzędzeń, do uciśku moskiewskiego wzrastała z każdym rokiem. Bezsilna wściekłość dusiła mnie nieraz, a wstyd, że w niczym zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę znieść w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i historii, palił mi policzki. Uczucie przygnębienia, uczucie niewolnika, którego w każdej chwili jak robaka zgnieść mogą, leżało mi na sercu kamieniem mżyńskim".

Tak określał Piłsudski swoje młodzieńcze przeżycia w szkicu "Jak stałem się soojalistą", do którego przyjdzie nam powrócić, bo dostrzec tam można nie tylko odbicie narodowego poniżenia, ale jednocześnie punkt wyjścia do walki o własny honor, o przewyżczenie klęski. Dlatego kilkakrotnie powracał do powstańczej legendy, poświęcił jej najpiękniejsze strony swego dzieła. Wówczas nastąpiło przesilenie w stosunku Polaków do niepodległości, postawa realistyczna zdawała się powszechnie triumfować. Piłsudski starał się ukazać, że problemy tamtej epoki nie są wcale przewyżczone, że pytania, które stały przed tamtymi ludźmi, nadal domagają się odpowiedzi, że ów realizm sam w sobie nie jest jeszcze żadnym rozwiązaniem.

Zastanawiając się nad znaczeniem powstańczych wydarzeń/^{myślał}przebieg o genealogii własnej postawy, o własnej wizji wielkości ojczyzny, ale potrafił wyjść poza te nawarstwienia schematów polskiej myśli, o których już była mowa. Przede wszystkim rozbił legendę o Treuga Dei, o narodowej zgodzie tamtych dni, następnie legendę wyjątkowej słuszności jednego ze stronnictw, w końcu legendę wyjątkowej racji jednej z postaw: "romantycznej", czy "realistycznej". Gdzież w takim razie jego odpowiedź, jak on widzi tamte dni?

Były to chwile przełomowe dla naszych dziejów. "Na progu nowoczesnego życia społecznoego stoją wydarzenia 1863 roku. Wzrasta mur olbrzymi, dzieląc pokolenia od pokoleń, czyniąc nowe życie, zamykając stare - mur, na którym tryskają ogniem pisane cyfry: 1, 8, 6, 3. Kłoneży te cyfry świadomie dla myślących, bezwiednie dla wszystkich, tworząc i kształtując duszę nowego, popowstańcowego Polaka, - nowe zjawiają się załomy duszy, inne nerwy, całkiem odmienny sposób odczuwania i reagowania". Przemierza spojrzeniem

ówczesne stronnictwa, ówczesnych działaczy i nigdzie nie dostrze-
ga owej legendarnej zgody narodowej, widzi wyjątkowe natężenie
osobistych nienawiści.

Odrzuca też legendę przeciętności powstańczych wysiłków, "rea-
listyczną" legendę, która została dopisana później, po klęsce, i
zapancowała na długo. Poszukuje głębiej znaczenia tamtych dni,
wielkości, która musiała istnieć. "Została legenda, że to tylko
było szaleństwo /.../ Szukałem jak opętany. Nie mogłem się z
tym pogodzić. Wielkości, gdzie twoje imię? Największe imię to
margrabia! Choibałem go kochać za wielkość, bo miał on dumę i
godność swego narodu. /.../ Nie był niewolnikiem. Wielka siła,
wielka duma. Padł zduszony obręczą bagnatów z jednej i z drugiej
strony, padł pod siłą pogardy, gniewicy często potwarzą niena-
wici. Nie ma wielkości, wielkości szukać trzeba było gdzie in-
dziej". Warto zwrócić uwagę na charakterystyczną dla Piłsudskie-
go śmiałość spojrzenia, która pozwoliła mu dostrzec wielkość
postawy głoszącej przeciw hasła zupełnie mu obce, ale reali-
zującej bliskie mu cele. Złączenie pragmatyzmu i idealizmu, sil-
nie podkreślana niechęć wobec doktrynerstwa umożliwiła głębokie
wczucie się w tradycję polityczną XIX wieku. I szkoda, że póź-
niej nie starczyło Piłsudskiemu tej ideowej wielkoćduszości dla
współczesnych antagonistów.

W Wielkopolskim widział niespełnioną szansę wielkości, ale
prawdziwą wielkość epoki dostrzegł w niezwykłym szacunku, jaki
potrafił wzbudzić Rząd Narodowy. Pieczęta rządu nakazywała so-
lidarność, uzyskiwała posłuch, wносиła niepodległy ład w znie-
woloną społeczność. Piłsudski mówiąc te słowa myślał przede
wszystkim o własnym losie, o losie legionów, o późniejszych na-
dziejach i niepowodzeniach. I zakończył prelekcję o powstaniu
symbolicznym wspomnieniem. Oto kiedy na samym początku wojny zna-
lazł się w zamku Wielkopolskiego, gdzie w opustoszałych komnatach
było obczowisko wojska, oienie przeszłości znów powróciły. "Gdy
oczy na chwilę zamknął, wielka postać margrabiego stanęła przede
mną. Opaske cielsko, oparte na kij, ze wzdardliwym twarzy wyra-
zem. I znów głos jego ozwał się: »Znowu te same - lecz ty i ci
twci jacyście mali, mała wasza nikczemność, małe bohaterstwo!«."

Ten zdumiewający opis spotkania wskazuje, jak wielką rolę
odegrało przemyślenie roku 1863 w kształtowaniu się politycz-

nej mentalności Piłsudskiego. Bowiem w tamtych dniach znalazły dramatyczny wyraz problemy, które go nurtowały przez całe życie: zagadnienie wzajemnych relacji posłuszeństwa i wolności, praworządności i suwerenności. "Szukałem rozwiązania, nie cofałem się przed zakamianiami, które ultraviolet dają, które ultravioletem oslepiają. Nie chciałem być niewolnikiem, szukałem swobody, byłem dzieckiem swobody i dla niej, dla tej swobody mocy szukałem. I w tym wieczystym problemacie, w tej sprzeczności demokracji i wojska byłem długo chwany. Problem ten ujmowałem w ręce nie czując wstydu, ani niechęci, bo byłem dzieckiem swobody. Ale sprzeczności nakazu i swobody dotąd nie rozwiązałem". W te sprzeczności przyszło mu się później boleśnie uwikłać, ale ten dylemat określa całe jego życie. To nie on powiedział: "skazałem was na wielkość", i nie on wyrzekł słowa o czerwonym tramwaju, z którego wysiadł na przystanku niepodległość, ale dlatego z takim uporem nawet historycy przypisują mu fragment wiersza Wierzyńskiego i wymyślony przez Nowaczyńskiego urywek rzekomego wywiadu, że wyczuwają w tych skrótowych formułach znakomite określenie legendy Piłsudskiego.

Problem swobody pojawił się jako reakcja na otaczające zniewolenie, na ośm murawiewowackich szubienic. Drukowane w "Przedświcie" i w "Robotniku" artykuły często zajmowały się zmaganiem z rusyfikacją. Piłsudski bacznie śledził wszelkie jej przejawy, jest szczególnie wyczulony na zanik narodowej dumy w społeczeństwie, na łatwe zwycięstwo postawy ugodowej. Uważnie analizuje stosunki społeczne w Rosji, mechanizmy, które podtrzymują stan niewoli. Różni się w opiniach zarówno od tych, którzy przyczyn szukają w mitycznych rasowych predyspozycjach Rosjan, jak i od tych, którzy "należnie zwalają odpowiedzialność za tę politykę na rząd jedynie, uniewinniając całkowicie społeczeństwo rosyjskie". Zdaniem Piłsudskiego od panowania Aleksandra III nastąpiła wyraźna zmiana w polityce wewnętrznej. "O ile więc dla niepoprawnych zostawił szubienice, więzienia i Sybir, o tyle dla innych otworzył szeroko drogę do władzy i chleba. Od dwudziestu lat polityka wewnętrzna caratu polega na rozszerzaniu organizacji rządowej przez przyswajanie jej coraz to nowych funkcji. Jest to sui generis socjalizm państwowy, w którego zakres wchodzi ko-

leje i filantropia, wódka i moralność, nauka i religia". Tak wyprodukowana sfera biurokratów, bez których system carski nie może istnieć, rzuciła się przede wszystkim na "zachódnie gubernie", na ziemię polskie.

"Polityka rusyfikacyjna, na wszystkich kresach państwa carskiego uprawiana, jest nieledwie koniecznym wynikiem istniejących w nim stosunków społecznych". Te stosunki chociaż Piłsudski zmieniać, dlatego stał się socjalistą. Podobnie jak dla Limanowskiego, socjalizm był dla niego walką zarówno o wyzwolenie społeczne, jak i narodowe. Pogląd taki w okresie młodości Piłsudskiego był na polskim gruncie czymś raczej wyjątkowym. Sam wspominał, że dlatego mógł zostać socjalistą, że zapoznał się z tą ideologią w wydaniu petersburskim. "Dla mnie osobiście uważam to za szczęście. Gdybym się spotkał w owe czasy z socjalizmem warszawskim, negującym otwarcie sprawy narodowościowe i występującym przeciw tradycji powstańczej, byłbym tak opornym na jego wpływy, że razem z tymi niepotrzebnymi, według mnie, dodatkami, odrzuciłbym i samą ideę socjalistyczną". W owym okresie trafił Piłsudski na broszury Diksztajna *'Kto z czego żyje'* i Liebknechta *'W obronie prawdy'*, przeczytał też, bez większego wrażenia, pierwszy tom *'Kapitału'*. Przede wszystkim jednak działał wśród robotników. Wkrótce przyszło drugie aresztowanie. Tam przemyślał młodzińcze doświadczenia, starł z siebie resztki rosyjskich wpływów. Zrozumiał, że socjalizm może być nie tylko romantyczną utopią, lecz również wyrazem realnych dążeń, sposobem organizowania mocy i wielkości społeczeństwa, tego wszystkiego, czego szukał w doświadczeniach 1863 roku. "A gdym się zastanawiał nad narodem, z którym mnie wiązało wszystko, co cieszy i wszystko, co boli, wszystko, co we mnie myśli i wszystko, co czuje, przychodziłem do przekonania, że moje dziecięce marzenia i rojenia zespalają się z moim młodzięcym światopoglądem. Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce".

Kiedy po zesłaniu wracał w 1892 roku do kraju, jego zamiarem było wstąpienie do "Proletariatu" i zreformowanie go w kierunku narodowym. Okazało się po powrocie, że ta praca została wykonana bez niego: PPS przyjęła właśnie patriotyczny punkt widzenia. Odtąd przez wiele lat Piłsudski był jedną z czołowych postaci partii, działał w kierunku utrzymania uchwalonego na zjeździe paryskim niepodległościowego programu. Nie był ideologiem, nie tworzył systemów, ale osobistą postawą wywarł olbrzymi wpływ na ideologię ruchu socjalistycznego w Polsce. Kładł nacisk na niezależność PPS od rosyjskich organizacji, konieczność takiej postawy wynikała z różnego stopnia rozwoju obydwu społeczeństw. Ten pogląd był często atakowany z pozycji esdeckich. Podobnie jak Limanowskiego, spotykał Piłsudskiego zarzut nacjonalizmu. A przecież cała jego myśl - i wówczas i później - rozwijała się w opozycji zarówno do obcego, jak i do rodzimego nacjonalizmu, a przecież nieraz podkreślał, że tylko koncepcje wychodzące poza ciasny, nacjonalistyczny punkt widzenia pozwolą wyprowadzić nasród z niewoli.

Już w późniejszym okresie wysuwano tezę, że Piłsudski nigdy socjalistą nie był. Tylko wychodząc ze ściśle esdeckich pozycji można sensownie mówić, że wieloletni członek władz naczelnych partii, wydawca i publicysta "Robotnika" nigdy nie był socjalistą, wówczas bowiem socjalizm całej PPS opatrzony zostaje znakiem zapytania. Ta teza, którą głosili z jednej strony Brun i Raдек, z drugiej Oat-Mackiewicz, stanowi publicystyczny chwyt, który wygodny jest może dla prezentacji własnych poglądów jej autorów, ale z historycznego punktu widzenia jest pozbawiony sensu. Nikt nie przeoczy, że Piłsudski od socjalizmu odszedł, ale trudno negować, że w ruchu tym uczestniczył i odegrał istotną rolę. Ludzie niechętni jego postawie porównywali go nawet do Azefa, widzieli w nim zdrajcę ruchu robotniczego.

Widziano w nim także zdrajcę ruchu niepodległościowego. To Zygmunt Balicki oskarżał go o zależność od wywiadu austriackiego, otrzymywanie pieniędzy od kapitana Redla /który był zresztą na rosyjskim żołdzie/. Te zarzuty powtarzano i później; podobnie jak w poprzednim wypadku /gdy negowano przynależność do ruchu socjalistycznego/ chodziło o to, aby rosnącą legendę sprowadzić do możliwie płaskich wymiarów. Był to oczywiście wyraz bezradności wobec legen-

dy, nieświadomego przeświadczenia, że w tej postaci skupia się ważna tradycja polskiej myśli politycznej XIX wieku, z którą głosiciele tych tez nie chcieli się zgodzić. Dzisiaj już widzimy, że te wydziedziczające zabiegi są nierealne i domagają się swoistej psychoanalizy idei, która by ujawniła ich ukryte motywacje.

W rozmowie z Merszkowskim Piłsudski powiedział o sobie, że jest w równym stopniu romantykiem i realistą; jego siłą była świadomość roli, jaką pełni narodowa mitologia. Rzucał, że do politycznego zwycięstwa potrzebna jest nie tylko intelektualna analiza sytuacji, ale także odczucie tego, co określał jako imponderabilia. Tu różnił się od Wielkopolskiego, dlatego chyba u podstaw jego myślenia i działania leżał mit 1863 roku, nie pogodzenie się z klęską, dlatego w decydującym okresie swego działania był wielką postacią anachroniczną: już nieaktualny i jeszcze nieaktualny. A ponieważ takie właśnie było polityczne położenie Polski - już nieobecna i jeszcze nieobecna - przeto jego los złączył się trwale z losem kraju.

To była jego siła i jego słabość. Lekcja 1863 roku nie mogła wystarczyć do rządzenia niepodległą Polską. Jak bardzo była to niedostateczna, dostrzec można było obserwując polskie życie polityczne w latach dwudziestych i trzydziestych, czyli w okresie już tu nieopisywanym. Więc trafnie chyba ocenił sylwetkę Piłsudskiego na tle tamtych lat Kajetan Morawski, który jako minister w obalonym przez zamach majowy rządzie nie miał powodu do fałszywej fascynacji legendą. Widział anachroniczną wielkość Piłsudskiego, widział ciężar jego błędów: nierozumienie mechanizmów nowoczesnej demokracji europejskiej, widział jego późniejszą maołoduszność i ścisłość. I widział zwłaszcza nędzę jego następców, którzy usiłowali wyzyskać legendę dla mafijnych walk o spadek, o władzę. "Nie było systemu pomajowego. Był tylko najpierw Piłsudski, genialny szlachcic kresowy, o intuicji męża stanu i temperamentu rewolucjonisty, wielkopański i rubasznym, równocześnie bliki trywialności jak legendy. Piłsudski, dla którego Polska była jakimś wielkim Żukowem czy Piekiliszkami, że chodził po niej gderząc i dziwacząc, i kijem sękatym poganiał lub popędzał

skanów i parobków. Są renesansową bujnością i małostkową
mściwością, są osbą i legendą przesłonił i przytłoczył cały
okres dziejów Polski i wdarł się w życie każdego z nas".

WK

KRAJOBRAZ Z INKWIZITOREM

Człowiek płonący na stosie stał się symbolem zwycięstwa władzy okrutnej, władzy nie liczącej się z doczesnością, jednostką, bólem żywego ludzkiego ciała powoli ginącego w płomieniach.

Opisanie takiej władzy może być czynnością pasjonującą, co, jak się zdaje; dostrzegła polska powojenna literatura. Co najmniej trzy książki ukazały się i zyskały sporą popularność. Najpierw "Ciemności kryją ziemię" Andrzejewskiego, potem "Msza za miasto Arras" Szczypiorskiego, i - ostatnio - "Przybyś z Narbony" Strykowskiego.

Opowieść Andrzejewskiego o Torquemadzie, pisana od końca 1955 r. do wiosny 1957 niezwykle silnie tkwiła w problematyce obrachunków ze stalinizmem, dokonywanych wówczas przez byłych jego wyznawców. "Msza za miasto Arras" Szczypiorskiego, tworzona od jesieni 1968 r. do końca 1970 i wydana w 1971 r., dość często była odbierana przez pryzmat doświadczeń okresu "między Marcem a Grudniem", przez pryzmat wtedy nie tak dawno aktualnych "zbrodni", "zupiestw", "okrutnych prześladowań Żydów i czarownic, procesów o urojone herezje". Wreszcie ostatnia książka Strykowskiego, wydana w 1978 r., poświęcona "Powstańcom Getta Warszawskiego", również dotyczy problemu władzy okrutnej, i podobnie jak powieści Szczypiorskiego i Andrzejewskiego, ukazuje czytelnikowi krajobraz płonących stosów. Jakże zajmie miejsce w świadomości społecznej - tego jeszcze nie wiemy.

Andrzejewski koncentruje się na opisie akcesu do władzy okrutnej. Dominantą powieści Szczypiorskiego jest obraz przyczyn społecznej akceptacji takiej władzy i problem zbiorowej, trwałej za nią odpowiedzialności. Strykowski skupia uwagę przede wszystkim na zachowaniu śmiertelnie zagrożonej społeczności, popychanej do buntu przez niepokorną jednostkę.

Każdy autor napisał rzecz osobną i każda powieść oddzielnie była odbierana przez czytelników. Przy lekturze zwraca jednak

uwagę, że za każdym razem mamy do czynienia z niezwykle podobnym - w zasadniczym przynajmniej zarysie - obrazem okrutnej władzy. Spróbujemy go tutaj zrekonstruować; czytelnikowi pozostawimy zaś do rozstrzygnięcia kwestię przyczyn tego podobieństwa. - Czy wynika ono z jednakowego odbioru podobnych sytuacji przez autorów, czy z metaforycznego, być może, charakteru tekstów, z których każdy, oprócz swojej wersji prawdy o człowieku, miał ukazać odbiorcom problemy nie tylko dawnej Hiszpanii, Niderlandów, Getta Warszawskiego - ale także fragmenty naszej rzeczywistości.

Władca okrutny - nazwijmy go Inkwizytorem, skoro pod tą postacią występuje w dwóch spośród trzech omawianych powieści - jest człowiekiem dostrzegającym bezsens w codziennej ludzkiej egzystencji. Usprawiedliwieniem dla niej i zarazem remedium przeciwko dekuzyliwemu uczuciu pustki ma być ideologia. Nie taka jednak, którą przyjmuje się po racjonalnej analizie rzeczywistości, ale inna - wyznawana spontanicznie, oparta na uczuciu żarliwości, głębokiej wierze. Tylko ona bowiem ma dać człowiekowi nadzieję i zarazem umocnić mu trwanie.

"Wielu szukało odpowiedzi i nie znalazło, co to jest zło. A Święta Inkwizycja znalazła. Złem jest to, co szkodzi mojej wierze" - mówi Inkwizytor San Martin. Oto powód, dla którego on i jemu podobni wiarę pragną krzewić. Niekoniecznie po to tylko, aby im samym łatwiej było znosić trudy istnienia. Myślą także o innych: "Ludzie zostali wygnani z raju, czują, że ten świat nie jest ich światem, obco im i ciężko, źle i gnuśnie... Rodzili się i umierali nie wiedząc, po co przyszło im żyć na tym świecie. Bo nie jest przecież celem człowieka strzyc barany, pławić konopie i tkąć serżę. I nie jest jego celem spać z kobietami, doić krowy, kuć konie i polować na zwierzynę leśną... Gdzieś był raj, który utracili przed swoim przyjściem na świat, i gdzieś winni go szukać, aby znaleźć odrobinę sensu w tym szalonym świecie ... Jak świat światem ludzie niewypowiedziane cierpią. Przychodzą do nich prorocy i powiadają "Pójdźcie za mną, a ja was poprowadzę do raju" - i ludzie idą w porządku, bo niczego bardziej człowiek nie pragnie, jak iść...". To słowa ojca Alberta z miasta Arras. W podobnym kierunku,

czyniąc krok dalej, podąża Padre Torquemada. W rozmowie z szatanem, swcim alter-ego, przyznaje: "Idea musi być wielka i uniwersalna, to jasne ... Tylko wielkie i uniwersalne idee mogą udźwignąć ludzką małość". Im bardziej Inkwizytor czuje małość ludzką, im groźniejsza dla niego i dla społeczności mu się wydaje, tym bardziej chce krzewić ową jedynie prawdziwą, "uniwersalną i wielką" ideę, tym mocniej pragnie bronić się z jej pomocą przed poczuciem bezsensownej pustki, tym silniejszy atak ideologiczny wypuszcza na ludzi wckółk siebie. Tak postępują Albert i Torquemada, a najprawdopodobniej także San Martin, który - wiemy to od Andrzejewskiego, a nie Strykowskiego - był jednym z pierwszych inkwizytorów Kastylii, zapewne więc przypominał Torquemadę.

Wielkość i uniwersalizm idei głoszonej przez Inkwizytora zdaje się polegać dłań na obietnicy Utopii i manichejskim przesłaniu zarazem. Świat obecny przedstawiany jest jako arena walki dobra ze złem. Ludzie w nim dzielą się na złych i dobrych. Dobrzy zasługują na przeżycie i wiarę w to, że są dobrzy. Złych, opóźniających nadejście powszechnego szczęścia, czekają represje lub śmierć. O tym, do jakiej grupy jednostka będzie zaliczona decyduje jej aktualna bądź była wiara i stosunek do poglądów Inkwizytora, myślącego i działającego wedle zasady "kto nie z nami, ten = teraz lub w przyszłości - przeciwko nam". Płoną więc na stosach Żydzi i przechrzci, arystokraci wzgardliwie odnoszący się do Inkwizytora, i prosi ludzie, nie uprzytamniający sobie, że słowa wypowiedzane przez nich w chwili rozpaczcy, pociągają za sobą konsekwencje groźne dla panującej wiary, a więc i żadu. Giną niepokorni, ale giną również i zwykli mieszczanie wyciągnięci z własnych domów przez tłum podniecony kazaniem Inkwizytora. Giną niektórzy - zagrożeni są wszyscy. Inkwizytor, owładnięty poczuciem misji, czuje bowiem lęk nie tylko przed pustką wewnętrzną. Boi się także ludzi, mimo, że uważa ich za istoty nędzne i słabe, którymi z łatwością można manipulować i które do każdej podłości można zmusić. Lęk ten objawia się w stałym podkreślaniu niebezpieczeństwa, jakie zagrażać ma prawowiernym. Może on nadsięgnąć ku nim ze strony wrogów jawnych bądź ukrytych. Ci pierwsi manifestują swoją odrębność i nie przyjmują jedynie słusznych poglądów Inkwizytora. Ci drudzy przenikają

w szeregi obrońców wiary po to by przetrwać i, o ile to możliwe, spiskować. Wrogiem ukrytym można być nie wiedząc o tym samemu. Tylko Inkwizytor potrafi ocenić, czy jest się nim, czy nie. Kwestionowanie wyroku w tej sprawie oznacza przyznanie się do wrogości jawnej. Ta zaś, podobnie jak ukryta, zasługuje tylko na represje. Sypią się one szczerze, jako, że dobra sprawa, zdaniem Inkwizytora, wrogów ma zawsze wielu.

Albert z Arras, najoryginalniejszy z Inkwizytorów, choć w rzeczywistości nie sprawujący tego urzędu, posyła kolejnych skazanych na stos i inspiruje bestialstwa w swoim mieście powodowany bardziej przewrotną motywacją. Mówi o ludziach: "Chciałem tylko, by stali się bardziej ludzcy niż byli dotychczas ... Kiedy można zaznać skodyczy onót? Gdy się zaznało gorzkości grzechów ... Kiedy można uznać trwałość pewnych wartości? Gdy się spadło na dno, gdzie już nic nie jest trwałe i nic nie jest warte." Mimo tego wyrafinowanego rozumowania Albert jest jednak bardzo bliski Torquemadzie i San Martinowi. Podobnie jak oni wierzy w oczyszczającą moc represji i strachu. Inny tylko, bo nie polegający wyłącznie na "mechanicznej" eliminacji zła, widzi sposób tego oczyszczania. Podobnie jak Torquemada i San Martin godzi się na doczesne cierpienia ofiar, gdyż sądzi, jak tamci, że przyspieszają nadejście Królestwa Bożego, że sprawiają, iż ludzie szybciej staną się szczęśliwi, nie radością własną co prawda, ale zawsze przynajmniej tą, jaką wymarzył dla nich Inkwizytor.

Jest on jednak nie tylko ideologiem i katem. Ma także przyzwoite kwalifikacje socjotechniczne. Torquemada bywa w dyskusji zręcznym dialektykiem, Albert opanował sztukę schlebienia, San Martin potrafi stawiać oponenta przed wyborem, w którym każde rozwiązanie oznacza klęskę wybierającego i sukces Inkwizytora. Każdy z nich w dyskusji z przeciwnikiem, zwykle więźniem, posługuje się tą samą metodą. Pytają adwersarza o uzasadnienie jego poglądów, z góry przesądzając, że może być ono albo błędem, albo - gdy dowodzi choć odrobiny swobodnej myśli - herezją. Jedno i drugie oznacza spłócenie na stosie, chyba, że delikwent wyrazi skruchę, najlepiej publiczną. Wtedy palone są tylko zwłoki uduszonego.

1. Inkwizytorzy, jak San Martin, najpierw oddzielają ozłowie-
ka uznanego za przeciwnika od innych ludzi, potem piętnują go,
wreszcie ostatecznie go poniżają i niszczą. Torquemada posłu-
giwał się dekretami, "które dzięki kilkudziesięciu precyzyj-
nie sformułowanym paragrafom, pozwalały wytropić ludzi masku-
jących swoje prawdziwe przekonania". Dekrety te "wynikały ze
zdarzeń i w uporczywym dążeniu do uporządkowania ich i ocenia-
nia w imię wyższych racji boskich tak szybko i zdecydowanie
ulegały przeistoczeniu w formułę litery, że z nieomylną cel-
nością potrafiły wyprzedzać to, z czego były wyrosły." Innymi
słowy stanowiły one część mechanizmu kreowania wrogów Królest-
wa Bożego, których następnie można było zwalczać, znajdując
w tym rację własnego, inkwizytorskiego, istnienia. Ojciec Al-
bert pozbawiał ludzi języka politycznego i praw, pozornie na-
dając im jedno i drugie. Mawiał: "Daję imię wszystkim czynom
tego miasta. I są tym, jakie jest ich imię. To co się teraz dzie-
je w Arras nazwałem wolnością, i inni za moim przyk...dem nazwa-
li to wolnością - a więc jest wolnością i niczym innym jak tyl-
ko wolnością". To również Albert wpadł na pomysł wprowadzenia pleb-
su do władz miejskich. Gdy tylko jego przedstawiciele znaleźli
się w Radzie "odebrano im żywioł własny, a co gorsze - ~~odebrano~~
~~im żywioł własny, a co gorsze - odebrano im katwość negacji!~~
Już nie mogli wołać: "Nie, nie i jeszcze raz nie! Panie Albercie,
powiadamy Ci nie!". Bo kiedy chcieli tak wołać odpowiadano im:
- "Jest waszym prawem protestować i radzi jesteśmy, że tak dum-
nie z niego korzystacie. Lecz należy podjąć stosowne decyzje,
a zatem powiadajcie, co uważacie w tej materii!" I spadało na
nich brzemię, o jakim nigdy nie mieli pojęcia... Wili się jak
piskorzę, zrazu znów wołali: - "Nie, nie, tak się nie godzi...",
lecz ponieważ byli to ludzie poważni i sumienni, więc milkli,
pot spływał im na karki, zalewał oczy, patrzyli po sobie z roz-
paczą i lękiem, wreszcie zaś powiadali: - "Niech się dzieje jak
pan Albert rozkazał!" Jakżeby mogli postąpić inaczej? Brak im
było tej chełpliwej pewności, która przez całe życie towarzyszy
dobrze urodzonym. Czuli się skrępcwani subtelnością i elegancją
zaś wiązki ich odpowiedzialność". W ten sposób Albert "osiąg-
nął rzecz, o jakiej marzą wszyscy władcy. Cedując część władzy

na prosty lud - zdobył władzę niepodzielną. Dzielać ją z głupcami - zatrzymał w całości dla siebie!".

Niezależnie od tego, czy Inkwizytor zdawał sobie zawsze sprawę z własnego lęku przed wewnętrzną pustką, a więc z najgłębszego motywu swojego działania, czy uświadamiał go sobie dopiero przed śmiercią, postępowanie swoje usprawiedliwił nie tylko własną w nie wiarą, ale i poparciem tłumu. Ludzie, którzy dla wysłuchania jego kazań wychodzili na place, a później urządzali pogromy, rabowali i modlili się, byli dlań dowodem, że myśl, jaką głosi, jest prawdziwa, że metody, którymi ją upowszechnia są warte kontynuacji. Najlepiej wyraził to Inkwizytor San Martin w rozmowie z Elim, buntowniczym Żydem, któremu po kolejnym autodafé powiedział wprost: "Widziałeś tłum na Placu Płomieni? Czy się zastanawiałeś skąd bierze się tyle niewiastki do was? Sprawiedliwość mieszkająca w sercu każdego człowieka odezwałaby się przynajmniej u jednego, jak w Sodomie, gdyby po waszej stronie była prawda." Oczywiście świadectwo tłumu niczego nie znaczy dla Inkwizytora, gdy tłum ten jest wobec niego obojętny, lub gdy z rzadką jak u Andrzejewskiego, "obałamucone przez ukrytych prowokatorów pospólstwo podpala pałac stanowiący siedzibę Świętego Trybunału" albo "w podobny sposób podżeganą, kamieniami i cegłami obrzuca orszak inkwizytora".

Czytelnikom żyjącym w krajach komunistycznych taki obraz władzy musi kojarzyć się z rządami, pod jakimi żyją. Podobnie jak Inkwizytorzy dysponują one poczuciem misji, ideologią osiągnięcia stanów szczęścia i sprawiedliwości, strzegą pilnie własnego monopolu ideologicznego, wierzą w zbawczą moc przymusu i są dość sprawne w manipulowaniu rządzonymi. Podobieństwo to jest jak się zdaje dość powszechnie odczuwane nawet w okresach kolejnych "liberalizacji" i "pragmatyzacji" zmieniających się ekip. Groźba powrotu do skrajnych form terroru, także intelektualnego, ciągle bowiem istnieje w świadomości wielu czytelników powieści o Inkwizytorach, mimo, że nie zawsze jest dla tych ludzi sprawą jasną, jakie jest prawdopodobieństwo takiego powrotu i w jakich warunkach mógłby się on dokonać.

Skoro literacka diagnoza działań władzy jest zbliżna ze społeczną możemy przypuszczać, że podobnie rzecz będzie się przedstawiać w diagnozie sprzeciwu wobec władzy, co więcej, że obraz

tego sprzeciwu zawarty w powieściach może funkcjonować jako propozycja lub przestroga dla tych, którzy obawiają się współczesnego Torquemady.

Pamiętając zatem, że ucieczka przed pustką i poszukiwanie sensu to cechy każdego myślenia ideologicznego, i jako takie nie mogą być podstawą zarzutów wobec Inkwizytora, przyjrzyjmy się tym postaciom, które w powieściowym krajobrazie płonących stosów kwestionowały nie osobiste motywacje ludzi władzy okrutnej, ale samą ich ideologię i sposób działania. Zastanówmy się, jakie wzory niepodporządkowywania się tej władzy ukazują książki o Inkwizytorach.

W "Przybychu z Narbony" Strykowski przedstawia buntownika - Elega. Jego hierarchia wartości jest inna niż oficjalna. "Kiedy wy nas skazujecie uwalnia nad Bóg", oświadcza Inkwizytorowi. Fanatyzmowi i okrucieństwu władzy przeciwstawia ideę tolerancji. Powiada: "Może nieskuszenie jest sądzić, że wszystko inne poza naszą wiarą jest złem, a wszystko inne w łonie naszej wiary jest herezją, że herezja jest zbrodnią." Takie poglądy oczywiście nie przekonują Inkwizytora. Jego ofiarom, Żydom, pozostaje, jak sądzi Eli, tylko bunt. "Bóg nie zesła swoich zastępców, aby was broniły" - twierdzi. Uzasadnieniem powstania przeciw nieporównanie silniejszemu przeciwnikowi jest dla Elega nadzieja, oparta na wierze w cud, i przekonanie, że w sytuacji, w której bierność oznacza sukces Inkwizytora i klęskę podstawowych dla wspólnoty wartości, należy podnieść rebelię nie tyle w imię zwycięstwa /ono przecież od oudu zależy/, co w imię wartości, jaką jest godność ludzka, godność narodu. "Naród przetrwał i przetrzymał tysiące lat dlatego, że kiedy już nie mógł walczyć o życie, gdyż było to z góry przegrane, umierał za wiarę". "Niech wróg drogo zapłaci. Nie oddawajmy życia darmo. Może ktoś ujdzie. Choć jeden, jak w Sodomie. Jeśli nikt nie ujdzie, pozostanie pamięć bohaterów". "Męstwo będzie rosło w miarę zagrożenia". To, że wszystkie podcenne próby powstań kończyły się klęską, bynajmniej nie przesądza o kolejnej przegranej. Takimi argumentami Eli przekonywał Żydów o konieczności buntu. Przekonywał także siebie samego. Myślał: "W zetknięciu z cierpieniem zło i dobro mieszają się, wirują. Najgorsza jest pierwsza szczelina myśli. To jak plamka

na owocu, który wewnątrz już gąije. Powstrzymuję myśl, osadzam ją na miejscu, bo zaprowadzi mnie na bezdroża."

Romantyczny bunt Elego przeciwko Inkwizytorowi możemy również nazwać tragicznym. Nie tylko dlatego, że oznacza zgodę na całkowitą zagładę niepokornych. Także z tego powodu, że i buntownik i my sami do samego końca właściwie nie wiemy czy rebelia miała aby wynikać ze szczerego przekonania o jej sensowności, czy tylko z zauroczenia wzorem sprzeciwu wobec okrutnego świata.

Buntownik z "Ciemności kryją ziemię", brat zakonny Diego, jest, jak Torquemada, dominikaninem. Jego religia jest religią Wielkiego Inkwizytora. Różnice między buntownikiem i władcą wynikają z odmiennego interpretowania tej samej wiary. Wariant Torquemady jest nie do przyjęcia dla Diego, ponieważ zakłada pogardę wobec ludzi i akceptację władzy posługującej się "niegodnymi środkami" w imię realizacji Królestwa Bożego. Działanie oparte na tych przekonaniach sprawia, że "świadomi kłamcy, zdradziecy oskarżyciele, łaszcywi sędziowie ... w ślepych zapamiętaniu niszczą spokój ludzi i sieją wśród nich strach, obłudę, nienawiść" - to kolejny zarzut Diego wobec Inkwizytora. "Jaką prawdę można znaleźć tam, gdzie jej wyznawanie jest rezultatem kłamstwa, gwałtu i przymusu" woła. Pyta też "jeśli bronimy prawdy środkami niegodnymi, to czy nie musi się stać tak, że zło poczyna się legnąć w samym sercu prawdy?"

Młody zskonnik, przekonany, że miłozenie w obliczu zła jest grzechem, nie unika intelektualnej konfrontacji z Inkwizytorem. Ta jednak, mimo, że ma formę rozmowy, nie staje się dialogiem, lecz potyczką. Ścierają się w niej nie argumenty z tych samych płaszczyzn, lecz deklaracje skrajnie odmiennych postaw. "Miłozść jest siłą" - mówi Diego. "Miłozść jest słabością" - odpowiada Torquemada. "Nie powinno tak być, że ludzie musieli się bać" - to Diego. Torquemada zaś: "Konieczność naszej władzy od tego przede wszystkim zależy, aby strach, wyjąwszy garstkę pokuszących z dobrej woli, stał się powszechnym."

O ile jednak w konfrontacji głoszonych wartości Torquemada jeszcze znajduje w Diego przeciwnika, o tyle gdy przychodzi do dyskusji o "wcielaniu słów w czyn" inkwizytor zostaje na pla-

cu sam. Wykłada swoją interpretację mechanizmów życia społecznego i "konieczności towarzyszących rządzeniu", Diego zaś nie znajduje dla niej alternatywy w postaci opisu mechanizmów i konieczności odmiennych. Powtarza tylko słowa, z których wynika, że życie nie powinno być takim, jakim widzi je Inkwizytor. Jakim zaś powinno i zarazem może być - tego, najprawdopodobniej, Diego po prostu nie wie.

Nie tylko bunt może być próbą uwolnienia się od ofensywnych rządów Inkwizytora. Może nią być również odizolowanie się od społeczeństwa, żyjącego w ciągłym strachu, i szukanie pomocy poza nim. Tak właśnie próbuje postępować jedna z postaci występujących w "Mszy za miasto Arras", możny Fariás de Saxe. Zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co dzieje się w jego mieście. Mówi jednemu z przyjaciół: "Całe Arras jest takie. Oddaje się nieprawości, ale pozostaje bezgrzeszne, bo w tym właśnie widzi swoje unicestwienie. Nic nie znaczymy - powiadacie sobie na ulicach - gdyż jesteśmy tylko nędznymi robakami, które są igraszką woli bożej. I w ten sposób wszystkie wasze grzechy składacie bogu na ramiona. Jakież to łatwe. Niedługo już nic z was nie zostanie, ponieważ wszystko sędujecie na niebiosa". Gdy jednak wesościej nadarzała się możliwość niedopuszczenia do rządów okrutnych, gdy zależało to od zachowania się Saxe'a nie uczynił on niczego by możliwość tę wykorzystać. Chciał bowiem "tylko zachować swoją wyniosłą odrębność" od plebsu uległego Inkwizytorowi. Inkwizytor zwyciężył zatem, gdyż "dla niego rezultat był istotnie ważny... natomiast de Saxe traktował wszystko jak rozrywkę. Był zbyt bogaty i znudzony, aby przywiązywać wagę do czegokolwiek". Swoją niezgodę objawiał ironią i rzadkimi polemicznymi uwagami. Ekstremalnym przejawem jego sprzeciwu była, nieudana zresztą, próba wezwania do Arras biskupa Utrechtu - zwierzchnika Alberta i zarazem zwolennika poglądu, że ludzkim powołaniem jest raczej dojenie krów, spanie z kobietami i polowanie, niż budowanie rajów na ziemi.

Powieści o Inkwizytorach ukazują zatem trzy warianty przeciwstawiania się władzy okrutnej. Pierwszy polega na buncie romantyczno-tragicznym /Eli/, drugi - na sprzeciwie emocjonalnym, przybierającym naiwną formę intelektualną /Diego/, trzeci - na indywidualnym izolacjonizmie i liczeniu na pomoc z zewnątrz /de Saxe/.

Sukcesu bądź klęski buntownika możemy poszukiwać w różnych wymiarach. W wymiarze ideowym pytamy, czy rebeliant zachował swoje przekonania. W wymiarze praktycznym interesuje nas, czy działał skutecznie na rzecz głoszonych haseł. W wymiarze osobistym zastanawiamy się nad osobistymi kosztami buntu /ewentualnie nad płynącymi zeń profitami/. Na losy oponentów Inkwizytora spojrzmy z tych właśnie trzech perspektyw.

Naiwny, uczuciowy sprzeciw Diego kończy się ideową klęską. Buntownik przyznaje rację Inkwizytorowi. Przesądzają o tym nie tylko wspólnota wiary i strach. Istotniejszą jest sama forma sprzeciwu. Oparty był on bowiem na uczuciu miłości do ludzi, co ważniejsze, ^{wobec} tylko na nim. Gdy zatem Diego poznał czym jest pogarda/ozłowieka, gdy sam zaczął gardzić, utracił jedyny fundament swojego oporu. Co więcej, wkraczając do walki z Inkwizytorem, do walki o sposób rządzenia, nie zdawał sobie sprawy z mechanizmów władania ludźmi - zarówno tych typowych dla władzy "okrutnej" jak i "łagodnej", której pragnął. Nie podejrzewał nawet, że rządzenie zawsze musi oznaczać także "brudzenie sobie rąk", a problem polega jedynie na dopuszczalnej grubości warstwy brudu na dłońach. Gdy zatem Inkwizytor ukazał mu tę prostą prawdę, poszedł za nim, jak za pierwszym nauczycielem zwykle podąza uczeń, nie zdający sobie jeszcze sprawy z tego, że nauczyciele bywają różni. Skoro zaś konfrontacja /nie licząc próby zabicia Torquemady świecznikiem/, przebiegała tylko na płaszczyźnie intelektualnej, klęska w tej sferze oznaczała także klęskę całkowitą. Bunt nie miał żadnego wpływu na praktykę. Zmiana frontu, jakiej dokonał Diego, pozwoliła mu zostać kolejnym Wielkim Inkwizytorem. Funkcję tę, jak się zdaje, pełnił z czystym sumieniem. O ile jednak dawniejsza przegrana praktyczna i ideowa była z góry przesądzona przez sam kształt buntu, o tyle władzę rebeliant nasz zawdzięcza wyłącznie własnemu charakterowi i okolicznościom, które łącznie sprawiły, że akceptacja władzy okrutnej przerodziła się w jej sprawowanie. Wiemy, że nie jest to nieuniknioną kolejną rzeczą.

Romantyczno-tragiczny bunt Elego kończy się osobistą przegraną bohatera. Ginie, i to zabity nie przez właściwego przeciwnika czyli Inkwizytora, lecz przez własnego towarzysza-zdrajcę,

który zwątpił w koncepcję ocalenia dumy beznadziejnym powstaniem. Swego "credo" Eli jednak nie zmienia, a co ważniejsze, Żydzi, których buntował zaczynają trochę intensywniej podzielać jego poglądy. W tym sensie, ideowy sukces jest dość wyraźny. Co natomiast w praktycznym - tego możemy się tylko domyślać, bowiem powieść Strzykowski milczy o dalszych losach wspólnoty żydowskiej. Jeśli jednak przypomnimy sobie historię Żydów hiszpańskich i dzieje Getta Warszawskiego to domyślić podsuną nam obraz triumfu Inkwizytorów.

De Saxe również przegrywa. Praktycznie - bo nie udaje mu się wezwać pomocy z Utrechtu i Inkwizytor rządzi dalej. Osobiście - bo pada ofiarą terreru, ginie spalony na stosie. W odróżnieniu od Diega nie zmienia jednak przekonania. Inaczej niż Eli umiera - bo nie na skutek romantycznego buntu i zdrady, lecz w wyniku trzeźwej kalkulacji, jaką przeprowadził, gdy niesłusznie oskarżony mógł jeszcze uniknąć śmierci: "Skoro im dzisiaj powiem, że zgrzeszyłem, zważając się z rozbójnikami i bluźniąc Panu Bogu, stanę się sprzymierzeńcem tego całego szaleństwa. Lepiej zginąć, niż do tego przyłożyć rękę. Wcale nie pragnę męczeństwa, ale to wiem, że nic gorszego pod słońcem nie może się człowiekowi przydarzyć, jak wyznanie win niepopelnionych. Bo to innym krzyżuje ścieżki cnoty... Jeśli pozostanę przy życiu... ludzie dojdą do przekonania, że mieli rację i wyobrażenie grzechu wygłusze się jak naciągnięta cięciwa łuku. A przecież umysł ludzki nie jest cięciwą łuku i nie godzi się go tak naciągać. Gdy pęknie, Arras popadnie w szaleństwo. To jest dobre miasto i zasłużo na lepszy los. Nie chcę być katem tego miasta. Już niechaj raczej ono będzie moim katem".

Okazuje się więc, że w praktyce bunt przeciw Inkwizytorowi zawsze jest bezowocny. Co prawda "romantyk" i "izolacjonista" nie odchodzą od swych nieprawomyślnych przekonań - ale płacą za to własnym życiem. Ocala je buntownik "naiwny", jednak za cenę ideowego utożsamienia się z przeciwnikiem. Jałowość wysiłków "naiwnego", "romantyka", "izolacjonisty" jest zarazem jałowością sprzeciwu reformatorskiego w łonie władzy okrutnej, przegraną rozpaczliwego buntu mniejszości spoza aparatu tej władzy, klęską jednostki, której "pogramem" być tylko nie czynienie zła

własnymi rękami.

Obraz buntu zawarty w opisach "krajobrazów ze stosami" jest zatem głęboko pesymistyczny. I to nie tylko dlatego, że zgoda na bunt ukazana jest jako zgoda na własną zagładę fizyczną lub ideową. Pesymizm wynika także z faktu, że żaden z wariantów sprzeciwu wobec władzy okrutnej nie ma postaci, która każdemu działaniu, nastawionemu na zmianę sposobu rządzenia, stwarzała dotąd w dziejach największe szanse na sukces, co oczywiście nie znaczy, że sama w sobie sukces ten gwarantowała. Żadnego z omówionych tu sposobów sprzeciwu nie można bowiem uznać za sprzeciw o charakterze politycznym, a więc za sprzeciw w imię konkretnego programu zmian realizowanych świadomie, wybraną taktyką, opierającą się na założeniu, że w polityce siła, w takiej czy innej formie, znaczy niestety więcej niż racjonalny argument lub apel do sumienia. "Tragicznemu romantykowi" wiara w cud i determinacja mają zastąpić politykę. "Naiwny" sądzi, że jednostka apelująca samotnie do sumienia władzy może zmienić jej system. Z kolei "izolacjonista" w ogóle nie chce mieszać się w jakikolwiek czynny sprzeciw. Na tym jednak pesymizm bynajmniej się nie kończy. Władza okrutna jawi się bowiem w omawianych powieściach jako twór, który nie może zmienić się na skutek presji społeczeństwa, po prostu dlatego, że presji takiej nie ma. Tłumy są obcjętne, zastraszone, fanatyczne - ale nie kontestujące /przypadek kontestacji jest raz jeden wzmiankowany w opowieści o Torquemadzie/. Buntują się i to nieudolnie, tylko jednostki. U Andrzejewskiego system trwa, mimo, że zmieniają się jego aktywni "podpieraoze". U Strykowskiego system po prostu jest. Tylko u Szczypiorskiego władza okrutna upada, ale bynajmniej nie w wyniku jakiegoś oporu. Po prostu Inkwizytor umiera nie pozostawiając następcy i jednocześnie następuje interwencja z zewnątrz.

Czy nieukazywanie politycznego oporu przeciw władzy okrutnej wynika z selektywnych zainteresowań autorów, czy z ich przekonania o niemożliwości takiego oporu pod rządami Inkwizytora - tego nie wiemy. Faktem jest natomiast, że w krajobrazie płoną-
jących stosów polityka jest monopolem władzy.

POLSKA, NIEMCY I INNI

I

Warszawskie salony dyplomatyczne, tak chętnie odwiedzane przez tubylców i tak pilnie strzeżone przez przeróżne policje, są, jak myślę, dla gospodarzy prawdziwym piekłem. Uważają oni bowiem, że Polacy, z natury wylewni i serdeczni, są najbardziej zawodnym źródłem wiadomości. Zawodni, gdy mówią o swych eprawach wewnętrznych, stają się zupełnie maniakalni, kiedy rozmowa schodzi na tematy polityki międzynarodowej. Z uporem powracają do spraw, które od niepamiętnych czasów są zaliczane do repertuaru "polskich obsesji"; przy czym, zarówno ci, którzy występują w imieniu czynników urzędowych, względnie reprezentują słońście szeroki wachlarz oficjalnych punktów widzenia, jak i ci, którzy uchodzą lub też uważają się za nastrojonych opozycyjnie, rozumu ją tak, jakby nie przyjmowali do wiadomości oczywistego faktu, że miejsce ich kraju na politycznej mapie Europy zostało już dawno i definitywnie przesądzone. Zdają się, według zachodnich dyplomatów, nie dostrzegać tego, że ograniczona suwerenność ich państwa jest stanem rzeczy uwarunkowanym przez podstawowy dla powojennego ładu europejskiego zespół porozumień zwany umownie układem jałtańskim, że obecność akredytowanych przy rządzie warszawskim przedstawicieli dyplomatycznych jest widomą oznaką dbałości rządów przez nich reprezentowanych o utrzymanie istniejącego stanu rzeczy. Co gorsze, Polacy wbrew historycznemu doświadczeniu, identyfikują swe rzekome interesy i urojone cele z interesami i celami innych państw, jako że skłonni są w swym manichejskim widzeniu świata uważać politykę za walkę między mocami ciemności uosobionymi w Rosji i siłami światła ucieleśnionymi w Zachodzie, przy czym sobie przypisują rolę opatrznociowego przedmurza kultury i cywilizacji śródziemnomorskiej, zmagającej się z naporem

azjatycko-germańskiego despotyzmu.

Naczelne miejsce w tym repertuarze obsesji zajmują oczywiście Niemcy i Rosja. Polacy, wciąż według przebywających w Warszawie dyplomatów, lekceważą sobie tak elementarne i oczywiste fakty, jak ten, że istnienie Związku Radzieckiego jest filarem światowej równowagi sił, lub że podział Niemiec jest kamieniem węgielnym ładu jałtańskiego w Europie. Snują naiwne rojenia o rozpadzie imperium sowieckiego, nie pamiętając o tym, że nawet z kataklizmu pierwszej wojny światowej i bolszewickiej rewolucji Rosja wyszła jako potężniejsze i silniej niż kiedykolwiek w swej historii zintegrowane mocarstwo światowe, oraz że zjednoczenie Niemiec, którym tak chętnie straszą lub kuszą swych rozmówców, oznaczałoby nie tylko wkrzeszenie stanu zapalnego w najczulszym punkcie globu, lecz co istotniejsze, mogłoby nastąpić jedynie w wyniku wstrząsu, którego konsekwencji nikt przewidzieć nie może. Kiedy kanclerz Schmidt w 1978 roku odmagał się w Warszawie, by Polacy, którzy tak dzielnie i skutecznie walczyli o jedność swego państwa, okazali zrozumienie dla dążeń Niemców do zjednoczenia nikt mu nie przypomniał, że wkrzeszenie zjednoczonego państwa polskiego było następstwem wojny światowej, której powtórzenie mogłoby jedynie oznaczać globalną zagładę.

Można i wręcz należy nie zgadzać się z przedstawionymi tu w tak wielkim uproszczeniu pretensjami do Polaków; trzeba jednak przyznać, że chronicznym błędem polskiej argumentacji i całego naszego myślenia politycznego jest identyfikowanie naszych interesów z interesami tych, których uważamy za rzeczywistości lub potencjalnych sojuszników, innymi słowy przeświadczenie o politycznej sensowności hasła "za waszą i naszą wolność" - w tej właśnie kolejności. A przecież troska i dbałość o własne interesy jest w polityce bardziej skutecznym argumentem od najbardziej szlachetnych intencji. Nie oznacza ona bynajmniej rezygnacji z moralnych celów i etycznych zasad postępowania; wręcz przeciwnie, na tych właśnie szczytnych pryncypiach winien zasadzać się "egoizm narodowy", jedyna bodaj postawa mogąca przekonać świat o naszym prawie do istnienia, nas zaś uchronić przed manowcami myślenia utopijnego.

Rozumny "egoizm narodowy" umożliwia jasne sprecyzowanie celów, wyraźne wytyczenie strategii i taktyki działania politycznego, wybór sojuszników i rozpoznanie wrogów. Zapobiega on złudnemu identyfikowaniu interesów własnych z obcymi, lecz równocześnie pozwala dostrzec ich realne zbliżności. Ten właśnie rozumny "egoizm narodowy" kazał przed wiekami dokonać opcji na rzecz kultury śródziemnomorskiej i w ten sposób zapewnił nam zachowanie własnej tożsamości w nieustannym starciu z dwiema ościennymi kulturami. Czasy nowożytne sprzyjały zaciemnieniu tego faktu podstawowego dla naszego samodzielnego bytu. Redukcja idei politycznych do rzekomo sprawdzalnych formułek, interpretowanie konfliktów kultur przy pomocy naukowopodobnych deterministycznych historiozofii, sprowadzanie interesów narodowych do kupieckiej buchalterii doraźnych zysków i strat - wszystko to służyło wypaczeniu polskiej myśli politycznej. A przecież w tych właśnie czasach dojrzewały i osiągnęły szczytowy rozwój groźne zapędy hegemunistyczne faszyzmu i komunizmu, przybrane w kostiumy uniwersalistycznych filozofii, wyrastające z głębokich pokładów zbiorowych podświadomości.

W społeczeństwie polskim świadomość niebezpieczeństwa była zawsze żywa. Na jej straży, kiedy zawodziły elity polityczne i intelektualne, stał niezmiennie Kościół. Przejawiała się ona w wystrzeganiu się bezmyślnego naśladowania sąsiedzkich wzorów, fascynacji ościennymi radykalizmami i nihilizmami, w szukaniu inspiracji w źródłach, z których wywodziła się europejska, w naszym rozumieniu, tradycja. I jeśli nawet zdarzało się, że niekiedy owa przezorność przybierała formy nazbyt skrajne, to przecież było to uzasadnione doświadczeniem uczącym, że w chwilach oskażenia organizmu narodowego naturalne procesy osmozy przeradzają się w złowrogi proces zatrucia najwrażliwszych, najmniej odpornych tkanek.

Tylko rozumny "egoizm narodowy" umożliwia spokojną i rzeczową analizę doświadczeń i wyciąganie z nich właściwych wniosków. Chroni on przed przerostem emocjonalnych odruchów i przed racjonalistycznym otumanieniem. Rozpatrywane przez pryzmat rozumnego "egoizmu narodowego" nauki drugiej wojny światowej mogą stać się przesłankami rozsądnego myślenia o przyszłości, wolnego od

chciejstwa i sentymentalizmu, nie podatnego na jakiegokolwiek nieuczciwe manipulacje.

II

Najważniejszą lekcją, jaką wynieśliśmy z drugiej wojny światowej, było upewnienie się w zasadności tego, co świat przywykł nazywać polską obsesją na punkcie Niemiec i Rosji. Za to, że nie umieliśmy innych przekonać o słuszności naszych obaw, sobie przede wszystkim musimy przypisać winę, więc anachroniczności naszego myślenia politycznego i argumentów, którymi staraliśmy się dotrzeć do naszych prawdziwych, rzekomych lub potencjalnych przyjaciół.

Pierwszy okres drugiej wojny światowej stał pod znakiem podwójnej okupacji Polski, ściślej mówiąc przedwojennych terytoriów państwa polskiego. Formy tej okupacji i metody stosowane przez obu okupantów świadczyły o tym, że wyciągnęli oni praktyczne wnioski z niepowodzeń półtorawiekowych wysiłków mających na celu zlikwidowanie "problemu polskiego". Polacy zachowali wówczas swą narodową identyczność i wolę odbudowy swego państwa, mimo brutalnych, jak się podówczas zdawało, starań zaborców o wymazanie Polski z mapy Europy w imię swych nie identycznych lecz zbieżnych interesów. Tym razem postanowiono więc cel ten osiągnąć metodami, jeśli nawet nie uzgodnionymi, to jednak identycznymi.

Dla nas lata 1939-1941 oznaczały otwarcie oczu na nową rzeczywistość geopolityczną. W dwudziestym wieku utrata państwowości grozi przekreśleniem bytu narodowego. Wręcz instynktownie podjęta decyzja utworzenia - niezależnie od istniejących na emigracji reprezentacji politycznej i wojska - podziemnego państwa z wszystkimi jego atrybutami, oraz zapewnienia temu państwu sprawnego funkcjonowania kosztem największych ofiar oznaczało głębokie zrozumienie tej prawdy.

Państwo polskie, które dzięki temu przetrwało w niezminionej postaci lata wojny i okupacji, wykonało się z niej na mocy jednomyślnej decyzji zwycięskich mocarstw sojusznioznych w całkowicie odmiennym kształcie. Wojełona do tak zwanej strefy wpływów Związku Radzieckiego zostało pozbawione głównych znamion suwerenności. Znacznie jednak bardziej brzemienne w następstwa było przesunięcie terytorium państwa polskiego na zachód i związana

z tym zmiana jego struktury narodowościowej. Utrata ziem ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego była równoznaczna z wysłaniem z polskiego myślenia politycznego wariantu ekspansji na wschód, a także wszelkich pochodnych tego wariantu, nacechowanych z reguły, jeśli nie bez wyjątku, paternalizmem i obciążonych anachronicznymi ambicjami.

Częściowa rekompensata ubytków terytorialnych nastąpiła kosztem Niemiec. Alianci, podejmując tę decyzję, nie powodowali się względami na nasze historyczne prawa do tych ziem, lecz prawem zwycięzców do wykreślenia nowych granic.

Naturalnym gwarantem nowych zachodnich granic Polski został Związek Radziecki. Przywilej ten, bynajmniej nie tak jednoznaczny dla Rosji, jak to niektórzy skłonni byli uważać, stał się mieczem Damoklesa zawieszonym nad niepewnym i niesfornym satelitą polskim, równocześnie jednak zmuszał do chwilowego zaniechania gry kartą niemiecką w polityce światowej. Tylko pozornie można było szantażować Polaków ewentualnością zwrotu Niemcom zabranych terytoriów, a co za tym idzie, odbudową zjednoczonego państwa niemieckiego. Wtedy więc narodził się dylemat, który odtąd miał trapić politykę radziecką i skazać ją na lawirowanie między taktyką mnożenia strybutów państwowości swej strefy okupacyjnej w celu potwierdzenia woli utrzymania jałtańskiego status quo a dalekosiężnymi planami realizowania marzeń w ścisłym współdziałaniu z Niemcami, co z kolei wymagało dostarczania Niemcom dowodów, że mają w Związku Radzieckim wiernego sojusznika.

Przypominano o tym niemieckim ośrodku politycznym stale. Już z okazji urzędowego "dnia zwycięstwa" /8.5.1945/ Stalin ogłosił swe jednostronne oświadczenie, że Związek Radziecki nie ma zamiaru zniszczyć ani rozczłonkować Niemiec. W latach 1946 i 1952 ogłoszone zostały radzieckie propozycje zjednoczenia Niemiec. W roku 1955 nastąpiła propozycja przeprowadzenia wyborów w obu państwach niemieckich. W tymże roku szef delegacji radzieckiej na rokowania w sprawie traktatu z Austrią sugerował podobne do austriackiego rozwiązanie problemu niemieckiego. W marcu 1963 roku Chruszczow ujawnił, że "w pierwszych dniach po śmierci Stalina, Malenkov wystąpił z prowokacyjną propozycją likwidacji NRD", sam jednak w rok później wysłał

w tajnej misji do Adenauera swego zięcia Adżubeja. W Niemczech pamiętano, że jednym z zarzutów jakie początkowo stawiano obalonemu Berii był rzekomy plan "oddania NRD", w Warszawie zaś wiadziano, że zarzuty te nie były bezpodstawne. Miecz Damoklesa budzi strach, ale nie rodzi uczuć przyjaznych. Do bogatego zestawu animozji polskich dochodziła jeszcze jedna postać nieufności do Związku Radzieckiego, tym razem jako gwaranta granicy zachodniej.

III

Czy nieufność ta jest nadal uzasadniona? Czy rzeczywiście realna jest perspektywa zjednoczenia Niemiec w jakiejś przewidywalnej i zasługującej już w chwili obecnej na uwagę przyszłości?

Trwałość podziału Niemiec uzasadniana bywa zazwyczaj dwojakiemu rodzajowi argumentami, które najogólniej można zakwalifikować jako polityczne i historyczne. Pierwsze, o czym już wspominaliśmy, opierają się na przekonaniu, że zjednoczenie Niemiec nie jest możliwe, ponieważ pociągnęłoby za sobą konieczność narysowania na nowo mapy Europy i naruszyłoby w sposób zasadniczy układ sił, którego fundamentalnym celem jest zachowanie sytuacji światowej, którą najskrupulatniej bodaj można określić jako *pax americano-sovietica*. Drugie, historyczne, powołują się na to, że zjednoczone państwo niemieckie jest stosunkowo świeżym fenomenem w historii Niemiec.

Nie trudno zauważyć, że argumenty polityczne, które mają służyć obaleniu tezy o możliwości zjednoczenia Niemiec, w rzeczy samej tezę tę wspierają. Układy, które doprowadziły do obecnego stanu rzeczy, zawarte zostały w okolicznościach od dawna już nie istniejących i w warunkach, które uległy kompletnej erozji. Układy te opierały się na dziś już nie aktualnych sił i możliwości; nie uwzględniały i nie mogły uwzględniać przyspieszenia procesów, jednocześnie integracyjnych i dezintegracyjnych, będących następstwem ścierania się globalizmu współczesnej ekonomiki i technologii z odśrodkowymi dążeniami narodów i kultur do zachowania swej identyczności. Nie doceniały też sił, które doprowadziły do zjednoczenia Niemiec w XIX wieku i pełnej ich integracji w wieku dwudziestym.

Uważamy że podział Niemiec, sztuczny zresztą i dowolny nawet z punktu widzenia ich dawniejszego rozbitcia, w paradoksalny sposób przyczynia się do nasilenia tendencji zjednoczeniowych. Paranoicznie strzeżona granica między dwoma państwami niemieckimi, uniemożliwiająca naturalny przepływ ludności nie osłabiła więzi rodzinnych, obyczajowych i kulturalnych lecz je wzmocniła. Starają się zresztą o to oba rządy. Obserwatorzy polityczni, którzy zdają się doceniać znaczenie telewizyjnego parasola zachodniemieckiego rozpiętego nad Niemcami wschodnimi, stwierdzają równocześnie, że jego oddziaływanie jest czysto naskórkowe, nie docierające do głębszych warstw świadomości zbiorowej, pozostającej rzekomo pod wpływem komunistycznej propagandy. Skwapliwie odnotowują zjawiska oporu lub protestu lecz równocześnie podkreślają ich skąpość i spora dykcyjność. Z oburzeniem mówią o barbarzyńskich formach izolacji obywateli wschodniemieckich, ale utrzymują, że dziś już zniesienie tych barier nie spowodowałoby masowego odpływu ludności na zachód. Nie dostrzegają, względnie nie przywiązują większej wagi do mniej spektakularnych choć bardzo znaczących faktów sprzyjających pogłębianiu poczucia niemieckiej wspólnoty. Należy do nich chociażby nauka historii i literatury, które nawet wtedy, gdy jak to się dzieje w NRD bywa faszerowana formułkami uzasadniającymi "wystnienie dwóch narodów niemieckich", w oczywisty sposób teziej zaprzecza. Nie wymaga jakiegokolwiek złośliwej wnikliwości dopatrzenie się w dwustronnej szerokiej infiltracji wywiadów, we wzajemnym przenikaniu się życia akademickiego i kulturalnego, głębokiego poczucia jedności, dzięki któremu zjawiska takie mogą istnieć. W Polsce skrupulatniej bodaj te fakty są odnotowywane i wyciągane z nich są właściwsze wnioski. I dlatego właśnie uważam zjednoczenie Niemiec za rzecz nie tylko możliwą lecz i nieuchronną. Oczywiście nie wszyscy wyobrażamy je sobie tak samo i nie wszyscy przewidujemy takie same tego następstwa.

Pożądania godne i szkodliwe dla kształtowania się polskiego myślenia politycznego jest to, że wszelkie rzeczowe dyskusje nad problemem niemieckim nie mogą być prowadzone inaczej niż pokątnie. Sprzyja to jedynie dezinformacji opinii publicznej i utrudnia formułowanie hipotez i sądów nawet w środowiskach, których obowiązkiem jest rozpatrywanie tego problemu. Pojawie-

nie się w tej sytuacji opracowania wydanego pod egidą Polskiego Porozumienia Niepodległościowego trzeba uznać za wydarzenie doniosłe, stanowiące zapoczątkowanie dyskusji nie krępowanej polityjnym nadzorem i cenzuralnymi ograniczeniami.

Zjednoczenie Niemiec nie dojdzie do skutku bez zgody Związku Radzieckiego, innymi słowy bez wycofania wojsk radzieckich z Niemiec wschodnich. Wycofując swe wojska z Niemiec wschodnich, Związek Radziecki stanie przed alternatywą rozmieszczenia ich albo na swych terenach właściwych, albo na terenie PRL. W jednym i drugim przypadku trzeba będzie uwzględnić wszelkie potencjalne konsekwencje faktu niezaprzeczalnego, że PRL jest sojusznikiem czy też satelitą niepewnym i krópotliwym.

IV.

Napięcia polityczne i społeczne w kraju wynikają przede wszystkim z trwałego nie akceptowania przez społeczeństwo modelu ustrojowego, który wciąż jeszcze nie uzyskał znamion legitymizmu, lecz są również konsekwencją dysfunkcyjności tego modelu, nie poddającego się jakimkolwiek próbom zreformowania w sposób odpowiadający psychologicznym i materialnym potrzebom społeczeństwa. Efemeryczność ograniczonego kredytu, udzielanego kolejnym ekipom rządzącym stwarza sytuację chronicznej niepewności, z którą Związek Radziecki może pogodzić się obecnie, której jednak nie będzie mógł tolerować z chwilą, gdy zaistnieje bezpośredni styk między Polską a Niemcami, z Niemcami czy to wchodzącymi w skład bloku państw zachodnich czy też usamodzielnionymi i dążącymi do zdobycia prymatu w tym bloku.

Zjednoczenie Niemiec stworzyłoby dla Związku Radzieckiego sytuację, która z punktu widzenia obronności państwa przypominałaby - nawet po uwzględnieniu nowych broni - lata 1939-1941. Polska historiografia komunistyczna jedynie półgębkiem wspomina o oficjalnej radzieckiej motywacji zaboru kresów wschodnich, jako przyłączenia ziem ukraińskich i białoruskich dotąd znajdujących się pod okupacją polską, podkreśla natomiast ze względów propagandowych strategiczne motywacje tego aktu, choć o nich dyskretnie milczy historiografia radziecka. W przypadku zaistnienia granicy polsko-niemieckiej powstanie potrzeba zapewne-

nia całkowitego bezpieczeństwa na przedpolu, którym teraz będzie całe terytorium PRL, co oznaczać będzie konieczność przeprowadzenia operacji różnej być może w szczegółach, lecz nie w charakterze od tej, jaka została przeprowadzona na kresach wschodnich w latach 1939-1941. Wymaganego bowiem bezpieczeństwa nie może zapewnić władza znajdująca się między młotem obcych dyspozycji i kowadłem własnego społeczeństwa nie darzącego tej władzy zaufaniem.

Uważam, że szczegółowa motywacja naszego pesymistycznego prognostyku, nawet na łamach publikacji ukazującej się poza zasięgiem cenzury, byłaby nie na miejscu w obecnej sytuacji. Narażam się wobec tego na to, że alternatywna szansa konstruktywnego ukształtowania stosunków między Polską, Rosją i Niemcami potraktowana będzie jako pobożne względnie niepobożne życzenie, niemniej jestem przekonany, że wyzute z emocjonalnego zaciętrzewienia przyjrzenie się tej szansie pozwala odkryć w niej przynajmniej pewne umotywowane prawdopodobieństwo.

Jestem zdania, że istnienie naprawdę suwerennego państwa polskiego, cieszącego się pełnym zaufaniem społeczeństwa, stworzyłoby sytuację, która umożliwiłaby zagranicznej polityce radzieckiej odszycie od schematu, który niezmiennie prowadził ją do doraźnych sukcesów, za które później trzeba było płacić pyrrusowymi zwycięstwami, a co ważniejsze, który fatalnie ciążył na polityce wewnętrznej tego państwa. Rewizja obowiązujących dotąd w radzieckiej historiografii i propagandzie, a zapewne i w ośrodkach politycznych, dogmatycznych i z gruntu fałszywych ocen stosunku ZSRR do Polski niepodległej w latach międzywojennych jako państwa efemerycznego niewątpliwie pozwoliłaby na sporządzenie bilansu strat i zysków tej polityki, którą uwieńczył tragiczny dla Rosji pakt Stalina z Hitlerem.

Suwerenna, silna Polska nie może stanowić militarnego zagrożenia dla swych potężnych sąsiadów. Nie może też stawić im czoła w przypadku agresji. Jedyнным zabezpieczeniem jej bytu niepodległego jest znalezienie wspólnego języka z takimi siłami politycznymi lub społecznymi w Związku Radzieckim i w Niemczech, które gotowe są stawiać wyżej bezpieczeństwo Europy, a zatem i swoje własne, nad uleganie pokusom realizowania awan-

turnicznych ambicji. Porozumienia takiego nie osiąga się przy pomocy ~~krzywego~~ szlachetnych apelów czy kasandrycznych przestroż. Jest ono możliwe tylko wtedy, gdy ci, którzy pragną się porozumieć biorą pod uwagę ułomność natury ludzkiej, rzeczywistość narodowych i państwowych tradycji, historyczne ukie-
runkowania społeczeństw, wreszcie ich subiektywne wyobrażenia o swych przeznaczeniach dziejowych.

Nawet ci, którzy głoszą istnienie zdeterminowanych ścież-
mi prawami mechanizmów postępu, muszą przyznać, że taki po-
stęp nie może być podporządkowany jakimkolwiek uniwersalnie
obowiązującemu modelowi, że nie da się zamknąć w jednej dog-
matycznej formule. Błędem również wydaje się kreowanie mode-
łów postępu niezależnie od historycznych tradycji poszczegól-
nych społeczeństw. Przeświadczenie, że demokracja parlamen-
tar-na i pluralistyczna organizacja społeczeństwa jest najbardziej
nam odpowiadającą formą bytu społecznego i politycznego, opie-
ra się na rozumieniu naszych tradycji, którego nikt przecież
nie może zakwestionować. To jednak nie powinno skłaniać do
orzekania, że takie właśnie formy polityczne i społeczne są
dobre dla społeczeństwa, które w długiej swjej historii ich nie
tworzyło, i które, jak o tym zaświadcza jego twórczość duchowa,
uważa je za obce. Związek Radziecki uznawany jest powszechnie
za kontynuację państwa rosyjskiego. Można rozmaicie oceniać
przemiany, jakie zaszły tam w wyniku rewolucji bolszewickiej,
trudno jednak uważać je za spisek mędrców Syjonu z niemieckim
sztabem generalnym. Oczywiście i znana jest rola teroru politycz-
nego i policyjnego w tym państwie przed rewolucją i po niej, by-
łoby jednak absurdalnym uproszczeniem uważać, że państwo to mo-
głoby funkcjonować w swjej imperialnej formie bez aprobaty lub
choćby biernego poparcia znakomitej większości obywateli. Tę
aprobatę otrzymała przede wszystkim rewolucja bolszewicka, któ-
ra nie głosiła zasad europejskiej demokracji i nie uznawała euro-
pejskiej hierarchii wartości. Specyficzność zaś rosyjskich tra-
dycji politycznych i społecznych potwierdzają dobitnie ponawia-
ne próby usprawniania, czy jak to zwykło się określać na zachodzie,
liberalizowania kolejnych systemów. Z poparciem społecznym
spotykały się tylko te, które tej specyfice odpowiadały i tylko
te bywały urzeczywistniane.

Kiedy więc mówimy o odwoływaniu się do sił politycznych w Związku Radzieckim, mamy na uwadze wciąż regenerujące się elity władzy. Inaczej przedstawia się sprawa w Niemczech, gdzie o kierunku, w którym państwo zmierza, decyduje walka między siłami zrodzonymi przez furcr teutonicus, a tymi, które usiłują go poskromić lub wręcz wytrzebić. List biskupów polskich, sponowany przez ówczesną ekipę rządzącą w Polsce, był nie tylko aktem o niezwyklej wadze w okresie walki o uznanie naszych granic zachodnich, lecz również i nade wszystko wskazaniem właściwego kierunku naszym zabiegom o uregulowanie stosunków polsko-niemieckich.

MS

ZYCZAKIEM PRZEZ PRASĘ

O NIEKTÓRYCH PATOLOGIACH NACJONALNYCH

Ciekawy, podwójny numer Giedroyciowej paryskiej "Kultury" /nr 1/2 1979/ musi wzbudzić trochę dziwnych niepokojów. Chodzi o pobratymców ze Wschodu, Litwinów, Ukraińców, Białorusów, którym redaktor Jerzy Giedroyc od dziesięcioleci poświęca swą chwalebna przyjaźń i uwagę. Przy okazji urządzamy sobie często samobiczowanie, oskarżając Polaków o nacjonalny bzik, szowinizm, o egocentryzm i rozczulanie się nad sobą, z pomijaniem innych, co też cierpieli lub oierpią. Ale... Może czasem wpuścić też trzeba w te sprawy trochę innego, ostrzejszego czy zachodniego powietrza? Bo jak usniemy w samobiczowaniu a inni tymczasem zwariują na swój sposób, też usypiani w ruskiej łódzce, to w końcu zbudzimy się wszyscy trochę /lub bardzo/ pomyleni, a świat idący swoim torem, daleko nam ucieknie. "Zmora zaścianka" - o której pisał niezapomniany Paweł Jasienica.

Dziwne bowiem myśli nastrecza w tej "Kulturze" wstępny, pięknie napisany listowny dialog Czeskawa Mikołaja z litewskim poetą Tomaszem Venclova, niedawnym emigrantem z Wilna. Wilno przedwojenne dobrze znałem: specyficzny tygiel narodów - Polacy, Litwini, Żydzi, Rosjanie, Białorusinawet Tatarzy - wszystko na tle przepięknej polskobarokowej architektury. Specjalny duchowy mikroklimat, zniszczony przez wojnę, Szaulisów, Rosjan, Hitlera, li- chc wie kogo jeszcze, dziś świat zabity deskami, sowietyzowany na potęgę, choć Litwini chcą odrodzić swój język, katolicyzm, kulturę. Ale największe ich zmartwienie to ... nie dać się Polakom, którzy chcą ich wciągnąć, zasymilować, sterroryzować! Po wywózkach i zdziesiątkowaniu, w mrokach sowietyzacji, zaplanowanej "marksistowskiej" ciemnoty, fałszerstw i absurdów pseudo-

historycznych, oni hodują w najlepsze gorzkie, arochiczne a zakamieniałe bziki: że Jagiełło był zdrajcą, Mickiewicz "folks-polakiem" /czy "polskdeutschem"/ a Piłsudski wrogiem, który złamał "umowę suwalską" i chciał ich wchłonąć pod pozorem federacji. Takie to bracia Litwini mają problemy w epoce Breżniewa. Mój Boże!

Czesław Miłosz nieraz już kokietował swą nostalgia za Litwą, za "Bałtami", że niby nie wie dobrze kim jest, bo nie znosi endeckiej Warszawy, jego stryj był Litwinem, choć pisał po franousku, a on pisze po polsku, ale wychował się w Dolinie Issy. Bardzo to wdzięczne, lecz w końcu z sentymenciku do nastrojów prowincji nie różmy światopoglądu i każdy czytelnik w rezultacie powiedział sobie: Miłosz to Polak jak Mickiewicz /"Litwo ojczyzna moja..."/ i kwita. Tymczasem Tomasz Venclwa trudniejsze stawia nam problemy: Prawdziwy Litwin z Kłajpedy, dziś w Ameryce, kiedyś na bolszewicko-wileńskim uniwersytecie w Wilnie szarpał się z sowietyzmem, mówi też po polsku, po rosyjsku i obwieszcza nam: "... jestem kosmopolitą, judofilem, polonofilem, rusofilem nawet, a Litwini mnie często irytują, właśnie dlatego, że są moi". Na pozór wszystko "w porządku", a jednak...

A jednak wciąż tam coś u niego powraca urazowego, niby obiektywnie referuje, a przecież dziwaczny dla nas klimacik zgorzkniałego nacjonalizmu skąbych wciąż się przebija. Szowinizm skąbych wcale nie jest bardziej wybaczalny niż szowinizm silnych, a ci, co cierpią, niekoniecznie przez swe cierpienie pięknieją, może właśnie raczej degenerują się, dziwaczniej? Dziwacznie brzmi zapewnienie, że "prawdopodobnie większa część młodego pokolenia na Litwie nie odczuwa teraz do Polaków żadnej wrogości" /ale żaska?/, że "może pokutuje gdzieś poczucie polskiej wyższości, pańskości, a może i nie". Słyszemy też jednak od ubolewającego raczej Autcra, iż "Istnieje jakiś nawyk demonizowania Polaków. Według tej mentalności /.../ ci Polacy przez wieki myślą wyłącznie o jednym: jakby tu Litwę do Polski przyłączyć, wynarodowić i w ogóle zgnębić. Są bardziej niebezpieczni od Rosjan, bo przecież katolicy oraz europejscy...". "Stając się narodem i państwem nowoczesnym, Litwa musi podkreślać, że różni się od Pol-

~~eki przylączyć, wynarodowić i w ogóle sgnębić. Są bardziej niebezpieczni od Rosjan, bo przecież katolicy oraz Europejczy...".~~
~~"Stojąc się narodem i państwem Łowoczanym, Litwa musi podkreślać, że różni się od Polski...".~~ "Realna sytuacja - to dwieście tysięcy Polaków na Wileńszczyźnie oraz dwadzieścia tysięcy Litwinów na Suwalszczyźnie. Nie ma już wśród nich arystokracji, prawie nie ma inteligencji: są to rolnicy i robotnicy, ludzie zdeptani przez reżim i mający prawo do ludzkiego życia. Oburzam się, widząc traktowanie Litwinów w kraju sejneńskim, tym bardziej, że robi to polski Kościół ... /co robi?! - sk/. Ale jeżeli zacznie się przymusowa litwinizacja na Wileńszczyźnie to będę pierwszy, który powie "nie" /Duża kaska - przypisek sk/.

Mówiąc bez żartów, Tomas Venčlova to swój i porządny facet, chce jak najlepiej, ale ze słów jego technicznie litewski obłądek, nie gorszy od naszego własnego. Istna duchowa bałkanizacja - więc tyle tylko zostało ze świątłych, jak się nam kiedyś widziało, koncepcji Jagiellonów?!

Wobec Litwy maćsmy w końcu winni: oddaliśmy im przecież tron, a szlachta z pewną frajdą przeszła na polską stronę. Gorzej było z Ukrainą, tu rzeczywiście bić się trzeba w polskie pierci. Ale i Ukraińcy sobie nie żałowali. Po Petlurze to już chcieli iść z każdym, aby nie z Polską: z Niemcami, z Rosją, z Hitlerem, ze Stalinem. No i dowojowali się: mają to, co mają. Ale winni są, jak zawsze, Polacy - bracia Ukraińcy za wszystkie zło historii winią Polaków, w czasie wojny pochulali z nami nieraz, rewanz, a jakże, bywał też, a jeden propolski generał Szandruk nie uczynił wiosny. Zaś za wszystko odcierpiał mikośnik limanu i porohów Dniepru ukrainofil Józef Łobodowski, który wybrał się na organizowane przez Ukraińców i Polaków odczyty do Stanów tudzież Kanady, zaś opisał to w tymże numerze "Kultury" pod tytułem: "Wyprawa do Ameryki".

Nasz mikośnik Ukrainy użył tam jak pies w studni. Ukraińcy oskarżyli go, że pochodzi od Łobody, więc jest renegatem, zaś niektórzy Polacy krzyczeli, że jest zdrajcą, bo w ogóle zajmuje się i interesuje Ukrainą. Oskarżono go poza tym o Berezę Kartuską, o sprzyjanie "haniebnej pamięci Piłsudskiego i Petlury", którzy chcieli stworzyć równie haniebną federację z udziałem

Polski, Białorusi, Litwy i Ukrainy /a coż w tym właściwie zkego? - sk/. Dowiedział się też, że "wolna Ukraina" nie potrzebuje żadnych sojuszników i że należy jej się, prócz oczywiście Kwowa i Wołynia, także "zachodnia Haliczyna" /Haluczyna/ między... Wisłą a Pilicą czyli Sandomierskie, Kieleckie, Radomskie, nie mówiąc już o Żemkowszczyźnie, Lubelszczyźnie, Bęczczyźnie, Lubaczowszczyźnie, Chełmszczyźnie i Podlasiu, wchodzących w skład "Ukraińskiego Królewsko-Książęcego Państwa - Kijowskiej Rusi...".

Hej, hej - coż za wiedza: geograficzna, historyczna, polityczna! Tu już sam Łobodowski nie zdzierzył i ryczy, jak ranny koń - biedny Łoboda. Hej, hej - a myślało się, że na szerokiej Ukrainie lepiej się niegdyś ludziom żyło nawet z polskimi panami, niż w stalinowakim kołchozie, czy zgoła na Syberii.

Sądziłem, że to tylko Polacy tu i ówdzie, ciężko przez historię w tyłek bici, w końcu nie wytrzymali i poszali - tymczasem bzik nie gorszy ogarnął i pobratymców. Emigracyjna schizofrenia, patologia nieszczęśliwych - powiecie? Hm. Nie mogę się jednak opędzić od pewnej surrealistycznej wizji. Oto, gdy po latach stanie się wreszcie według proroctwa świętego Biedroycia i Muzukmanie, Gruzini, Bałtowie oraz Ukraińcy rozwalą w kawały murszejące Imperium Radzieckie, gdy zabraknie wschodniego żandarma, coż wtedy będzie z naszą Polską? Rzucą się na nią oto wyposzczone Litwiny, Białorusy, Ukraińcy i - rozszarpią na sztuki /Nie znałeś litości panie... I my nie znamy litości! Szarpajmy ciało na sztuki. Niechaj nagie świecą kości!/. Ostatni rozbiór Polski, Finis Poloniae! Z tego już nie powstanjemy.

Wielka skleroza, wielka schizofrenia, wielkie Bałkany, jako wynik patologii czyli ekscesów nowoczesnej historii?! Wielka Apokalipsa Grupaństwa zaiste!

"Holocaust" czyli przeogromne zdziwienie

Cała prasa zachodnioeuropejska i światowa pełna jest rozważań na temat olbrzymiego, dla nikogo niespodziewanego rezonansu, jaki wywołany został przez wyświetlenie w telewizji RFN amerykańskiego serialu "Holocaust", przedstawiającego, poprzez losy pew-

nej żydowskiej rodziny w Niemczech, tragedię wymordowanego przez hitlerowców narodu żydowskiego w Europie. Niezwykle rezonans tego, jak stwierdzają niemal jednogłośnie krytycy, nie nadzwyczajnego i po hollywoodzku melodramatycznego serialu jest przedmiotem mnóstwa socjopolitycznych i historyczoficznych rozważań w takich światowych pismach jak "Frankfurter Allgemeine" /płora Joachima C.Festa/, "Neue Zürcher Zeitung", "Die Zeit", "Der Spiegel", "Der Stern", "Die Weltwoche", "Le Monde", "Le Figaro", "New York Post", "New York Times" i wiele innych, zabrakł nawet w tej sprawie głos kanclerz Helmut Schmidt. Zbiegło się to w czasie z burzą jaką wywołał niejaki Robert Faurisson, wykładowca uniwersytetu w Lyonie, udawadniający /"Le Monde" 29.12.1978/, że nigdzie w Europie nie było i nie mogło być komór gazowych dla niszczenia ludzi /gdzie wobec tego podziały się miliony owych ludzi, np. trzy miliony polskich Żydów z miast, miasteczek, wsi - to już autora nie obchodzi/. Znakomicie udokumentowanej odpowiedzi udzielił Faurissonowi profesor tegoż uniwersytetu w Lyonie François Dalpech /"La vérité sur la solution finale", "Le Monde" 8.03.1979/. Wreszcie hamburski "Der Spiegel" /6.02.79/ rozpoczął druk w odcinkach bardzo szczegółowych i plastycznych wspomnień oświęcimskich polskiego filmowca Wiesława Kielara, który spędził w Oświęcimiu równo pięć lat jako "numer 290". Wstrząsające te wspomnienia /ukazały się w "Fischer-Verlag"/, wraz z obfitym materiałem fotograficznym, solidnością i autentyzmem swej relacji przypomnieć nam muszą inne własne a zapomniane niestety książki np. Borowskiego, Szmaglewskiej, Żywulskiej, Bartoszewskiego, Ostańkiewicza i innych, a także znakomitą, w Londynie wydaną przez Józefa Garlińskiego "Oświęcim walczący".

Smutnym a groteskowym polakim odpowiednikiem całej debaty był skonfiskowany /! - o żąkosny symbolu! / felieton Kisiele "Czy Polacy są sympatyczni?" /"Tygodnik Powszechny", styczeń 79/, reprodukowany w "Biuletynie Informacyjnym" KOR-u ze stycznia. W felietonie tym Kisiel omawia zadziwiająca książkę niejakiego Wojciecha Kozłowicza "Powtórka ze zwycięstwa" /KAW/, w której autor opisując obóz oświęcimski i Brzezinkę pomija ... sprawę żydowską. I takie książki ukazują się w Europie - nawet w 60-tyśięcznym nakładzie.

Co jednak w całej tej, o 10 lat spóźnionej, światowej dyskusji wywołanej nieznanymi nam filmem "Holocaust" usłyszą nasi przede wszystkim czytelnicy ze wschodu? Dwie rzeczy: 1/ że mimo tysięcy relacji, procesów, dokumentów, książek potrzebna jest dopiero dość przeciętnego filmu, aby wywołać szerokie, ostrzeżenie niemieckiej opinii /podkreślają to i dziwo wszyscy uczestnicy dyskusji/, 2/ że w powodzi przypominanych relacji i sprawozdań brak absolutnie /poza wspomnianym p. Kleimanem/ historycznych politycznych relacji z Polski, kraju, na którego niemiecka rozegrała się zasadnicza część żydowskiej, a i polskiej tragedii.

Pierwszą kwestią zanadto paradoksalną i zdumiewającą jest widoko: oto wolne kraje Zachodu nie są wcale krajami nacłajnymi, i najbardziej obiektywnie poinformowanymi na temat tego, co dzieje się w różnych porach i głąb. Środki masowej informacji, prasa, radio, telewizja, usamodzielnione, swobodne i rozwinięte maksymalnie bombardują tamtejszych obywateli ogromną masą wiadomości, wywołując nierzadko konsumpcyjnie nastawione i przejęte prywatnym życiem publiczności przesyt i zotoczenie. W dodatku w powodzi informacji brak selekcji i istotnej politycznej wiedzy: selekcji ważności w kategoriach polityczno-historycznych nie może dokonywać dziennikarski technik, skoncentrowany na pogoni za faktami aktualnie "uśczerzeniowymi". W rezultacie powódź wiadomości staje się bezkrytyczną magmą, w której gubi się to, co historycznie ważne, w której faleg i nę rzeczy istotne, lecz na dziś mało sensacyjne. I oto/ogromną dawką informacji Niemcy zapomnieli nierzadko o swych nieślawnych dziejach, o których przypominać im musi hollywoodzki film ... I Ośli na pośród jądza - z grodu padła!

A sprawy polskie, sprawy pomijania naszej walki, martyrologii, naszego rządu londyńskiego i krajowego państwa podziemnego, alarmującego świat także w sprawach zagłady Żydów? /Szmul Zygielbojm, Ignacy Schwarz-Wart, dr Adolf Berzen, Jan Karasi-Bozilewski i jego "Story of a Secret State"/. I - to już historia politycznej grupoty i zamachowania, jakie zagnieżdżiły się w Polsce ludowej od czasów stalinowatizmu.

Warto przypomnieć, iż film "Holocaust" stworzony był i opublikowany w prasie polskiej na długo, zanim w ogóle się pojawił. Polak

cy "space" od propagandy /to jest ludzie, którzy nigdy nie mieli do czynienia z jakąkolwiek wolną opinią/ uznali, że będzie to film antypolski. Szło o jedną, podobno mało zauważalną i zresztą usuniętą sceną, gdy w rozstrzelaniach w warszawskim getcie bierze udział oddział ubrany w polskie polowe rogatywki: nikt tych czapek już u nas nie pamięta, jakżeż wymagać znawstwa od hollywoodzkich macherów filmowych? /zresztą obrazili się i Litwini i Ukraińcy, a przecież policja litewska, ukraińska czy łotewska bez wątpienia w gettach działała, w końcu nasza policja granatowa po trochu też/. Nasi "propagandziści" szybko wprowadzili zamiki, gdy film okazał się rewelacyjnym budzicielem światowego sumienia. Ale ich pierwszy gest o czymś świadczy, to był freudowski odruch winy. Albo - wiem:

. Polskie właściwe świadectwo o okupacyjnych czasach pogardy zostało w latach powojennych dla celów wewnętrzno-politycznych udaremnione. Najważniejsi polscy uczestnicy i świadkowie wydarzeń, jak Tadeusz Bór-Komorowski, Tadeusz Pełczyński, Kazimierz Iranek-Osmecki, Jan Karski-Kozielewski, Jan Nowak-Jeziorański, Zygmunt Zaremba, Stefan Korboński, Józef Garliński, Wacław^{Zagórski} i wielu innych, znaleźli się na emigracji, więc ich relacje zostały wyklete i przemilczane. Zaś krajowi świadkowie i kronikarze historii długie lata milczeli, bo ... śledzieli w więzieniach, skarżeni w idiotycznych stalinowskich procesach, wystarczy przypomnieć losy Franciszka Niepokólczyckiego, Jana Rzepeckiego, Henryka Józefskiego, Józefa Rybickiego, Wacława Lipińskiego, Władysława Bartoszewskiego, Kazimierza Moczarskiego, Witolda Bayera i wielu innych. A znów okupacyjne gettowe dokumenty dr. Emanuela Ringelbluma, jedno z najautentyczniejszych świadectw swego czasu nigdy nie wyszły w Polsce Ludowej w formie książki /cenzura!/, część z nich puszczono zaledwie w hermetycznych zeszytach Żydowskiego Instytutu Historycznego. Świat niewątpliwie dojrzał i zapamiętał te nasze "anomalie". Głupstwo rozum zjadło - zaiste!

Kisiel napisał w paryskiej "Kulturze", że komuniści przypominają mu pewne afrykańskie plemię, które nie dostrzega związku

między stosunkami erotycznymi a późniejszym rodzeniem się dzieci. Istotnie: nie dostrzegli, że płacimy dziś w opinii świata za ich wieloletnie grupstwa. Po owocach ich poznacie je ...

Całą prawdę, tylko prawdę...

Znaleźć w polskiej prasie całą prawdę, to rzecz absolutnie utopijna. A jeszcze żeby tę prawdę powiedział minister. W to, to już nikt nie uwierzy. Z tej niewiary i rezygnacji wynikną zapewne fakt, że wywiad "Polityki" z ministrem komunikacji Mieczysławem Zajfrydem /"Czy kolej stanie na szynach?" 17.02.79/ przeszedł u ludzi bez najmniejszego echa. Nawet gdy próbowałem kogoś zachęcić do przeczytania, machano tylko ręką. Jak zresztą twierdzi pewien mój przyjaciel, patrioci polscy przestali się już interesować sprawami gospodarczymi, wierzą bowiem, że zbawi ich jedynie Papież Wojtyła oraz Krzysztof Penderecki. Hm.

A tymczasem Pan Minister powiedział całą prawdę. O kolei tylko wprowadzi, ale z tego wynika i wszystko inne. W jaki sposób redakcja "Polityki" do tego go skłoniła? To już ich sędzka tajemnica. A my korzystamy.

Z wywiadu wynika prawda prosta a szokująca. Że oto rozbudowując intensywnie "wybitnie transportochłonne gałęzie gospodarki jak górnictwo, hutnictwo, energetykę, budownictwo mieszkaniowe i służący mu przemysł materiałów budowlanych", zapomnieli o proporcjonalnym doinwestowaniu technicznym i rozbudowie kolei. Ta sama kolej ma przewieźć o wiele cięższe ładunki, np. w tym roku, mówi Minister, na statystycznego mieszkańca kraju ma przypaść rocznie 14 ton przewiezionego towaru, co w sumie daje ciężar większy, niż wynosi ... waga całej produkcji przemysłowej kraju. Samego węgla mamy przewieźć w tym roku 160 milionów ton /ile dostajemy w eksporcie za węgiel? - niewiadomo; podobno 40-60 dolarów za tonę/. Tylko same dwie huty: "Lenina" i "Kattowice" wymagają przewiezienia w tymże roku 50 milionów ton, podczas gdy przed wojną /1938/ cały przewóz polskich kolei wynosił 75 milionów! Ogólną 6,5-krotnie zwiększoną pracę polskie koleje wykonują dziś na niewiele co dłuższej niż przed wojną sieci torów i z zatrudnieniem większym tylko o 80%. Wprowadzi technika jest "o niebo" lepsza, ale nie ma żadnej gwarancji!... otrzy-

mania szyn, wagonów, części zamiennych i materiałów oraz maszyn, potrzebnych do utrzymania w sprawności urządzeń kolejowych".

Tak więc postęp w ciężarach zaliczamy ogromny, mamy też olbrzymie huty i kopalnie, oraz pracujące dla nich przeciążone porty, ktoś tylko zapomniał o drobiazgu: nowej wąskiej nitce komunikacyjnej, która łączy jedno z drugim, niczym przewodzące krew do serca naczynia wieńcowe. Jak się owa nitka zatka /np. śniegiem w czasie ostatniej zimy/ to cały interes, wobec tranzytowego położenia Polski, może wziąć w łeb i kwita.

A kto o tym szczególnie zapomniał? Tego nie wiadomo, tego się nigdy nie mówi. Pewno znów jacyś legendarni "oni". Wiadomo zresztą, że w gospodarce planowej zawodzi zazwyczaj planowanie. Nie zawiodło ono jedynie przy ... obejściu budżetu inwestycyjnego kolei w bieżącym roku. Ponieważ po niewczasie przechodzimy z ekstensywnej na gospodarkę intensywną i zmniejsza się wszelkie inwestycje, czemużby nie zmniejszyć też kolejowych? Ktoś /"oni"/ nie wpadł jednakże na pomysł, iż chcąc naprawić nienormalnie jednostronny rozwój kraju, nie należy w tej samej proporcji zmniejszyć inwestycji usługowych, do których należy transport, co produkcyjnych. Bo w ten sposób nic się nie zmieni.

Minister Zajfryd nie ukrywa, że nic się nie zmieni także w przewożeniu "ludności", czyli nas wszystkich. Za przyjemnie jeździć się nie będzie, o j nie - i raczej w ogóle nie za bardzo, "bo borykamy się w tej dziedzinie z ogromnymi trudnościami i niedostatkami". No, ale może jakoś to będzie...

Pokazałem wywiad Ministra kilku przedstawicielom naszej ludności, ale nie przejęli się wcale. Co to ma za znaczenie, i tak przejdziemy niedługo na szerokie tory - powiedzieli. O j Polacy, Polacy!

Życie twórcze w majestacie prawa

A oto na zakończenie fragment rubryki "Radio, TV i życie" prowadzonej przez Zbigniewa Kwiatkowskiego w krakowskim "Życiu Literackim" /nr 1411/.

"O cudach tu mówię i nie ma w tym przesady. Jest przecież czymś nadzwyczajnym, że inżynier potrafi utrzymać w ruchu powie-

rzony jego pieczy maszyny i urządzenia przy chronicznych brakach a to energii, a to surowców, a to ludzi. To samo można powiedzieć o kierowniku budowy bloku mieszkalnego, fabryki. Gdyby nie jego talent, pozwalający mu "organizować" konieczne materiały, środki i ludzi, pokonywać /czyli omijać bez szkody dla siebie/ obowiązujące przepisy, połowa budów utknęłaby w bez-ruchu. Wiadomo, że największą bolączką transportu samochodowe-go jest brak części zamiennych i ogumienia. Gdyby nie talent dyrektorów PKS, MPK, w bazach stałaby nie jedna trzecia auto-budów, ciężarówek i ciągników, ale połowa. Gdyby nie umiejęt-ność twórczej eliminacji przepisów i zarządzeń, nikt nie uzys-kałby w urzędzie jednoznacznej i obowiązującej decyzji bez od-woływania się do najwyższych instancji i prasy. Czyli: tylko dzięki talentom twórczym toczy się nasze życie."

Ostatnie dwa zdania warto zadeedykować piśmie "Prawo i Życie". Sądzi on, że w kraju Rewolucji życie winno płynąć zgodnie z pra-wem, gdy w istocie kierujemy się tu raczej lewem. "W socjaliź-mie ofiarnie i skutecznie pokonujemy trudności, których nie ma w innym ustroju".

SK

CZYTANIE MIŁOŚZA: "ZDOBYCIE WŁADZY"

Dlaczego nie powstała wielka powieść polityczna o genezie państwa, którego jesteśmy obywatelami? Uderza rozbieżność między znaczeniem wydarzeń 1945 roku a miarkością literatury o tych czasach. Rzeczywistość jest zawsze bogatsza niż najlepsza nawet literatura, fakt ten jednak co najwyżej świadczy o trudności tematu, zbyt żywego jeszcze i bolesnego, aby można było o nim pisać w okrągłych zdaniach.

W powieści politycznej świadomość bohaterów opanowana jest przyjętym obrazem społeczeństwa, ich zachowanie oraz dylematy moralne mają związek z ich ideologiczną tożsamością. To właśnie wyróżnia pisarza politycznego: on to pokazuje w jaki sposób idee budzą emocje, zobowiązują do wierności lub grożą niebezpieczną zdradą, angażują do fanatycznych działań i bohater-skich gestów lub sprawiedliwiają ohydny obojętność i gwałt. W powieści politycznej nieruchoma abstrakcja ideologii spotyka się ze zmiennym doświadczeniem, monolityczny program z bogactwem i różnorodnością motywacji, czystość ideału z brudem działalności. Sprzeczności te przybierają postać przeznaczenia, patos wydarzeń uwzniośla lub degraduje bohaterów. Dlatego też polityka staje się często synonimem tragiczności. Zauważył to już Napoleon, gdy rozmawiając z Goethem wypowiedział słynne słowa: "Ponieważ wymarły już wielkie religie pogańskie nasza soena tragiczna wymaga innej motywacji. Polityka powinna być sprężyną nowożytnej tragedii. Starożytny los winien ustąpić miejsca polityce. Ten los, który uczynił z Edypa przestępcę, że nie był winny, los, który nakazuje nam współczuć Fedrze, przerzucając na bogów ciężar jej zbrodni i słabości." Nieprzezroczyistość i zagadkowość bezpośredniego doświadczenia historii gotowa więc przyjąć wymiar tragiczny.

Aby pokazać złożony konflikt opisywanej zbiorowości pisarz musi w pierwszym rzędzie sprawiedliwie rozdać polityczne role.

Dramatyczne widzenie rzeczywistości klóci się z jedną tylko, dogmatyczną ideologią. Dydaktyka wykoślawia sylwetki bohaterów, fałszuje motywacje, upraszcza konflikty. Stąd "Popiół i diament" jest nieudaną powieścią. Błoński zauważył słusznie, że wstydlive przemilczenia i tendencyjna pedagogia "poraziły jedyną szansę powieści - tragiczność". Po przeczytaniu "Popiołu i diamentu" lektura "Zdobycia władzy" Miłosza działa orzeźwiająco. Tempo narracji, lapidarność stylu, ostre stawianie zagadnień budzą nas po obłudnym i pompatycznym kazaniu Andrzejewskiego. Czy jednak udało się Miłoszowi "podać sprawiedliwość widzialnemu światu"?

x x x

Myślenie o polityce polskiej w kategoriach tragicznych ma swoją tradycję programowego lub nieświadomionego mesjanizmu. W myśleniu tym usiłuje się nadać cierpieniom sens etyczny lub zgłębia metafizyczny. Jeśli Polacy cierpieli to nigdy z własnej winy: winna była Rosja, Prusy, Austria w czasie rozbiorów i zaborów; Niemcy, Rosjanie i alianci w 44 i 45 roku. Własną niedojrzałość, brak kompetencji i rozwagi rozgrzeszane nieraz przerzucając ciężar winy na wroga. Racja moralna mogła być tylko i wyłącznie po jednej stronie. Klęska wszelkich niepodległościowych aspiracji - figurą tragedii ofiary. Śmierć niewinnych, a więc męczeństwo oczyszczało i uprzytamniało konieczność niepodległości. Ofiara miała sens narodowej katharsis.

Otóż Miłosz spróbował oderwać się od tego mesjanistycznego szablonu i popatrzeć na działania Polaków nie jak na tragedię ofiary lecz tragedię konfliktu wartości, racji moralnych, zdarzenia nie. Nie jest to więc tragedia, w której występują tyrani i niewinni. Słuszność jest po tej i po tamtej stronie. Po obu stronach jest niewinność, która jest winna i swoją winę musi odpokutować. Jak w "Antygonie": "Kreon ma rację, gdyż stoi na straży prawa i porządku i Antygonę ma rację, gdyż jest wierna".

Przyjęcie takiej zasady obserwacji spotyka się u Miłosza z brakiem sympatii dla przegranych. Natrętnie powtarza się zbyt pochopne utożsamienie patriotyzmu z fanatycznym nacjonalizmem i zaściankowym katolicyzmem. Według Miłosza Antygonę miakoby nieczyaste motywacje. Któż to w jego powieści należy do AK? Fałszyści /jak Michał/, partyzanci, którzy stali się z konieczności prze-

stępcami /Kord/, ludzie naiwni /Foka, Gąsła/. Wierność ideałom z lat 1939-44 odebrała im po wojnie obiektywizm i nie pozwoliła na asymilację w przekształcającym się społeczeństwie. Ta sama jednak zasada obserwacji, która uniemożliwiła pełne docenianie ethosu Armii Krajowej, odsłoniła jednocześnie konflikty moralne charakterystyczne dla lewicowej inteligencji. Konflikty te układały się w klasyczny wzór: "wrażenie tragiczności jest najpełniejsze i najczystsze, gdy ta sama siła, która pozwala pewnej rzeczy zrealizować jakąś wysoką wartość dodatnią, staje się w tymże samym działaniu przyczyną zniszczenia tej właśnie rzeczy jako przedmiotu wartości" /Max Scheler/. Powojenna lewica, która poparła rząd lubelski, wpadła w pułapkę: urzeczywistniając równość wprowadzała niewolnictwo a realizując postulaty sprawiedliwości społecznej legalizowała przemoc. Oto więc węzeł sprzeczności: lojalność Londyncowi jest ucieczką od rzeczywistości a zaangażowanie w budowę ludowego państwa wspólnotą w kłamstwie.

x x x

Mikołaj otwarcie stwierdza, że PRL stworzyły rosyjskie czołgi. Nie przypadkiem pochód Armii Czerwonej stał się w powieści "wojennym Historii w marszu". A jednak, mówi Mikołaj, komuniści napotkali na podatny grunt, na społeczeństwo nie tylko zmęczone wojną lecz także i niedojrzałe, o niskiej kulturze politycznej, które łatwo dało się złapać na leś demagogii. Czyli, że nie jest tak, że wszystkiemu winni są alianci, Armia Czerwona i agenci Moskwy. Wina, rozparcelowana na drobne kawałki, staje się niejako bezosobowa, staje się atrybutem samego istnienia. U Mikołaja, podobnie jak u Orwella, do władzy dorwały się świny, a mogły osiągnąć ją dlatego właśnie, że były jeżeli nie najinteligentniejsze, to przynajmniej najprzebieglejsze /Gnom, Baruga, Wolin/. W przeciwieństwie do Orwella Mikołaj skłonny bywa do pogardy względem wszystkich zwierząt.

W koszarnej wizji Pietra Kwinty zwycięski pochód Armii Czerwonej opalizuje ambiwalentnymi znaczeniami; spojrzenie losu jest dwuznaczne, janusowe:

"Jeżdżący ściągają ugule, zatrzymują się. Pod nimi wielki kraj zdobyty, oddany ich władzy. Patrzą na rzeki błyszczące w słońcu

na ruiny spustoszonej miast, spokojnie w niebieskiej mgie. Drobni ludzie poruszają się w dolinach nieświadomi przeznaczenia. Na okrągłych górach zamki, potężne, wznoszące ku górom pięści swoich baszt. Z tych zamków będą rządzić. Zataczając łuki ostrzem miecza, wskazują sobie miejsca, gdzie według ich planów staną nowe grody, nowe wspaniałe budowle, tamy, areny igrzysk. Wiedzą, że wystarczy im skinąć a ruszą tłumy ludzkie, póknągie w rytmicznym wysiłku, będą dźwigać belki i bloki kamienia. Nad ich codziennym trudem, nad bezsenssem ich fizjologicznego życia będzie trwała myśl przenikliwa, zaprawiona w dyspacie, kierująca."

Czymże jest ten pochód? Inwazją barbarzyństwa? Najazdem misjonarzy głoszących nową wiarę i nowe średniowiecze? Wszelkie nawrócenie staje się w tych warunkach sojuszem z silniejszym czyli maską dla pokusy władzy, dla demiurgicznego kierowania bezwładną masą. Czy wyrafinowana filozofia historii rzeczywiście tłumaczy zjawiska? A może jest sublimacją sadyzmu? Intelektualnym alibi dla dyktatury? Czyżby owo "ukąszenie helgowskie", o którym Miłosz wspomina kilkadziesiąt lat później, kazało mu wtedy utożsamiać słusność z doraźną skutecznością?

Jakkolwiek by było, Sołżenicyn ocenią jaskrawie takie i tym podobne pokusy:

"Wyprażnia i siła zbrodniarzy szekspirowskich ograniczały się do kilkunastu trupów. Nie mieli oni bowiem ideologii. Ideologia! To ona dostarcza poszukiwanego usprawiedliwienia dla zbrodniczości... W ten sposób inkwizytorzy zasłaniaли się chrześcijaństwem, kolonizatorzy cywilizacją, naziści rasizmem, jakobini /wczorajsi i dzisiejsi/ równością, braterstwem i szczęściem przyszłych pokoleń. IDEOLOGIA pozwoliła zbrodniarzom XX wieku eksperymentować w skali milionów." Może dwuznaczny stosunek do heglizmu nie pozwolił Miłoszowi na tak dobitne stwierdzenie.

x x x

Są i inne, bardziej oczywiste skazy tej powieści: niezborność kompozycji, rozstrzelone wątki, które nie łączą się w koherentną całość. Narracja, prowadzona jakby z lotu ptaka, pozwala co prawda na przekrojowy ogląd zbiorowości, uniemożliwia jednak pogłę-

bienie sylwetek bohaterów. Lakonicznie scharakteryzowane, papierowe postacie powieści zamierzone może były jako marionetki w rękach fatum. Czy jednak kukiełki mogą odegrać tragiczne dylematy i reprezentować rzeczywiste postawy? Dramat przekształca się w fanę, karykaturę społeczeństwa.

Najciekawsze jest jednak spojrzenie na powieść nie jako na utwór sam w sobie lecz sejmograficzny zapis doświadczeń autora. Jest ona znakiem rozterki i dnochowego wyjąłowania. Doświadczenie okupacji i totalizmu było trucizną, która przetrwawiając wszelką hierarchię wartości zostawiła próżnię etyczną i poczucie bezsensu. Stąd rozterki alter ego pisarza, Piotra Kwinto, który waha się między heglistą Halpernem a niezależnym socjalistą starej daty, Arytmem. Halpern to niebezpieczna fascynacja siłą. Wampir Historii wessał życiodajną krew, pozostaje tylko oddać intelekt na usługi przemocy. Sympatie autora są jednak podzielone, obderrza nimi również Arytm. Starość czyni go, jeżeli nie trochę śmiesznym, to w każdym razie tracącym kontakt z życiem. Miał szansę zostać opoką prawości, pozostał mu "moralny komfort nieprzejednanych". Podejrzliwość Miłozna jest wszechobecna, każdy ma wady swoich zalet. Każdy wybór stawia nas oko w oko z szydzącą maską losu. Powieść została bowiem tak skonstruowana, że nikt nie miał racji, ozyli inaczej mówiąc wszyscy mieli rację, co zresztą wychodzi na to samo. Żadna z postaci nie jest "reflektorem" moralnym /w tym sensie w jakim Marlowe w "Jądrze ciemności"/. Każda postawa nosi w sobie zarodki fałszu. Hamletyczny Kwinto nie może więc wyrobić sobie trwałych i niezależnych przekonań. Poruszany ślepyimi żywiołami miota się jak korek na fali.

PMK

DZIEJE PEWNEJ KSIĄŻKI

W roku 1873 w drukarni Graczeva w Moskwie ujrzała światło dzienne praca zatytułowana "Zapiski o polskich spiskach i powstaniach 1831-1862", a w roku 1875 w "Ruskiej Starinie" publikowane były uzupełnienia do tej książki. W kilka lat później z tej samej drukarni wychodzi, subsydiowana już przez rząd carski, ostateczna redakcja tej pracy pod podobnym tytułem "Zapiski o polskich spiskach i powstaniach 1830-1864". Autorem jej był znany już w całej Rosji dziennikarz i literat Nikołaj Wasyliewicz Berg. I oto, w momencie ukazania się książki, cały jej nakład zostaje skonfiskowany i zniszczony. Chcąc wyjaśnić ten nieodczekiwany fakt sięgnijmy najpierw do genezy pracy, która wywołała taki wielki skandal w Petersburgu.

Wiadomość, że Murawjew polecił jednemu z generałów spisanie historii swoich bohaterskich czynów, podzielała na hrabiego Fiodora Fiodorowicza Berga, ówczesnego namiestnika Królestwa Polskiego mobilizująco - zapragnął również uwiekopomnić swoją działalność. Zadanie to powierzył poznanemu w Sewastopolu a spotkanemu w Warszawie, dziennikarzowi Nikołajowi Wasyliewiczowi Bergowi /zbieżność nazwisk zupełnie przypadkowa/, zapewniając mu niemal idealne warunki pracy. N.W. Berg otrzymał pokój na zamku, gdzie mógł korzystać z tajnych dokumentów generał-policmajstra i namiestnika, z zeznań dostarczonych przez komisje śledcze w 1863 roku /szczególnie zeznania Oskara Aweydy i Karola Majewskiego/, a także ze wszystkich dostępnych informacji na terenach Królestwa Polskiego. I tak Berg dziennikarz rozpoczął spisywanie historii spisków w Polsce od 1830 do 1864 roku na polecenie Berga namiestnika. Nie czekając na zakończenie pracy, napisane fragmenty publikował na łamach "Ruskiego Archiwum" i "Ruskiej Stariny". Wyjątki publikowane w tych czasopiśmiech oraz oparta na

nich książka z 1873 roku, zyskały autorowi uznanie całej Rosji. Gdy praca była ukończona, autor przedłożył ją hrabiemu Kotzebuemu, a ten, opierając się widocznie tylko na znanych fragmentach z "Rueckoj Stariny", polecił całą pracę wydrukować na koszt rządu. Gdy jednak książka ukazała się, od razu zauważono, że jej treść znacznie różni się od publikowanych już wyjątków. Widocznie sam autor lub redakcje czasopism ze względów cenzuralnych tekst zmieniały.

Co spowodowało tak smutny los wieloletniej pracy Berga? Odpowiedzi należy szukać w czterech grubych tomach "Zapisków o polskich spiskach i powstaniach 1830-1864", których tematem była analiza przyczyn wybuchów powstań w Polsce, a szczególnie Powstania Sycznicowego, wskazanie metod naprawy i zapobiegania takim zdarzeniom na przyszłość.

Przyczyną wszystkich zamieszek w Królestwie jest, zdaniem rosyjskiego historyka, ciągła nieodpowiedzialność metod zarządzania Polakami. Należy najpierw dokładnie zrozumieć naturę Polaka - pisze Berg - dokładnie rozumieć jego ambicje i słabości, umieć docenić jego zalety, ale jeszcze pilniej śledzić jego wady, aby wszystkie te wiadomości spożytkować w konsekwentnej polityce Cesarstwa względem podbitej Polski.

Tymczasem wszyscy kolejni namiestnicy, w okresie opisywanym przez Berga, byli zdaniem autora "Zapisków" osobami zupełnie niekompetentnymi. Pragnąc to podkreślić, Berg podaje tyciorysy i charakterystyki Gorczakowa, Suchozaneta czy Lamberta nie tylko deprecjonujące ich walory jako polityków, ale wręcz podające w wątpliwość ich uczciwość. Jedyny namiestnik, którego autor darzy uznaniem, a nawet podziwem z racji prowadzenia sprawnej polityki w Królestwie Polskim, to Paskiewicz. On jeden, zdaniem Berga, zarządzał Polakami zgodnie zarówno z interesami Rosji, jak i mentalnością narodu polskiego. On jeden, pomimo pewnych uchybień, potrafił doprowadzić do tego, że w chwilach wrzenia "Warszawa na jakiś czas przybierała pozór oblężonego miasta: wojska, armaty, patrole ... a potem wszystko wracało do zwykłego porządku. Moskale znów się całowali z miejscowymi mieszkańcami, na wspólnych hulankach wracały dawne, dobre czasy..."

Druga przyczyna ciągłego wzniecia w Królestwie Biega jeszcze głębiej. Jest nią, zdaniem Berga, skrompowany, zupełnie nieudolny aparat administracyjno-policyjny. Przy czym aparat ten nie jest w Polsce specyficzny, lokalny - jest częścią olbrzymiej, rozkładającej się maszyny biurokratycznej Cesarstwa Rosyjskiego. Krytyka jest bardzo ostra i tym bardziej zadziwiająca, że autor ani przez chwilę nie zastanawia się nad przyczynami takiego stanu rzeczy.

Należy przy tych rozważaniach uwzględnić rzecz niezwykle charakterystyczną, która określa jednoznacznie stanowisko Berga wobec opisywanych przez niego wypadków: relacja między Rosją a Polską może być tylko relacją despotycznego mocarstwa do podbitego narodu. Innej myśli autor w ogóle do głosu nie dopuszcza. Rosja jest jedynym podmiotem ustanawiającym kierunek wszelkiej działalności zarówno politycznej, jak kulturalnej czy ekonomicznej. Polacy natomiast stanowią dosyć aktywną, ale chaotyczną nie działającą masę, która ma być przedmiotem tej działalności. Jest Rosja opiekunem i wychowawcą, który dzięki znajomości psychiki swego wychowanka może kierować jego rozwojem po własnej myśli. Stąd, tak pełen uznania, stosunek do rządów paskiewiczowskich, o których pisał: "Nie można było żartować, ale też nie można było naraz wszystkie burzyć o polskie, a zastępować je ruskim, pod tym względem szlach /Paskiewicz - przyp. DK/ byłby napotkał nadzwyczajnie silną opozycję w sferach, które znał i które na wskroś przenikał tak chytrze i biegle jak nikt inny".

Tu Berg, biorąc za wzór rządy paskiewiczowskie, sugeruje jednocześnie metody zapobiegania w przyszłości wszelkim zrywom polskim. Jego zdaniem tylko jedno powstanie zasługiwało na miano polskiego - była nim Insurekcja Kościuszkowska. Pozostałe, to inspirowane przez wpływy z Zachodu powstania szlacheckie. Wystarczy więc wpływ Zachodu zastąpić w tych sferach wpływem wschodnim, a jedyną siłą rewolucyjną w Królestwie będzie oswojona. Przy czym rusyfikacja tych warstw powinna być przeprowadzana delikatnie, ale bardzo konsekwentnie. Dlatego Berg z taką gwałtownością atakuje działalność reformatorską Milutina, Czarkaskiego i Samarina w Królestwie, gdyż jego zdaniem ci pozorni libe-

rałowie starając się oświecić włościanstwo, a zniszczyć stan wyższy /represje popowstaniowe/ szykują tylko pętlę na własną szyję. Dopóki lud jest ciemny, nie stanowi żadnej siły, ponieważ brak mu zdolności organizacyjnych i możliwości nadania określonego kierunku swoim dążeniom.

Z tego powodu Berg największego wroga Rosji widzi nie tyle w zrewolucjonizowanym ludzie polskim, gdyż bez arystokracji nie znaczy on nic, nie tyle w arystokracji, gdyż tę drogą konsekwentnej polityki rusyfikacyjnej można obłąkawić, ale w ludziach, których zamierzenia polityczne są podobne do rosyjskich, ale silniejsze i skierowane przeciwko Rosji. Takim oszowikiem był dla Berga Aleksander Wielopolski. Wiele uwagi poświęca Berg Margrabiemu w swojej pracy - w pełni docenia rangę polityczną jego osoby, często wyraża się o nim w superlatywach, ale na każdym kroku podkreśla, że jest to oszowiek dla Rosji najniebezpieczniejszy. Wielopolski mając bardzo duży wpływ na postanowienia Petersburga /Berg twierdzi nawet, że to on panuje nad carem, a nie car nad nim/ wykorzystuje to, zdaniem Berga, w celu polonizacji zrutyfikowanego już w pewnym stopniu Królestwa. Posunięcia Margrabiego w polityce wewnętrznej /szczególna dbałość o polską oświatę i kultywowanie polskiej tradycji, polonizacja urzędów, itp./ stwarzały wyjątkowe zagrożenie dla rosyjskich interesów w Zaborze. Rzec z polskiego punktu widzenia zadziwiająca, ale po kilku niedanych zamachach na życie Wielopolskiego, gdy "zręczny system, który kosztował tyle pracy, wysiłku i walki ze strony Margrabiego, zaczął konać śmiercią powolną", Berg pisał o Polakach: "A dorosłe i niedorosłe dzieci, nabroiwszy to wszystko, gdy osadzili Wielopolskiego za kraty, jak jakie niebezpieczne i szkodliwe dla nich i dla Polski zwierzę, byli przekonani, że dokonali bohaterstwa, że ratowali ojczyznę. W latoci uratowali, ale nie siebie, lecz rząd rosyjski".

Przed zniszczeniem całego nakładu książki Berga udało się wykraść kilkanaście jej egzemplarzy i w 1883 roku pojawiły się one w Poznaniu ze zmienioną kartą tytułową, która informowała, że miejscem wydania jest Poznań - nazwisko autora pozostawiono niezmiennione. Już w 1880 roku obszerna część pracy została prze-

tłumaczona z wydania "Russkiego Archiwum" przez Aleksandra Ryszczewskiego.¹ W latach 1898-99 ukazuje się pełne tłumaczenie na polski z wydania poznańskiego dokonane przez byłego uczestnika Powstania Styczniowego, a później dyrektora Zakładu Kredytowego w Krakowie, Karola Jaskłowskiego.² Tłumaczenie to wydane było po raz drugi w latach 1906-7 w dziesięciu tomach "Biblioteki Dzieł Wybrowych".

O tym, że praca ta była zawsze bardzo "niewygodna", świadczy fakt, że nigdy już nie pojawiła się w języku rosyjskim, przez co wydanie poznańskie należy do unikalnych /K. Jaskłowski korzystał z jedynego egzemplarza, który znajdował się w Bibliotece Narodowej im. Ossolińskich we Lwowie/. Zadziwiająca książka, w której autor stara się zachować bezstronność, bez zwracania uwagi na aktualne stosunki i układy polityczne. A ponieważ książka ta prezentuje poglądy człowieka "z drugiej strony barykady" na zdarzenia z historii Polski, jakże brzemienne w skutkach, to właśnie dlatego i ze względu na szczerą wypowiedź, jest to dla Polaka pozycja szczególnie interesująca.

DK

¹ N.W. Berg - Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach 1831-1862 /Kraków 1880/.

² N.W. Berg - Zapiski o powstaniu polskiem 1863 i 1864 i poprzedzającej epoce demonstracyj od 1856 roku /t. I - Kraków 1898, t. II i III - Kraków 1899/.

DWIE STRONY BARYKADY

Generał żandarmerii Dubbelt wezwał kiedyś Tadeusza Bułharyna a postawiwszy go na baczność wyrzycał parę słów o granicach swobody prasy rosyjskiej: "... twoją sprawą oukiernię, restauracje, wystawy sklepowe i ani kroku dalej". Kilkadziesiąt lat później mądry i cyniczny Suworin mógł zanotować w dzienniku, że prasa w imperium teatralizuje życie publiczne stwarzając pozory uspakajające cara i jego najbliższe otoczenie. Na ile więc racji miał Michał Nikiforowicz Katkow pisząc w liście do Aleksandra III, że jego "Moskowskije Wiedomosti" były "nie tylko gazetą, ale też i organem działalności państwowotwórczej"? Wydawnictwa Katkowa były czytane przez obu carów z satysfakcją, jako i c h gazety. Walentyna Twardowska wskazuje w swej gruntownej i świetnie napisanej książce /Walentyna Aleksandrowna Twardowskaja, "Ideologia poreformennowo samoderżawija /M.N.Katkow i jewo izdaniaja/", wyd. Nauka, Moskwa 1978, s. 278/, że Katkow był inspiratorem szeregu istotnych iniojatyw politycznych caratu zrazu jako zwolennik reform, potem jako ich zdecydowany przeciwnik, w Mro- dności przyjaciel Bielińskiego, Bakunina /bronił go potem przed Dostojewskim cenzurując "Biesy"/ i Stankiewiczza, z ohwilą objęcia "Ruskowo Wiestnika" w 1858 rcku postanowił łączyć elementy liberalizmu z zasadami obrony samodzierżawia /"... rzeoz polega na tym, by s t a r e m u przydać formę n o w ą stosowaną do potrzeb czasów obecnych ..."/ przyznając c i ą g ł o ś c i zna- czenie podstawowe. Wiedział, że Rosja bez reform będzie musiała się rozpaść. Znał dobrze stopień jej zacbfania i skabości. Był inteligentnym obserwatorem i przenikliwym krytykiem. Ale podję- cie reform wiodło wprost do zmian i zaburzeń sprzecznych z idea- łem ciągłości. Tę antynomię Katkow starał się rozwiązać głosząc konieczność budowy państwa, które bezwzględnie podporządkuje

sobie wszystkie dziedziny życia publicznego a osiągnięty pełnię kontroli może zacząć "rządzić historią".

Katkov zaczynał jako zwolennik samorządu typu angielskiego. O sile Rosji miała stanowić siła jej obywateli. Kończył jako radykalny przeciwnik jakiegokolwiek samorządu. Spostrzegł bowiem, że wydzwignięte przez reformy potężne siły społeczne nie znajdują w systemie samodzielnego szansa spełnienia swych aspiracji. Zaczynał jako zwolennik "prawa narodów", ale był pierwszym, który w 1863 roku wezwał do bezlitosnego rozprawienia się z Polakami: "Jedno z dwojga - albo Polska albo Rosja". Zaczynał jako zwolennik oświaty. Potem ze wstrętem odwrócił się od tych mrzonek sądząc, że tylko dzięki ciemności uda się zachować "najlepsze cechy ludu rosyjskiego". Paradoksalnie - przekonanie to dzielił ze współczesnymi rewolucjonistami rosyjskimi, którzy chętnie stawiali znak równości między szeregowym otypieniem nos i właściwym im duchem buntu. Dwie strony tej samej barykady...

PRZED STU LATY

Wybitny duński krytyk i wielki przyjaciel Polski Jerzy Brandes w ostatnich kilkunastu latach XIX wieku trzykrotnie odwiedził Królestwo Polskie: w 1885, 1886 i 1894 roku. W publikowanych później wrażeniach z tych podróży, w książce "Polska" /1898/, wiele miejsca poświęca Brandes cenzurze. Przypomnijmy niektóre z jego spostrzeżeń:

"Gdy się w Warszawie schodzi ulicą Miodową od Senatorskiej - zaczyna on jeden z rozdziałów - ma się po lewej pod nr 7 budynek, nad którego bramą widnieje rosyjski napis: «Komitet cenzury»... Wstępujemy na dziedziniec. Gdy wejdziemy na prawo w wąskie drzwi boczne, widzimy w sali ogromne kupy gazet i książek pod opaskami. To jest poczta dzienna.

Każdą gazetę wyjmują tu z opaski i przeglądają; co się nie podoba, to zamazują czernidłem. Każdą książkę otwierają i wertują. Przy posyłkach tego rodzaju nigdy nie można oznaczyć naprzed, kiedy dojdą do rąk adresata. Nierzad adresat otrzymuje 3, 4 numery gazety, a potem przez 4, 5 dni nie otrzymuje żadnego". Dodajmy, że chodzi tu o przesyłki z zagranicy.

"Cenzor kreśli, jak i co mu się podoba - czytamy we fragmencie traktującym o motywacjach ingerencji - odpowiednio do humoru lub do tego, o ile ma mniej lub więcej animozji względem autora, o ile się spodziewa wydusić od niego mniej lub więcej, lub też o ile już jest mniej lub więcej przekupiony". Brandes w tym miejscu dał się chyba zbyt pochopnie zasugerować rozmowom z polskimi przyjaciółmi, którzy zapewne barwnie i sugestywnie rysowali przed nim sylwetki rosyjskich cenzorów, podobnie jak cała biurokracja rosyjska, nie gardzących żartówkami, doskonale jednak zdających sobie sprawę z tego, że na własną rękę mogą poszerzyć tylko zakres problematyki w druku nie dozwolonej, że zaś w żadnym wypadku nie wolno im przepuścić więcej, niż okre-

ślązy to instrukcje ogórne.

"Prawie wszystkie artykuły, w których rzeczywiście coś powiedziano - zauważa niżej Brandes - obliczone są na to, by przy pierwszym czytaniu nie były rozumiane. Piszą je językiem abstrakcyjnym, niejasnym, dwuznacznikami. Czytająca publiczność jest już wyświeczona w czytaniu między wierszami. Prawie wszystkie felietony są alegoriami: mówią jedno a wyrażają co innego. Ponieważ słowa takie, jak wolność i ojczyzna są na zawsze zakazane, rozumie się samo przez się, że ludzie uciekają się do rozmaitych opisów".

Z książek wydawanych poza Rosją - dziwi się duński krytyk - docierały do Królestwa wydawnictwa przyrodnicze, "nawet w tłumaczeniach, natomiast historycznych rzeczy mało". W drukowani w Warszawie nie byli zwolnieni od cenzury. Doszło do tego, że "wiersz Jędrzejki" nec timeo sensones futuros - skreślono, ponieważ cenzor przetłumaczył go sobie: "nie boję się przyszłych cenzorów/.../" W dramacie historycznym, "przed imieniem Jagiełło skreślono tytuł "król polski", a napisano "książę". Ba, cenzurze podlegały nawet książki kucharskie! "Nisławano w jednej z takich książek - pisze Brandes - skreślono zwrot: "gotować na wolnym ogniu" dla tego właśnie słowa "wolny".

Cenzurze podlegały także odczyty. Oto co na ten temat, z własnych doświadczeń, pisze Brandes: "Chcąc się odwdziżyć za grzeczności, jakimi mię przed roktem obesyrywano w Warszawie /w r. 1885/ dałem przyrzeczenie, że przyjadę jeszcze raz i wygłoszę odczyt o polskiej literaturze XIX w.

Zadanie to z rozmaitych powodów było trudne. /.../ Na uniwersytecie warszawskim zakazano bezwarunkowo mówić o historii i literaturze polskiej po roku 1500. Nawet w języku rosyjskim, ani w duchu rosyjskim nie można tych przedmiotów poruszać. /.../ Trzeba było w ogóle otrzymać pozwolenie na przemawianie i to na przemawianie w tej materii. Można było spekulować tylko na jedno - na to mianowicie, że osobistości decydujące w Rosji bardzo nie lubią pokazać się wobec Europy barbarzyńcami.

Na cztery wykłady nie chciano mi zezwolić. Dlaczego? - pytan. "Bo trzy wykłady to jeszcze rozrywka, a cztery to już nauczanie".

Okazało się, że Brandes obawiał się, by pod formą odczytów na cele dobroczynne nie urządzano w ratunku czegoś w rodzaju uniwersytetu polskiego, gdzieby jeden cykl wykładów w ten lub ów sposób był dalszym ciągiem innego".

Wreszcie zobaczymy czego Brandesowi nie pozwolono powiedzieć: "W tym czasie otrzymałem swój pierwszy odczyt. Obkrojono go znacznie: całe zakończenie wynoszące kilka stron było przekreślone, w tekście były też liczne skreślenia. Nawet znaną cytata z Szyllera "Żywy ma prawo" skreślono, słowa takie jak "resignation" i "tristesse" użyte dla charakterystyki literatury polskiej, zostały usunięte. Wyrzucono ustęp, gdzie była mowa o katolickiej religijności poetów. W innym ustępie, gdzie mówiłem o życiu, jakie opisuje Mickiewicz w swym najsławniejszym dziele, czerwonym atramentem zamazano słowa "litewskie lasy, naturalne ramy tego życia". W ustępie, gdzie napisałem: "po raz pierwszy od podzięku państwa", wykreślono trzy ostatnie słowa.

W tej sytuacji przyszło to, co przecież tak dobrze znamy, dała o sobie znać autocenzura: "Wpłynęło to na mnie o tyle niechętnie, iżem zobaczył, że w drugiego odczytu, najśmiaźszego nie dużo zostanie. Napisałem więc trzeci prawie bezbarwnie pod względem politycznym, religijnym i społecznym i starałem się ilem mógł zamaskować słabość treści jaskrawszym kolorytem przedstawienia i stylu".

Jak ocenia Brandes wpływ cenzury na nastroje społeczne mieszkańców Królestwa? Oddajmy mu głos raz jeszcze:

"Jednym z donioślejszych następstw stosunków cenzuralnych w Polsce jest bezustanny niepokój w prasie, a stąd i w publiczności. Ponieważ nie można mieć zawsze pewnych wiadomości o tym, co się w kraju dzieje a z drugiej strony niepodobna publikować tego, o czym się wie napewno albo wiedzieć zdaje, więc i miasto i kraj cały wydane są na pastwę plotek i pogłosek, w których odzwierciedlają się polityczne nadzieje i niepokoje Polaków. To mówią, iż ten lub ów dygnitarz jest odwołany, bo sam rząd uważa, iż ucisk jest zbyt ciężki, to znowu zdaje się, jakoby dał się czuć jakiś powiew liberalny i w przypadkowej opieszałości jakiegoś urzędnika upatruje się symptomata ulg i buduje na tym nadzieje,

iż na przyszłość władze patrzeń będą przez palce na wiele takich rzeczy, które dawniej były zakazane. Innym razem krąży pogłoska, że rząd ma na warsztacie nowe, ciężkie dla Polski ustawy, że grożą jej nowe nieznane dotychczas niebezpieczeństwa. Społeczeństwo doznaje wciąż gorączkowych dreszczów, jak gdyby w febrze."

Katwo zrozumieć, w jakim wysokim stopniu taki ciągły niepokój powstrzymuje prawidłowy bieg i rozwój życia umysłowego. - Przypomnijmy: w dalszym ciągu cytujemy wrażenia Brandesa z jego podróży po Polsce w roku 1886." - Tylko nauki ścisłe mogą tu kwitnąć. /.../ Literatura polityczna i historyczna pozostają rozumie się w tyle. W obecnej chwili nie masz w zaborze rosyjskim ani jednego pierwszorzędneho historyka. Wśród historyków współczesnych zajmował niedawno zmarły Szujski jedno z pierwszych miejsc, a jako essayista europejską posiadający sławę Julian Klaczko, obaj żyli i pracowali w zaborze austriackim./.../

I stałe tedy grozi zaborowi rosyjskiemu to niebezpieczeństwo, że rząd pewnego, pięknego poranka zamknie teatru warszawskie a gazetom nakaże wychodzić w podwójnym tekście: rosyjskim i polskim. Wówczas dnie ich będą policzone a język polski umilknie.

Nieszczęśliwa Polska tak się już stała słabą, iż cieszy się każdym bodaj najdrobniejszym objawem, świadczącym, iż pamięć o niej całkowicie nie wygasa. Radosny to np. wypadek, gdy polski śpiewak, tenor Mierzwiński zwraca na siebie oczy Europy, bo przy tej okazji i o Polsce przecież się mówi. Cieszono się również i wyprawą do Afryki marynarza o polskim nazwisku, Rogozińskiego /aczkolwiek - rzecz to komiczna - właściwie nazywał się on Szolci/. A przecież nie mógł on najmniejszego nawet skrawka ziemi objąć w polskie posiadanie, gdyż Polska niegryzstuje, a przytym jeszcze na rozkaz Bismarcka został pochwycony i wywieziony z Afryki na niemieckim wojennym okręcie.

Takie są zgubne skutki obcego jarzma".

FEDERACJA I KONFEDERACJA

W czerwcu bieżącego roku odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego. Instytucja ta ma uprawnienia wielce ograniczone, ale w dziejach jednoczenia się Europy ważny jest przede wszystkim sam akt wyborów, to, że obywatele krajów zachodnio-europejskich zostaną bezpośrednio zaangażowani w podejmowanie decyzji na temat losów Europy. Choć nazwa ta nie jest używana, pozorowanie państwa zachodnio-europejskich cedujących pewną część swojej suwerenności na rzecz europejskiego parlamentu można określić mianem konfederacji. Natomiast federacja europejska, która dla jednych jest celem, dla drugich, na przykład dla francuskiego gaullistowskiego polityka Michela Debré, niebezpieczeństwem, na razie wydaje się sprawą przyszłości. Na czym polega różnica?

"Konfederacja państw jest związkiem, w którym poszczególne państwa, zachowując swą podmiotowość i swą suwerenność w zakresie prawa międzynarodowego, łączą się dla osiągnięcia pewnych wspólnych celów i powołują do życia pewne organy związkowe, na rzecz których cedują część, z reguły nieznaczną swoich atrybutów suwerenności. /.../ Państwo federalne natomiast jest zbiorowością państwową złożoną, składającą się z zarządu centralnego oraz z szeregu członów wchodzących w skład zbiorowości i zachowujących pewną samodzielność o charakterze wewnętrzno-państwowym." Jest to cytat z niezmiernie przydatnej książki Piotra Wandycza i Ludwika Frankla "Zjednoczona Europa. Teoria i praktyka" wydanej przez Polonia Book Fund w Londynie w 1965 roku. Prócz zarysu historii jednoczenia się Europy i szczegółowego opisu stanu bieżącego, w pracy tej zawarta jest obszerna bibliografia europejska.

W niedawno opublikowanej polemice między Michелеm Debré i Helmutem Schmidtem na temat celów i niebezpieczeństw unii euro-

pejskiej najważniejszy był właśnie problem ograniczenia suwerenności. Politycy francuscy przywiązani do europejskich koncepcji de Gaulle'a pragnęliby Europy zjednoczonej, albo pod francuskim przywództwem, albo tak zjednoczonej "duchowo", by poszczególne państwa zachowały pełną odrębność. Poza tym sporem kryje się jednak zagadnienie dla przyszłości zjednoczonej Europy podstawowe, a mianowicie problem Niemiec. Ciekawe, że w okresie bezpośrednie powojennym dążono do zjednoczenia właśnie po to, by w ten sposób rozwiązać problem niemiecki, by związane ^{ograniczenie} w Europie Niemcy nie mogły być dla niej niebezpieczne, zaś obecnie właśnie Niemcy /czy dokładniej RFN/ są uważane za potencjalne zagrożenie dla europejskiej unii, jako jej nazbyt w stosunku do innych potężny uczestnik.

Wobec takich obaw /przede wszystkim francuskich i brytyjskich/ nadzieje na utworzenie europejskiej federacji są wciąż bardzo odległe. Konfederacja łączy przecież tylko państwa i każde z nich ^{powsta} odpowiednio duże do wielkości, natomiast federacja ma połączyć społeczeństwa, co powoduje, że działają już nie tylko reguły prawa ale także reguły życia. Unia polsko-litewska była właśnie rzozej federacją i silniejszy podówczas cywilizacyjny polski element przyciągnął do polskości i odlituanizował wyższe warstwy społeczeństwa litewskiego. Taka była faktyczna treść "idei jagiellońskiej" i warto dzisiaj, kiedy choćby teoretycznie rozważana bywa sprawa przyszłych związków państwowych w Europie Wschodniej o tym pamiętać. Dodajmy, że rozumieli to już o światlejsi myśliciele polscy w okresie międzywojennym. Adolf Bocheński pisał w 1937 roku w "Buncie Młodych" /dwutygodniku redagowanym przez Jerzego Giedroycia/: "Twierdzą, że posługiwanie się terminem idea jagiellońska ożywia i odnawia nadzieje na powtórzenie tych procesów, które we własnym interesie powinniśmy jako zupełne mrzonki czym prędzej zlikwidować. Zrozumieliby, że ani Litwini, ani Ukraińcy, ani Białorusini nie mają najmniejszej ochoty zostać Polakami - i uszamyjmy tę ich wolę". Można by powiedzieć - chociaż porównanie to nieco kuleje - że Francuzi, Włosi, Brytyjczycy nie mają najmniejszej ochoty zostać Niemcami.

W obawach takich jest wiele przesady, bo przecież jeśli Niemcy zagrażają jedności europejskiej, jeśli mają wyraźną przewagę nad

innymi członkami zachodniej wspólnoty, to jest to li tylko przewaga gospodarcza, nie zaś kulturalna. I tu docieramy do sedna zagadnienia, idea konfederacji ma cele czysto utylitarne, idea federacji nie może być zrealizowana bez uwzględnienia jej moralnego czy kulturalnego sensu. Dopóki więc europejskie myślenie polityczne będzie zamknięte w rozważaniach relacji sił /militarnych i gospodarczych/, dopóty idea federacji będzie tylko marzeniem. W trakcie ostatnich trzydziestu lat było przecież wielokrotnie widać, jak zmienne interesy wpływały na zacieśnienie bądź rozluźnienie związków między europejskimi państwami, jak rozmaite oceny ewentualnego zagrożenia militarnego ze strony Związku Radzieckiego powodowały wzrost i wkrótce potem osłabienie zainteresowania ścisłością porozumień militarnych. Istnieje natomiast, już w XIX wieku dostrzegana, tendencja do kształtowania się ponadnarodowej duchowości europejskiej. Tendencję tę czy też postawę dobrze określił Monteskiusz: "Gdybym znał jakąś rzecz pożyteczną dla mej ojczyzny, ale szkodliwą dla Europy, bądź też pożyteczną dla Europy, ale szkodliwą dla rodzaju ludzkiego, spoglądałbym na nią jak na zbrodnię".

Jeśli są powody by sądzić /a nie jest to takie pewne/, że to wciąż Europy wyznacza kierunek duchowych przemian świata, to jej misja kulturalno-moralna wydaje się polegać właśnie na stworzeniu organizmu ponadnarodowego, likwidującego narodową, nacjonalistyczną konkurencję na rzecz wspólnoty w realizowaniu wartości podobnych i uważanych za najoenniejsze. Znaczące rejony świata są współcześnie przeniknięte dziesiętnastowieczną dla Europy ideą narodową i w tym, między innymi, należy doszukiwać się przyczyn nieustannych wojen i konfliktów. W Europie zachodniej, bez względu na kuriozalne raczej lub marginesowe, spory narodowe, nastąpiło już znaczne upowszechnienie świadomości ponadnarodowej, nastąpiło w każdym razie wszędzie tam, gdzie mniejszości narodowe nie są jednocześnie grupami wykorzystywanymi gospodarczo przez silniejszych. Często wspomina się o tym, że Francuzi nie lubią niemieckiej ciężkości dowcipu, a Anglicy francuskiej galanterii, można jednak wątpić czy są to uczucia narodowe, czy raczej regionalizmy obyczajowe, niewiele władzące przyszłej jed-

ności.

Przypomnień wreszcie warto, że zwolennicy idei europejskiej federacji, a w każdym razie niektórzy spośród nich, wspominają z upodobaniem, że jest to jedyna droga do przywrócenia Europie jej dawnej wielkości, jej pierwszeństwa w świecie. Taki kierunek myślenia wydaje się poroniony, ani to możliwe, ani sensowne byłoby uczynienie z Europy narodu rywalizującego z innymi supermocarstwami narodowymi. Natomiast sensowna jest droga, zmierzająca do zjednoczenia nie tyle obronnego lub zaborczego, co twórczego, to znaczy stwarzającego korzystne warunki dla rozwoju choćby w obrębie europejskiej wspólnoty tych idei, które przyświecały autorom wszystkich światłych i powszechnie poza Europą mało respektowanych deklaracji praw człowieka i obywatela, deklaracji pokojowych, porozumień o współpracy kulturalnej i społecznej. Jeżeli jednak idea takiej federacji europejskiej ma czynić postępy, to - w każdym razie w rozważaniach i projektach - jej treść moralna i kulturalna musi mieć pierwszeństwo nad względami wyłącznie geopolitycznymi.

MK

NOTY O KSIĄŻKACH

Moris Janowitz, SOCIAL CONTROL OF THE WELFARE STATE, Elsevier, New York 1977, s. 170.

Kraje Zachodu wydają na opiekę społeczną obecnie od 17 do 20% swojego dochodu narodowego. Mimo swych wielkich sukcesów Welfare State, zdaniem Janowitza, znalazł się obecnie w głębokim kryzysie. Niepowodzenie tego systemu społecznego polega przede wszystkim na tym, że państwa zachodnie nie zdołały stworzyć politycznej intelektualnej i politycznej podstawy do swego przekształcenia. Welfare State zastygł wraz stworzonej formie i mimo rosnącego poczucia niezadowolenia nie jest w stanie wyjść poza własne ograniczenia. Państwa zachodnie rządzone przez mniejszościowe lub koalicyjne rządy nie mogą przeprowadzić żadnego programu odnowy. Cechą charakterystyczną tych systemów politycznych jest kruchość i ograniczoność politycznego konsensusu. Rosną przy tym oczekiwania wobec państwa. Wysoki poziom inflacji, zmniejszenie się produktywności gospodarki krajów zachodnich rodują z kolei wzrost deficytu ekonomicznego. "Trudności tych nie można rozwiązać zwiększając jedynie wydatkowane sumy, konieczne jest przekształcanie oczekiwań wobec państwa opiekuńczego" - twierdzi Janowitz. Analizuje on ponadto wpływ Welfare State na przekształcanie struktury społecznej, zachowania wyborcze obywateli oraz na instytucje państwowe.

Bernard-Henri Lévy, LA BARBARIE A VISAGE HUMAIN, Bernard Grasset, Paris 1977, s.236.

Autor jest jednym z głównych przedstawicieli grupy "nowych filozofów", ma 30 lat. Barbarzyństwo o ludzkiej twarzy to barbarzyństwo wszelkich totalitaryzmów. Tak jak inni członkowie grupy Bernard-Henri Lévy nie wy-

stępuje ani przeciwko lewicy, ani przeciwno prawicy. Książka, napisana pięknym i wyszukanyim językiem mogła powstać dopiero po przewrocie duchowym, jaki na Zachodzie sprawiło ukazanie się dzieł Solżenicyna, a przede wszystkim "Archipelagu Gułag". Oskarżeni o barbarzyństwo zostali przede wszystkim intelektualiści, którzy, zdaniem autora, nie potrafili odróżnić rzeczywistości od własnych urojeń. Lévy pisze we wstępie: "Gdybym był encyklopedystą, chciałbym napisać w słowniku, który ukaza się w roku 2000: Socjalizm, rzeczownik rodzaju męskiego, urodzony w Paryżu w roku 1848, zmarł w Paryżu w roku 1968".

Zeev Sternhell, LA DROITE REVOLUTIONNAIRE, 1885-

1914 e LES ORIGINES FRANÇAISES DU FASCISME.

Seuil, Paris 1978, 440 p.

Pod koniec XIX wieku Paryż był intelektualną stolicą europejskiej prawicy. Rodzi się wówczas dziwna synteza nacjonalizmu i radykalizmu. Blaskiści przechodzą do bulanzystów. Barrès rzuca hasło "socjalizmu nacjonalistycznego". Argumentów poszukuje się w nowych naukach społecznych, u Taine'a i Gustava Le Bon: jednostka zostaje podporządkowana wspólnocie, naród jest traktowany jako historyczna, biologiczna i rasowa całość determinująca jego obywateli. Demokracja liberalna określana jest jako wymysł burżuazji. Głoszone są hasła "nowego" socjalizmu, wymierzonego w burżuazyjny ład, opartej na rewolucyjnej przemocy proletariackiej elity. O tym socjalizmie, nacjonalistycznym, wojowniczym i antydemokratycznym, wypowiadał się z najwyższym uznaniem Maurras. Faszyzm francuski, zdaniem autora, zrodził się z kryzysu w łonie ugrupowań socjalistycznych.

Hélène Carrère d'Encausse, L'EMPIRE SOVIÉTIQUE.
FLAMMARION, Paris 1978, 374 p.

Efektowny tytuł nie odpowiada w pełni treści tej książki, która zajmuje się problemem demograficznym w ZSRR. Ostatnie wielkie imperium dopiero się rozpadnie, a stanie się to, zdaniem autorki, w wyniku procesów demograficznych. Waga problemów narodowościowych w Związku Radzieckim rośnie, wbrew tezom oficjalnej propagandy. Dynamika natalistyczna muzułmańskich republik Azji Centralnej i krajów Kaukaskich oraz ciągła migracja Kozjan na tereny innych republik powoduje, że Rosja właściwie stała się wyludnia, a dominująca rola narodowości rosyjskiej będzie coraz trudniejsza do utrzymania. Rozpadu imperium nie należy oczekiwać w najbliższym czasie, lecz na dłuższą metę tego procesu nie da się zahamować.

J.K.Zawodny, NOTHING BUT HONOUR. The Story of the Warsaw Uprising, 1944, Hoover Institution Press, Stanford University, Stanford, California, 1978, s. 328.

Profesor Zawodny jest, między innymi, autorem najlepszej książki o masakrze katyńskiej "Death in the Forest" /1962/. Jego nowa praca, historia powstania warszawskiego, jest oparta o olbrzymią ilość nieznanego lub niewykorzystanego dotychczas materiału źródłowego. Zawodny przeprowadził także wiele rozmów z uczestnikami wydarzeń i z dyplomatami alianckimi /wśród nich nadzwyczaj ciekawą rozmowę z Georgiem Kennanem, ówczesnym radcą ambasady USA w Moskwie i sławnym specjalistą od spraw radzieckich/. Książka Zawodnego dostarcza wiele nowych wiadomości ^{dotyczących} międzynarodowego kontekstu powstania. Informacje o stanowisku ambasadorów USA i Wielkiej Brytanii w Moskwie wobec Mikojajczyka i jego prób uzyskania jakiegokolwiek dopuszczalnego kompromisu ze Stalinem, o presji jaką bezwzględnie wywierali na polskiego premiera - są właściwie zdumiewające. Warto także przytoczyć

pogląd Kennana, z którym autor książki wydaje się zgadzać, że sytuacja Polski nie zależała w niczym od powstania, że została ona zdecydowana już na progu 1944 roku, zaś wśród przyczyn takiej decyzji aliantów brak wiedzy o metodach stalinowskich konkurować z niebezpiecznie krótkowzrocznym może, ale realistycznym pojmowaniem ich własnych interesów.

Jan Tomasz Gross, POLISH SOCIETY UNDER GERMAN OCCUPATION. The Generalgouvernement, 1939-1944. Princeton University Press, Princeton - London, 1979, s. 384.

J.T. Gross, socjolog i historyk, wyjechał z Polski w roku 1969, jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli młodego pokolenia w polskiej humanistyce. Obecnie wykłada na Yale University. Książka J.T.Grossa opisuje polskie społeczeństwo w okresie okupacji. Wykorzystane zostały liczne nieznane materiały źródłowe z archiwów niemieckich i zbiorów polskich Hoover Institution. Autor twierdzi, że społeczeństwo nie może ulec zniszczeniu w rezultacie przymusu, z wyjątkiem przymusu czysto fizycznego. Opisuje więc i analizuje reakcje polskiego społeczeństwa na niszczenie polskich instytucji przez niemieckich okupantów, reakcje polegające na wytwarzaniu natychmiast instytucji zastępczych. Szczególnie interesująco pokazuje autor proces dostosowywania się Niemców do istnienia nowych podziemnych polskich instytucji. I to nie tylko do instytucji militarnych, ale także do rozmaitych innych tworzących wspólnie społeczny, cywilny opór przeciwko okupacji. Praca J.T.Grossa stanowi dobry przykład coraz częściej w historiografii występującego zjawiska, a mianowicie łączenia przez jednego autora kompetencji historyka, i to historyka potrafiącego krytycznie badać źródła archiwalne, z kompetencjami socjologicznymi.

Earl Vinecour /tekst/, Chuck Fishman /fotografia/ - POLISH JEWS: THE FINAL CHAPTER, McGraw-Hill Book Company, 1977, s. 123.

W Józefowie w synagodze mieści się silos, w Jaśle restauracja, w Kutnie biura, w Ostrołęce garaż, w Jarosławiu dom kultury. W Warszawie, w Białymstoku, w Lublinie, w Otwocku cmentarze zostały zdewastowane już po wojnie. Długi jest rejestr zniszczonych, opuszczonych, zapomnianych żydowskich szkół, bożnic, domów modlitwy, cmentarzy. W swej wędrówce po Polsce spotykają autorzy książki, ostatnich, samotnych Żydów. To wszystko, co pozostało po 3,5 milionowym narodzie. Tekst, ponad sto fotografii rysują przeraźliwie smutny i tragiczny obraz /czasem może zbyt krytyczny/ stosunku władzy i Polaków do resztek, pozostałych po wielkiej cywilizacji.

SPIS TREŚCI

<u>WIDZIANE Z WARSZAWY</u>	1
OSWAJANIE KRYZYSU.....	18
ZASTYGLY OBRAZ PRZESZŁOŚCI.....	41
DLACZEGO ENDEOJA ?.....	58
OIEŃ PIŁSUDSKIEGO.....	69
KRAJOBRAZ Z INKWIZYTOREM.....	79
<u>STANOWISKA</u> : Polska, Niemcy i inni.....	91
<u>ZYCZAKIEM PRZEZ PRASE</u>	102
<u>TEMATY</u> : Czytanie Miłosza: "Zdobycie władzy".....	112
Dzieje pewnej książki.....	117
Dwie strony barykady.....	122
Przed stu laty.....	124
Federacja i konfederacja.....	128
<u>NOTY O KSIĄŻKACH</u>	132

w poprzednim numerze:

- **WIDZIANE Z WARSZAWY**
- **EUROPA I MY - SZKOŁA CZESKIEJ DEMOKRACJI - BOHATER NASZYCH CZASÓW - WARSZAWSKA SZKOŁA HISTORYKÓW IDEI - SPÓR O FUNDAMENTY - CZY GEOPOLITYKA STRACIŁA ZNACZENIE?**
- **TEMATY: Aleksandra Wata abc komunizmu - Kłopoty z klasykiem - Zimna wojna czy chłodne współistnienie.**
- **NOTY O KSIĄŻKACH**